WOJENKI NASZYCH GENERAŁÓW

KOŚCIÓŁ PRZECIW ZWIERZĘTOM

WOLIN: WYSPA WIKINGÓW

SKĄD SUKCES „SUKCESJI”

Kraków 11 czerwca 2023 nr 24 (3857) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Łowy na Tuska

JAK PiS RUJNUJE BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

STRONY SPECJALNE
20. ROCZNICA REFERENDUM AKCESYJNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

NOWA KSIĄŻKA NASZEGO DUSZPASTERZA

Wybór tekstów ks. Adama Bonieckiego,

tych publikowanych – ale również nowych impresji i wspomnień.

Co je łączy?

Uważność. Optymizm. Spokój. Nadzieja.

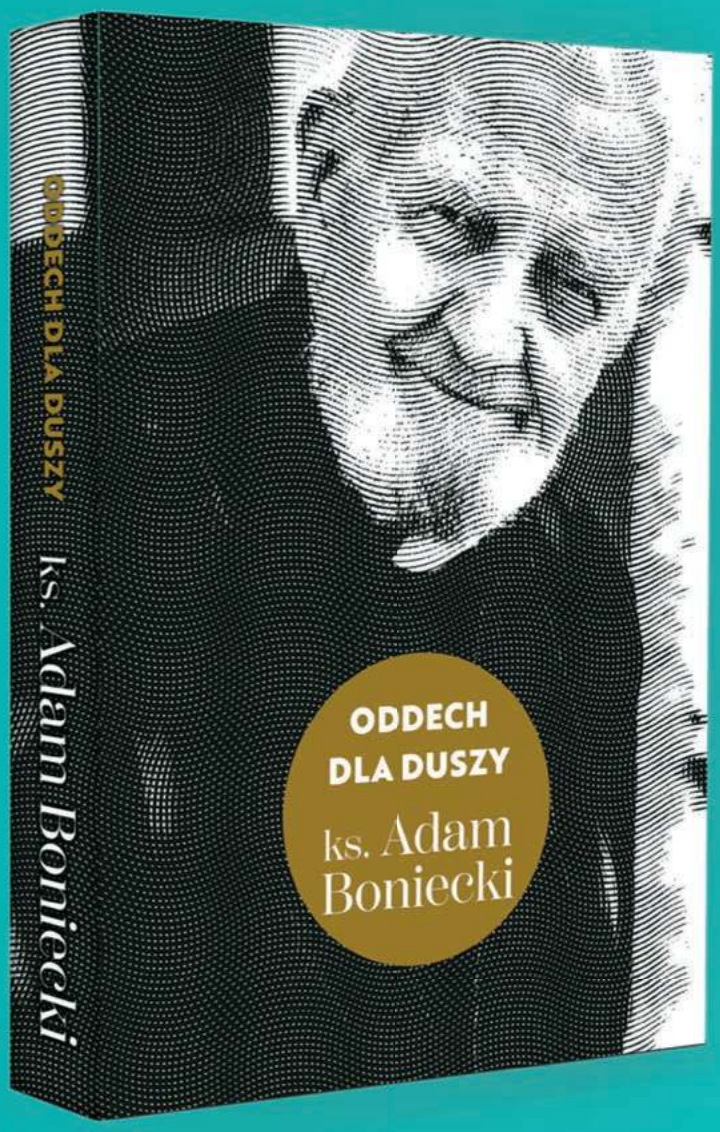

PRZEDSPRZEDAŻ NA VIVELO.PL

PREMIERA W KSIĘGARNIACH 14 CZERWCA 2023

Książka lub e-book w promocyjnej cenie TYLKO w księgarni Vivelo.pl

Zamówienia hurtowe oraz indywidualne, współpraca, spotkania autorskie: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

WYDAWCA

HARDE WYDAWNICTWO

vivelo.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNERZY WYDANIA

„Tygodnik Powszechny" dziękuje swoim partnerom i dobroczyńcom za pomoc przy wydaniu książki – **Miastu Kraków**, **Miastu Gdańsk**, firmom **Orange Polska** i **Santander Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A.**, **Stowarzyszeniu Autorów ZAiKS** oraz **Polskiej Radzie Biznesu**.

Kraków

GDAŃSK

Santander Fundusze Inwestycyjne

zaiks

Polska Rada Biznesu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Troska o stworzenie*

Czytam raport, który przygotował zespół Troska o Stworzenie w ramach prac Kongresu Katoliczek i Katolików. Chodzi w nim o „omówienie stosunku duchownych i świeckich do współczesnych problemów ekologicznych". Uwzględnia postulaty i propozycje działań odnoszących się do polskich katolików, którzy – jak wynika z tego dokumentu – są w tej dziedzinie poważnie zapóźnieni. Ta problematyka zjawia się u nas sporadycznie, bywa podejmowana, lecz jakby z niechęcią. Encyklika papieża Franciszka „*Laudato si*" pozostała bez większego echa.

Troska o środowisko wynika z naszej wiary i jest głęboko związana z troską o bliźnich, a także troską o dar, jakim jest świat stworzony. Raport przedstawia nauczanie papieża Franciszka i pozytywne zjawiska w Kościele, a z drugiej strony – tragiczną niewystarczalność tych inicjatyw. Postuluje m.in. budzenie ekologicznej świadomości wśród członków Kościoła, działania na rzecz powstrzymania zmian klimatu, jakości powietrza, wód, gleby, zmianę stosunku do zwierząt w duchu solidarności z istotami czującymi, pogłębienie chrześcijańskiej duchowości ekologicznej. Proponuje też kilka konkretnych działań powiązanych z wiarą, zmierzających do ochrony stworzenia.

Dokument jest wezwaniem do tego, by wreszcie zacząć widzieć rzeczywistość, którą widzą uczeni. Największym zagrożeniem jest postępujący proces ocieplenia klimatu, wywołany emisją gazów cieplarnianych. Nie da się wykluczyć, że Ziemia w ciągu kilkuset lat osiągnie stan, w jakim znajdowała się 50 czy 70 mln lat temu, co sprawi, że przebywanie na jej powierzchni człowieka będzie niemożliwe. Jesteśmy – i to dzięki działalności ludzkiej – coraz bliżej naruszenia stabilności ziemskiego termostatu.

Osobny rozdział raportu jest poświęcony wymieraniu gatunków roślin i zwierząt. Codziennie wymiera ok. 150-200 gatunków roślin, owadów, ptaków i ssaków. W Polsce w ostatnich stu latach wymarło 36 gatunków zwierząt, a 330 gatunków jest zagrożonych wyginięciem. Jedną z przyczyn jest brak dostatecznej liczby obszarów chronionych. Maleje też liczba dzikich ssaków. Kurczy się liczba lasów na globie i w Polsce.

We wskazaniach praktycznych rzuca się w oczy podział na adresatów poszczególnych propozycji, poczynając od biskupów (rozpoczyna je postulat dostarczenia wskazań „nawrócenia ekologicznego", a następne punkty są rozwinięciem tego podstawowego). Dalej mamy postulaty dla księży, zakonnic i zakonników. Rozpoczynają się od sugerowania nabożeństw i pouczeń, by przejść do troski o zdrowie innych ludzi, do dbania o dobrostan zwierząt oraz do szacunku dla przyrody. Sugestii w punkcie „Świeccy" jest najwięcej. Otwiera je postulat „domagania się od duchownych podejmowania tematyki ekologii".

Hmm... za mojej pamięci wrażliwość ekologiczna odmieniła się całkowicie. Od zupełnej ignorancji, przez zaciekawienie, po elementarny odruch sprzeciwu. Zwracaliście kiedyś uwagę na tę przezroczystą, lekką, niewidzialną właściwie, foliową torebkę? Pakowaliśmy w nią przecież wszystko. Była taka lekka i nieważka. A teraz widzimy w niej przecież martwą tkankę, która dusi naszą planetę i jej stworzenia.

Właśnie ten elementarny odruch pokazuje skalę zmian. Nie wiem, czy domagali się tego również duchowni. Nawet jeśli nie – to ja poproszę o papierową. ©℗

„Oddech dla duszy"

Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim i Michałem Olszewskim.
Spotkanie poprowadzi Katarzyna Kubisiowska.

21 czerwca o godz. 18.00

w ramach Czytelni POLIN w siedzibie muzeum, ul. Anielewicza 6 w Warszawie.

Bezpłatne wejściówki dostępne w dniu spotkania na bilety.polin.pl i w kasach Muzeum.

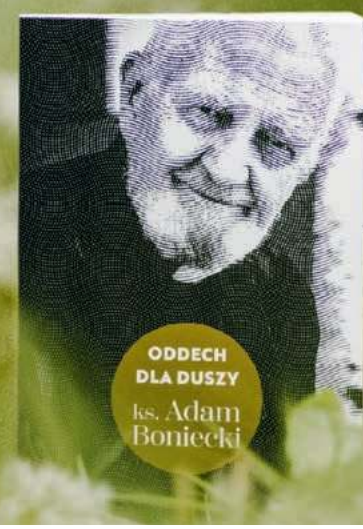

HARDE WYDAWNICTWO · TYGODNIK POWSZECHNY · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich · KLUB TP Warszawa

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

20 Znaczy generał
MAREK RABIJ
W służbie jest ich obecnie 115. Są coraz młodsi, lepiej wykształceni i obyci z sojusznikami z NATO – oraz coraz bardziej skłóceni. Co się dzieje w polskim korpusie generalskim?

42 Opiekun czy kat
ARTUR SPORNIAK
Kościół katolicki odgrywa rolę głównego hamulcowego w przyznaniu etycznej wartości i praw zwierzętom. W ten sposób daje alibi dla najgorszych zachowań.

52 Odlot do Moskwy
WOJCIECH JAGIELSKI
Spośród prowincji byłego Związku Sowieckiego żadna – nie licząc Bałtów – nie parła na Zachód tak odważnie jak Gruzja. Dziś rządzący w Tbilisi zmieniają kurs na wschodni. Dlaczego?

66 Świat myszy
ROZMOWA Z EWELINĄ KNAPSKĄ, NEUROBIOLOŻKĄ:
Kiedy się nie znają i muszą ustalić, kto jest kim, może pojawiać się agresja. Ale gdy ustalą hierarchię, zachowują się pokojowo. Hierarchia to sposób na minimalizowanie przemocy w grupie.

86 Zen niedźwiedzia
MICHAŁ OKOŃSKI
Był sobie alchemik. Spędził lata na próbach transmutacji ołowiu w złoto, aż tu nagle bryła kruszcu sama wpadła mu w ręce. Tak Pep Guardiola dostał Erlinga Haalanda. Skąd właściwie bierze się czyste złoto?

72 Nobel i tatar
ROZMOWA Z JUSTYNĄ CZECHOWSKĄ, TŁUMACZKĄ:
Lata temu irytowało mnie, że mnóstwo rzeczy w świecie pisarskim dzieje się wokół stołu towarzyskiego. Dziś wiem, jak ważna w tłumaczeniu jest znajomość autorów, wypite wspólnie butelki wina, rozmowy do świtu.

GERARD / REPORTER // MICHAŁ KOŚĆ / FORUM // OUR WILD LIFE PHOTOGRAPHY / ALAMY / BE&W // KUBA OCIEPA // PHIL NOBLE / REUTERS / FORUM // MIRIAN MELADZE / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

6 Duda płaci za Kaczyńskiego
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

30 Tygodnik Czytelników

KRAJ

20 Znaczy generał
MAREK RABIJ

24 Oni władzy nie obchodzą
PIOTR WÓJCIK
o popadających w biedę pracownikach budżetówki

27 Odkrywcy nowych światów
JOANNA SZYNDLER
o grzybach, które leczą

WIARA

42 Opiekun czy kat
ARTUR SPORNIAK

46 Prawdziwie tu – prawdziwie wszędzie
PIOTR SIKORA
o znaczeniu Eucharystii

49 Biskupi: „za, a nawet przeciw"
MACIEJ MÜLLER *o tym, jak dwie dekady temu Kościół lawirował w sprawie wejścia Polski do Unii*

ŚWIAT

52 Odlot do Moskwy
WOJCIECH JAGIELSKI

56 Nie dla wszystkich starczy miejsca
MARCIN ŻYŁA:
włoski spór o niedźwiedzie

TEMAT TYGODNIKA

MAREK KOWALCZYK / REPORTER

12 Szpieg w stogu siana
AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Komisja ds. badania rosyjskich wpływów to również sygnał płynący od władz, że nasze służby są bezsilne i szpiegów trzeba łapać metodą małpy z brzytwą.

15 Żyjemy w państwie autorytarnym
WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO:
Komuś zabrakło wyobraźni, by zrozumieć, że w pewnych fundamentalnych sprawach, nawet w obliczu wojny w Ukrainie, Unia nie ustąpi.

DODATKI

32 KLASZTOR I GLOBUS
34 20. ROCZNICA REFERENDUM AKCESYJNEGO

FELIETONY

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI **51** WOJCIECH BONOWICZ
71 JACEK PODSIADŁO **84** OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP"

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

58 Chwasty wchodzą na salony
PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU
o wystawie ogrodniczej Chelsea Flower

HISTORIA

62 Na tropie Jomsborga
PIOTR OLEKSY:
Archeolodzy ustalili miejsce, gdzie na wyspie Wolin mogła znajdować się słynna siedziba bractwa Wikingów

NAUKA

66 Świat myszy
ROZMOWA Z EWELINĄ KNAPSKĄ, NEUROBIOLOŻKĄ

KULTURA

72 Nobel i tatar
ROZMOWA Z JUSTYNĄ CZECHOWSKĄ, TŁUMACZKĄ

76 Orki na ugorze
MICHAŁ SOWIŃSKI:
Grupa Filmowa Darwin to projekt totalny

79 Szekspir współczesny
JAKUB MAJMUREK
o sukcesie serialu „Sukcesja"

82 Niewinni czarownicy
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Tori i Lokita"

83 Kraków mniej znany
LEKTOR *o „Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce. Tom IV"*

ZMYSŁY

86 Zen niedźwiedzia
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Jordania: Wielkie arabskie wesele [Strona Świata]
Książę Husajn, dziedzic dynastii Haszymidów, poślubił Saudyjkę, spokrewnioną z dynastią Saudów, starymi haszymidzkimi wrogami – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Filmowe zbliżenia [Co obejrzeć w weekend]
Solą tego festiwalu są świetne dokumenty, ale nie tylko. **ANITA PIOTROWSKA** o Krakowskim Festiwalu Filmowym | TygodnikPowszechny.pl/co-obejrzec-w-weekend

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

DUDA PŁACI ZA KACZYŃSKIEGO

Próba zniszczenia Donalda Tuska obróciła się przeciwko jej architektom. Marsz 4 czerwca po raz kolejny pokazał, że największym wrogiem Jarosława Kaczyńskiego jest on sam.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Marsz 4 czerwca, który przeszedł ulicami Warszawy, miał pokojową atmosferę. Widok na plac Zamkowy i kościół św. Anny. 4 czerwca 2023 r.

Nieważne, czy maszerowało 200 tys., czy pół miliona przeciwników władzy. Ustawa o komisji mającej tropić rosyjską agenturę wywołała spektakularny gniew – dużo większy niż to miało miejsce po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji – i pozwoliła Donaldowi Tuskowi przejść do ofensywy. Lider PO, dotychczas licytujący się w rozdawnictwie z PiS i zrażający do siebie innych opozycyjnych liderów dogmatem o jednej liście – nagle stał się ikoną. W obliczu uniemożliwienia mu pełnienia funkcji publicznych wszelkie niesnaski i zarzuty o programową pustkę zeszły na daleki plan. Ustawa o komisji została uznana przez miliony Polaków za odwrót od demokracji. Tym samym PiS pozwolił swym przeciwnikom poczuć ogromną siłę na ulicach Warszawy (oraz wielu innych miast) i znalazł się w narożniku.

Forsowane przez lata zmiany demolujące sądownictwo oraz propaganda lejąca się z państwowych mediów już same w sobie budzą wątpliwości, czy jesienne wybory w Polsce będą równe. Jednak próba administracyjnego wykluczenia najważniejszego polityka opozycji jest dowodem, że Jarosław Kaczyński stracił intuicję i przeszarżował. A przecież mimo wojny, braku pieniędzy z KPO i wysokiej inflacji – polska gospodarka ma się dobrze, sondaże zaś wciąż dają PiS nadzieję, że może uda się utrzymać władzę.

Problem w tym, że dla Kaczyńskiego to mało. Nadal obawia się wyborczej klęski i późniejszej zemsty, więc w obliczu słabego efektu oferty 800 plus postanowił sobie pomóc. Lecz jego uparte przekonanie o rzekomym spisku lidera PO

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

z Putinem zaprowadziło partię władzy w mocno oderwane od rzeczywistości rewiry. Nawet jeśli komisja dotrze do materiałów ukazujących nadmierną uległość Tuska i Pawlaka wobec Gazpromu oraz kolejnych dowodów na to, że to Lech Kaczyński miał rację w ocenie Rosji, a nie ówczesny rząd i zachodnie elity – niewiele to pomoże. Idea komisji została skompromitowana, nie tylko przez Kaczyńskiego.

Od afery z lex TVN Andrzej Duda budował wizerunek człowieka, który jest w stanie zablokować najbardziej antydemokratyczne zapędy PiS. Od wybuchu wojny w Ukrainie efekt ten był wzmacniany awansem prezydenta do światowej pierwszej ligi, co sprawiło, że zaczęto mówić o międzynarodowej karierze Dudy po zakończeniu drugiej kadencji w Pałacu. Trzeba jednak przyznać, że scenariusz ten oparty był raczej na spekulacjach niż na faktach. Prezydent rozważa także scenariusz krajowy, w którym będzie się starał o rząd dusz na prawicy. I być może dlatego podpisał ustawę, że dostał w zamian gwarancję wprowadzenia swoich ludzi na tzw. biorące miejsca list wyborczych PiS. W przypadku utraty władzy i wewnętrznej erozji partii, którą ciężko będzie zatrzymać starzejącemu się Jarosławowi Kaczyńskiemu, z walki buldogów o schedę po prezesie może się wyłonić ledwie 53-letni Duda z drużyną, jako główny rozgrywający. Człowiek jednocześnie ze środka i trochę spoza, niebudzący też skrajnej niechęci przeciwników.

Ten obraz prezydenta zmienił się, gdy pozwolił stać się twarzą najgorszego z pomysłów Kaczyńskiego, tworzącego poza systemem prawnym ciało, którego konstrukcja nawet nie próbuje udawać, że chodzi o coś innego niż dorwanie Tuska. Komisja, uprawniona do pozbawiania funkcji publicznych nawet na 10 lat, ma zajmować się okresem 2007-2022, co oznacza sprawne ominięcie kontraktu z Gazpromem zawartego przez ministra rządu PiS Wojciecha Jasińskiego w 2006 r. Fakt, Duda w jednej z wypowiedzi stwierdził, że chętnie usłyszałby jego wyjaśnienia przed komisją, ale zabrzmiało to kompromitująco – jakby nie wiedział, co zatwierdził.

Składając podpis pod ustawą, która uniemożliwia skuteczną apelację do sądu, Duda wziął na siebie odpowiedzialność za prawo spreparowane przez PiS i sam stał się obiektem ataku. Był tym zdziwiony, co samo w sobie jest równie dziwne. On i jego ludzie mogli przewidzieć, że największą złość budzą zawiedzione nadzieje – a nadzieje wobec prezydenta żywiły od długiego czasu miliony Polaków, dla których lider PiS stał się autokratą.

Piątkowa wolta Dudy, zgłaszającego nowelizację podpisanej ledwie cztery dni wcześniej ustawy, niewiele zmienia. PiS nie musi się tym projektem w ogóle zajmować. O tym, czy komisja straci – jak chce prezydent – prawo do nakładania kar, czy w jej składzie nie będą mogli zasiadać posłowie (robiący tam sobie darmową kampanię), a ostateczne decyzje podejmą sądy powszechne – zdecyduje nie Duda, lecz Kaczyński. Głowa państwa może już tylko grzecznie prosić. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

MONIKA SZCZYGIELSKA:

Osoby niewidome nie zobaczą spotu, ale o audiodeskrypcji nie pomyślał dotąd żaden komitet wyborczy.

ANNA GOC: Chcemy i mamy prawo uczestniczyć w wyborach na równi z innymi – apelują do polityków i dziennikarzy osoby z niepełnosprawnościami. Co musiałoby się zmienić, żeby wybory były dostępne dla wszystkich?

MONIKA SZCZYGIELSKA: Najbardziej świadomość potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Od ponad dekady analizuję dostępność kampanii wyborczych. Mogłabym wskazać tylko kilka spotów z audiodeskrypcją. Osoby niewidome nie zobaczą go, ale o lektorze, który im powie, co widzi, nie pomyślał dotąd żaden komitet wyborczy w Polsce. Podobnie jest z programami wyborczymi – by były dostępne, powinny być przetłumaczone na polski język migowy (PJM), możliwe do odczytania przez oprogramowanie udźwiękawiające oraz napisane zrozumiałym językiem.

Komitety wyborcze mają obowiązek zapewnić dostępność?

Nie, robią to na zasadzie dobrowolności. Po ostatniej kampanii prezydenckiej przeanalizowałam ponad tysiąc filmów z wystąpieniami kandydatów. Z tłumaczem PJM najczęściej pojawiali się Rafał Trzaskowski i Szymon Hołownia. Robert Biedroń – sporadycznie, Władysław Kosiniak-Kamysz na konwencji wyborczej. Nie znalazłam ani jednego wystąpienia Andrzeja Dudy z kampanii z tłumaczem i napisami.

Za to Państwowa Komisja Wyborcza i telewizja – zarówno publiczna, jak i komercyjne, mają zobowiązania. Filmy PKW opublikowane w internecie powinny mieć napisy, tak się jednak nie dzieje. Telewizje mają obowiązek zapewniać dostępność do 50 proc. kontentu – mogą jednak wybrać serial albo debatę polityczną.

W czasie ostatnich wyborów prezydenckich głusi mierzyli wielkość tłumacza na ekranie, bo choć był, nie było widać, co miga.

Od 2021 r. mamy stanowisko KRRiT w sprawie sposobu realizacji tłumaczenia na PJM. Mimo to tłumacz w telewizji wciąż jest wielokrotnie mniejszy. Podczas debaty zwykle pracuje sam, choć standard to praca w teamie. Dobrą praktyką, stosowaną w wielu krajach, jest przypisywanie tłumacza każdemu z debatujących, by mógł oddać tempo i dynamikę dyskusji.

Lepiej jest z dostępnością architektoniczną?

Zgodnie z ordynacją wyborczą z 2011 r., 1/3 lokali wyborczych musi być dostępna dla osób z niepełnosprawnością ruchową, a jeśli lokal nie spełnia wymagań, można zmienić miejsce głosowania.

W komisjach wyborczych powinny być też nakładki do głosowania w alfabecie Braille'a. Jednak z relacji osób niewidomych wynika, że nakładki często się gubią, więc ktoś krzyczy: „Przyszedł ten niewidomy, co potrzebuje nakładki, gdzie ona jest?". Mamy sporo rozwiązań, brakuje egzekwowania zapisów i ich świadomości. ©℗

MONIKA SZCZYGIELSKA *jest ekspertką ds. dostępności i politolożką ze specjalizacją marketing wyborczy. Pracę doktorską „Dostępność wydarzeń dla osób z niepełnosprawnością w Polsce" obroniła na Uniwersytecie Warszawskim.*

Polak niekatolik

ARTUR SPORNIAK

Zbitka Polak-katolik coraz mniej ma wspólnego z rzeczywistością. Jedynie niewielka grupa Polaków (15 proc.) uważa wiarę za istotny element polskości – wynika z przeprowadzonych w maju przez Laboratorium Poznania Politycznego Instytutu Psychologii PAN badań „Czy i jak identyfikujemy się dziś z Polską?". Zdaniem większości badanych wiara nie ma żadnego znaczenia dla bycia Polakiem. Ponadto stosunek do religii został wskazany obok polityki jako czynnik dzielący Polaków.

Laboratorium najpierw przeprowadziło badanie ilościowe na reprezentatywnej grupie 1504 osób w wieku od 18 do 96 lat. Pod uwagę wzięto m.in. nastawienie do grupy własnej i grup obcych, stosunek do wiary, tradycji i Unii Europejskiej, a także zmienne psychologiczne, w tym poziom samooceny i poczucia samotności czy narcyzmu. Z badań tych wyłoniono pięć grup, których poglądy sprecyzowano w wywiadach jakościowych. Pozytywnie nastawieni do polskości okazali się Spełnieni Demokraci (20 proc. społeczeństwa), Otwarci Tradycjonaliści (23 proc.) i Zaangażowani Konserwatyści (15 proc.). Kłopot z polskością odczuwają Zawstydzeni Polską (14 proc.), zaś dla największej grupy (28 proc.) Wycofanych Pesymistów polskość okazała się obojętna.

Największy odsetek aktywnych katolików znalazł się wśród Zaangażowanych Konserwatystów i to tylko dla tej grupy wiara łączy się z polskością.

Wierzący są także wśród Otwartych Tradycjonalistów i Wycofanych Pesymistów. Pierwszą i trzecią grupę charakteryzuje negatywne odnoszenie się do grup obcych, a także seksizm. Pierwszą i drugą łączy z kolei dystans do Unii Europejskiej, ale różni zaangażowanie polityczne – Otwartych Tradycjonalistów nie interesuje polityka. Najbardziej lękowo nastawiona do rzeczywistości grupa Wycofanych Pesymistów jest jednocześnie najbardziej podatna na dehumanizację grup mniejszościowych (Żydzi i LGBTQ+). To segment najmłodszy i o największym odsetku mieszkających na wsi.

Wygląda na to, że choć przestajemy kojarzyć polskość z katolicyzmem, paradoksalnie stereotyp Polak-katolik nadal może być politycznie nośny – np. do przyciągania Zaangażowanych Konserwatystów i wzbudzania szowinistycznych lęków u Wycofanych Pesymistów. ©℗

NA PUNKTY

SPINDOKTOR Z AUSCHWITZ
Na frazę Tomasza Lisa „Znajdzie się komora dla Dudy i Kaczora" PiS odpowiedział filmem, w którym pokazano to zdanie, zdjęcia z Auschwitz i nawiązujące do marszu 4 czerwca pytanie „Czy na pewno chcesz iść pod tym hasłem?". „Instrumentalizacja tragedii ludzi, którzy cierpieli i ginęli w niemieckim nazistowskim obozie Auschwitz – po jakiejkolwiek stronie politycznego sporu – uwłacza pamięci ofiar. To bolesny i niedopuszczalny przejaw moralnego i intelektualnego zepsucia debaty publicznej" – oświadczyło Muzeum Auschwitz.

POSEŁ Z RZESZOWA
Przejawem zepsucia debaty było również zerwanie przez Grzegorza Brauna wykładu Jana Grabowskiego o „Polskim (narastającym) problemie z historią Holokaustu". Poseł wyrwał prelegentowi mikrofon, policja była bezradna.

SĘDZIA Z PŁOCKA
Szymon Marciniak poprowadzi finał piłkarskiej Ligi Mistrzów, choć stanęło to pod znakiem zapytania, po tym jak UEFA dowiedziała się, że wziął udział w konferencji motywacyjnej zorganizowanej przez Sławomira Mentzena. „Zostałem wprowadzony w błąd, będąc całkowicie nieświadomym prawdziwej natury i powiązań dotyczących tego wydarzenia" – oświadczył arbiter. ©℗

Posowiecka stolica Europy

PIOTR OLEKSY

Prawie wszyscy przywódcy krajów Europy przybyli do Mołdawii w czwartek 1 czerwca. Prawie, bo zabrakło liderów Białorusi i Rosji, które nie zostały zaproszone do Europejskiej Wspólnoty Politycznej, i prezydenta Turcji, którego zatrzymały reelekcyjne obowiązki. Spotkanie odbyło się 30 km od granicy separatystycznego Naddniestrza, której strzegą też rosyjscy żołnierze, oraz 50 km od granicy ukraińskiej. To sygnał dla Kremla, który nadal uważa Mołdawię za część swojej strefy wpływów.

DOGUKAN KESKINKILIC / AFP / EAST NEWS

Był to drugi szczyt formatu zainicjowanego w maju 2022 r. przez prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Dialog w ramach EWP ma skupiać się na europejskim bezpieczeństwie i energetyce. Ma to być format, dla którego pokój i stabilność są ważniejsze niż różnice polityczne. Bez wyrazistych bieżących celów i bez biurokracji, za to z rozmowami w dobrej atmosferze i fotografią „wielkiej europejskiej rodziny" na zakończenie. Niektórym przypomina to XIX-wieczny model dyplomacji. Krytycy mówią o efemeryczności i dublowaniu istniejących instytucji, jednak coraz częściej słychać też, że to coś, czego Europa dziś potrzebuje.

Na mołdawskim szczycie nie zabrakło poruszających momentów i ważnych deklaracji. Do pierwszych należało zwłaszcza przybycie Wołodymyra Zełenskiego. Na inicjującym spotkanie wspólnym wystąpieniu z prezydentką Mołdawii Maią Sandu (oboje na zdjęciu) liderzy dwóch państw posowieckich, które kandydują do Unii, ogłosili, że są „gotowi iść razem, ramię w ramię".

Duże wrażenie wywarł zwrot w retoryce prezydenta Francji, który w przededniu spotkania powiedział, że Zachód musi dać Ukrainie „konkretne i wiarygodne" gwarancje bezpieczeństwa. Zełenski wprost stwierdził, że Ukraina oczekuje takich gwarancji i „jasnego zaproszenia" do członkostwa w NATO. Bez wątpienia będzie to gorący temat przed lipcowym szczytem Sojuszu w Wilnie. Wysoką temperaturę gwarantuje kanclerz Olaf Scholz, według którego kwestia gwarancji bezpieczeństwa powinna zostać rozstrzygnięta dopiero po zakończeniu wojny. ©

Polska. Tu się pracuje

MAREK RABIJ

Na każdych stu Polaków w wieku produkcyjnym pracy nie ma dziś statystycznie 2,7 – to wyniki najnowszego, kwietniowego pomiaru bezrobocia. Pod tym względem po raz pierwszy w dziejach swojej gospodarki rynkowej Polska wypada najlepiej ze wszystkich krajów Unii Europejskiej. Wyprzedziliśmy nawet Czechów, co prawda nie dlatego, że nasz rynek pracy nie odczuł skutków spowolnienia (pomiędzy marcem a kwietniem przybyło nam 4 tys. bezrobotnych), lecz z powodu problemów czeskiej branży motoryzacyjnej, która musiała zredukować zatrudnienie w ślad za spadającymi zamówieniami. Na uwagę zasługuje także metodologia badania. Eurostat, który opublikował dane o bezrobociu, mierzy je inaczej od polskiego GUS, który po prostu zlicza zarejestrowanych w urzędach pracy. W ujęciu unijnym bezrobotnym jest ten, kto szuka zatrudnienia, ale nie może go znaleźć, stąd rozbieżność pomiędzy wskaźnikami GUS (5,2 proc. w kwietniu) a Eurostatu. Te ostatnie lepiej oddają sytuację na rynku pracy, gdzie zatrudnienie może dziś znaleźć właściwie każdy, kto go potrzebuje. Zapotrzebowanie na pracę winduje obecnie polski eksport. Dzięki niemu gospodarka ma solidny fundament i być może szybko odreaguje ostatnią zadyszkę.

By nie ulegać euforii, warto jednak zaznaczyć, że polski rynek pracy wciąż cierpi na kilka schorzeń. Etat nadal bywa rzadkością w części branż. Wiele miejsc pracy oferuje też wynagrodzenie, które pozwala jedynie na przeżycie. ©℗

Dlaczego tak trudno oceniać Watersa

WOJNA I SZTUKA ▪ Z pozoru wszystko układa się w całość: wygłasza antyzachodnie tyrady, krytykuje Ukrainę, po czym na zaproszenie Rosji występuje w ONZ; w końcu zakłada na scenę mundur stylizowany na nazistowski. Roger Waters – były lider Pink Floyd, autor tekstów i pomysłów, które w latach 70. z kilku płyt zespołu uczyniły arcydzieła – daje wiele powodów, by przestać go traktować serio.

Jego koncert w Krakowie odwołano. Zarządców londyńskiej O2 Areny, gdzie gra w tych dniach, poddawano presji, by uczynili tak samo. Prokuratura we Frankfurcie bada, czy występ Watersa w mundurze nie był promowaniem faszyzmu.

SPLASH NEWS / EAST NEWS

W mundurze – dodajmy – który częścią jego scenicznego image'u jest od ponad 40 lat. Raczej nikt wychowany na płycie „The Wall" (1979) nie mógł zostać neonazistą; tak silna była tamta, częściowo przecież autobiograficzna opowieść o przechodzącym w szaleństwo fanatyzmie, osieroceniu wojną i oddzieleniu od najbliższych. W kolejnych latach twórca sam zdiagnozował źródła zła: są nimi, jego zdaniem, imperializm USA, polityka Izraela względem Palestyny i kapitalizm (choć w jego krytyce nie jest spójny, skoro, jak zauważył portal „Politico", podczas koncertu Watersa buteleczka wody kosztuje 4,50 euro). Równocześnie przekroczył próg głupoty, w idiotyczny sposób „cieniując" winy w wojnach w Syrii i Ukrainie. Ostatecznie 80-letni dziś Waters zbudował więcej ścian, niż ich skruszył. Choć – taki paradoks – na jego tekstach można ciągle uczyć antyfaszyzmu. ©℗ MARCIN ŻYŁA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole
97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

AKCJA RATUNKOWA DLA KRAKOWA / MATERIAŁY PRASOWE

Przed krakowskim magistratem demonstrowano w obronie drzew. 31 maja 2023 r.

Sojusz drzew i ludzi

OCHRONIĆ NATURĘ ▪ W Krakowie trwa walka o 1059 drzew, które miasto planuje wyciąć przy okazji budowy nowej linii tramwajowej. Teren budowy ma zostać lada dzień przekazany inwestorowi, a gdyby nie interwencja mieszkańców i radnych dzielnicy Prądnik Czerwony, prawdopodobnie nie byłoby już czego ratować. Petycję przeciwko wycince w niespełna dwa tygodnie podpisało ponad 7 tys. ludzi, odbywały się też pikiety. Wreszcie 31 maja Rada Miasta po burzliwych obradach przegłosowała rezolucję wzywającą prezydenta Jacka Majchrowskiego do przeprojektowania inwestycji. Mieszkańcy wskazują, że nawet 700 drzew można uratować, wprowadzając niewielkie zmiany (np. stosując inny przebieg linii energetycznej). Nie zadowalają ich zapewnienia magistratu o nowych drzewach nasadzonych w ramach „rekompensaty", bo czym innym są potężne topole, towarzyszące od dekad mieszkańcom dzielnicy, a czym innym rachityczna sadzonka w doniczce.

Pomimo zapowiedzi wiceprezydenta Krakowa Andrzeja Kuliga o chęci do rozmów z mieszkańcami dzień po sesji rady na drzewach pojawiły się tablice z informacją o planowanej wycince. Zdaniem miasta doszło do zwykłej pomyłki, jednak wśród zaangażowanych mieszkańców panuje przekonanie, że wygrali bitwę – nie wojnę.

Podobne historie można znaleźć w prawie każdym polskim mieście. Mało co jest w stanie tak rozgniewać i zaangażować ludzi, jak znikające z ich okolicy drzewa. Mamy dość kolejnych skrawków zieleni wyrywanych przez deweloperów i programów „rewitalizacji", które na polskich rynkach i placach zamieniły się w festiwal betonozy. W trakcie upałów, gdy w „zrewitalizowanych" przestrzeniach można na bruku usmażyć jajecznicę, dostrzegamy, ile dają nam miejskie drzewa. Bronią ich nie tyle aktywiści, co sąsiedzi. Widać to nie tylko na protestach, ale też w budżetach obywatelskich większych miast, gdzie coraz częściej pojawiają się plany nasadzeń i nowych parków (pięknym przykładem jest obywatelski park Czarna Woda we Wrocławiu). Symbolami są też dwa dęby z warszawskiego osiedla Stara Miłosna, które tylko dzięki uporowi mieszkańców przetrwały remont drogi. Ostatecznie wystarczyło w projekcie przesunąć latarnię uliczną, jednak walka o to wcale nie była prosta. W jej trakcie dębom nadano imiona: Malwa i Miłosz. Na parę weteranów z ulicy Cienistej można głosować w rozpoczętym kilka dni temu plebiscycie na polskie Drzewo Roku. ©℗ KRZYSZTOF STORY

Kosowski węzeł gordyjski

GEORGI LICOVSKI / EPA / PAP

Amerykanie z sił pokojowych KFOR pilnują budynku władz gminy Leposavić w północnym Kosowie, 2 czerwca 2023 r.

BAŁKANY ▪ W poniedziałek 29 maja w Kosowie znów wybuchły zamieszki. W starciach serbskich bojówek z żołnierzami sił pokojowych KFOR zostało rannych ponad 80 osób, w tym 30 włoskich i węgierskich żołnierzy.

W czterech gminach zdominowanych przez Serbów na północy Kosowa, zamieszkałych przez ok. 50 tys. osób, niespokojnie jest od ponad roku. Jednak takiej skali przemocy nie było tam od dekady – od roku 2013, gdy podczas podobnych niepokojów zginął litewski funkcjonariusz misji EULEX.

Teraz iskrą zapalną było zajęcie budynków władz samorządowych, by umożliwić pracę burmistrzom – etnicznym Albańczykom, którzy zostali wybrani w kwietniowych wyborach lokalnych, zbojkotowanych przez Serbów na polecenie Belgradu. Protesty – obecnie w pokojowej formie – trwają nadal. Serbowie domagają się wycofania kosowskich sił policyjnych z północy i oddania budynków analogicznym strukturom samorządowym finansowanym przez Belgrad. Sytuacja jest napięta, kontyngent KFOR wzmocniono o dodatkowych 700 żołnierzy.

To kolejna odsłona sporu o kontrolę nad serbskimi gminami na północy. Ich mieszkańcy wciąż nie chcą zaakceptować niepodległości Kosowa, a Belgrad podsyca ich resentymenty i wrogość wobec Prisztiny (choć oficjalnie deklaruje wolę rozwiązania konfliktu). Realną władzę na tym terenie sprawują podporządkowane Serbii struktury polityczno-mafijne, które kontestują wszelkie próby egzekwowania prawa.

Do obecnej eskalacji przyczyniły się też działania władz kosowskich, które próbowały zaprowadzić na północy porządek na własną rękę. W listopadzie 2022 r. chciano zmusić tamtejszych Serbów do używania kosowskich tablic rejestracyjnych, po czym w ramach protestu ich przedstawiciele po prostu opuścili kosowskie instytucje – policję, prokuraturę i samorząd lokalny. Ich lojalność wobec Prisztiny zawsze była wątpliwa (tym bardziej że otrzymywali drugą pensję z Belgradu), ale stwarzało to pozory obecności kosowskich instytucji na północy.

Zachód zakłada, że jeśli wymusi na Prisztinie ustępstwa wobec Serbii, uda się uspokoić sytuację. Domaga się także rozpisania nowych wyborów i wycofania się kosowskiej policji z północy. To jednak od Belgradu zależy, czy Serbowie w ogóle zagłosują, a stabilność osiągnięta w ten sposób będzie niezwykle krucha. © MARTA SZPALA

Stres, mózg i jelita: odkryto mechanizm choroby

ZDROWIE ▪ Zapadalność na nieswoiste choroby zapalne jelit, przede wszystkim chorobę Leśniowskiego-Crohna oraz wrzodziejące zapalenie jelita grubego, w ostatnich dekadach znacząco wzrosła. Naukowcy wiążą ten wzrost z upowszechnieniem się diety zachodniej, bogatej w mięso i produkty wysokoprzetworzone. Z powodu chorób zapalnych jelit cierpi w skali globu 10 mln osób. I choć jest to problem przewlekły, to częste rzuty choroby oraz nieodwracalne uszkodzenia narządu uniemożliwiają funkcjonowanie.

Wśród znanych czynników, które wywołują rzuty choroby, są błędy dietetyczne, palenie tytoniu, a także stres. Zaostrzenie choroby zapalnej często obserwowane jest po traumatycznych wydarzeniach. Zespół badaczy z USA, Niemiec i Holandii opublikował w czasopiśmie „Cell" pracę szczegółowo wyjaśniającą biochemiczne mechanizmy stojące za wywoływaniem zapalenia jelita przez stres. Główną rolę odgrywają tu dwa układy nerwowe – centralny – czyli mózg – oraz jelitowy. Ogniwem spajającym te dwa, zdawać by się mogło, odległe organy są hormony sterydowe. W dużym uproszczeniu: przewlekły stres skutkuje zwiększoną produkcją steroidów, które poprzez komórki glejowe stymulują monocyty (komórki immunologiczne) do wywoływania reakcji zapalnej. Wyniki uzyskane z badań myszy, którym wykonywano m.in. kolonoskopię, potwierdzono badaniami endoskopowymi u ludzi i analizą danych z bazy UK Biobank. Nie dość, że przewlekły stres koreluje z zaostrzeniami nieswoistych chorób zapalnych jelit, to jeszcze w dziesięcioletniej perspektywie sprzyja zachorowaniu na nie osób wcześniej zdrowych.

Jednym z łączników między stresem a zapaleniem okazują się sterydy, które jednocześnie używane są w leczeniu chorób zapalnych jelit. Badacze podejrzewają, że mogą one odmiennie wpływać na jelita w krótkiej i długiej perspektywie.

Relacje i zależności między przewodem pokarmowym a mózgiem, nazywane osią mózg-jelito, są w ostatnich latach intensywnie badane. Istotny wpływ na zdrowie jelit ma więc nie tylko to, co jemy, ale też jak żyjemy.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

SZPIEG W STOGU SIANA

Komisja ds. badania rosyjskich wpływów to nie tylko polityczna dintojra wymierzona w Donalda Tuska. To również sygnał płynący od władz, że nasze służby są bezsilne i szpiegów trzeba łapać metodą małpy z brzytwą.

AGATA KAŹMIERSKA
I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Dwaj mężczyźni w średnim wieku spacerują w parku. W pewnym momencie ten wyższy proponuje „dojście do ministra obrony". Drugi ostrzega, że to może skończyć się więzieniem. Postanawiają, że mniejszym ryzykiem będzie „dojście" do wiceministra. „On też ma dostęp do tajnych dokumentów, poufnych informacji. Z ministrem to niebezpieczne, ale jego asystenci, zastępcy już tak" – stwierdza niższy, z wyraźnie rosyjskim akcentem. To fragment nagranej przez słowackie służby rozmowy Bohuša Garbára, pracownika prorosyjskich portali, z Siergiejem Sołomasowem, attaché wojskowym ambasady Rosji w Bratysławie. Sołomasowa ze Słowacji wyrzucono, Garbára kilka tygodni temu skazano za szpiegostwo.

Od początku agresji na Ukrainę podobne sprawy, dotyczące rosyjskich powiązań agenturalnych, ujawniane są wyjątkowo regularnie. Serię porażek Moskwy w tej materii Ken McCallum, szef brytyjskiej MI5, nazwał najbardziej znaczącym w najnowszej historii wywiadów ciosem strategicznym zadanym Rosji.

Polskie polowanie na „ruskich agentów" jest jednak na tyle wyjątkowe, że nasi sojusznicy mogą przecierać oczy ze zdumienia, a wrogowie w Moskwie – otwierać szampana. Realne działania polskich służb zniknęły bowiem z pola widzenia, a komisja ds. badania rosyjskich wpływów na pewno nie posłuży do zażegnywania zagrożeń z Kremla.

Największy związany z nią problem dla bezpieczeństwa Polski to nawet nie możliwość wycieku tajnych dokumentów, do których ta komisja będzie miała praktycznie nieograniczony dostęp. – Przede wszystkim chodzi o to, że Polska może wypaść z kręgu cywilizowanych państw NATO, które mają zdolności koalicyjne – mówi „Tygodnikowi" gen. Jarosław Stróżyk, były zastępca zarządu wywiadu w Kwaterze Głównej NATO w Brukseli.

Podejrzani o współpracę

Strategiczny cios zadany Rosji nie dotyczy tylko ponad 450 oficerów jej wywiadu, którzy pracowali pod tzw. dyplomatyczną przykrywką i po wybuchu wojny w Ukrainie zostali wydaleni z państw zachodnich. Chodzi także o demaskowanie działających na rzecz Rosji szpiegów. Lista jest długa. W Bułgarii toczy się sprawa generała rezerwy, który od 2016 r. miał sprzedawać radcy rosyjskiej ambasady wyniesione z MON tajne dokumenty NATO. W Berlinie aresztowano oficera, który przekazywał Rosji tajemnice wywiadu. Holendrzy zatrzymali działającego pod przykryciem oficera GRU, który chciał się zatrudnić w Międzynarodowym Trybunale Karnym w Hadze, by angażować się w śledztwo dotyczące zbrodni wojennych w Ukrainie.

Eksperci zwracają uwagę, że w kontekście europejskiej gry wywiadów wyjątkowo ciekawa jest kwestia rosyjskich nielegałów, czyli szpiegów przeszkolonych w przyjmowaniu cudzych tożsamości i osadzonych w zachodnich społeczeństwach. To *crème de la crème* wywiadu. Od 2011 r. do zeszłego roku w Europie nie złapano żadnego, ale od czasu inwazji w Ukrainie było aż siedem takich przypadków.

– Według jednej z teorii wpadki Rosjan mogą wynikać z tego, że przygotowując się do wojny w Ukrainie, zaczęli zadawać swoim agentom zadania trudne do realizacji, a ci, działając pod presją czasu, zaczęli popełniać błędy – mówi Piotr Niemczyk, były zastępca szefa wywiadu UOP. Część ekspertów spekuluje, że Zachód może zawdzięczać te sukcesy informacjom przekazywanym przez kogoś ze służb rosyjskich. „Wykrycie przez służby kontrwywiadowcze nielegała jest ekstremalnie trudne. W takich przypadkach źródłem informacji prawie zawsze jest człowiek" – mówił „Guardianowi" John Sipher, były zastępca dyrektora operacyjnego CIA na Rosję.

Jak na tym tle wypada nasz kraj? W marcu 2022 r. ABW wskazała listę 45 rosyjskich oficerów wywiadu i ich współpracowników pracujących w Polsce jako dyplomaci. Dostali polecenie wyjazdu w ciągu pięciu dni. Wiosną tego roku na czołówki światowych mediów przebiła się też informacja o aresztowaniu dziewięciu osób – miały śledzić dostawy broni na Ukrainę i planować akty sabotażu (później zatrzymano jeszcze trzy osoby z tej grupy). Pod koniec marca zastępca ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn informował o zatrzymaniu mężczyzny, który „gromadził informacje m.in. o infrastrukturze krytycznej oraz działaniach służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo" oraz o drugim, prowadzącym „rozpoznanie obiektów istotnych dla bezpieczeństwa RP, w tym związanych z siłami zbrojnymi".

Jedną z najgłośniejszych spraw było aresztowanie Tomasza L., byłego kierownika w warszawskim Urzędzie Stanu Cywilnego, wcześniej członka komisji ds. likwidacji WSI, który miał kopiować i przekazywać rosyjskiemu wywiadowi dokumenty dotyczące Polaków oraz mieszkających u nas cudzoziemców. Z komunikatu Biura Ministra Koordynatora Służb Specjalnych wynika, że od inwazji Rosji na Ukrainę „polskie służby zatrzymały 20 osób podejrzanych o współpracę z rosyjskim lub białoruskim wywiadem".

Brzmi dobrze? Okazuje się, że to może być za mało.

Niewidzialni

Służby nie informują o wszystkich swoich działaniach i można optymistycznie przyjąć, że część schwytanych u nas szpiegów została przewerbowana. Piotr Niemczyk studzi nadzieje: – To dość anachroniczne podejście. W naszych czasach ciężko ukryć przed profesjonalnie działającą służbą, że jej oficer zniknął, nawet na niedługi czas. Do tego naprawdę skuteczne przewerbowanie jest niesamowicie trudne, a procedury sprawdzania informacji wywiadowczych są dziś takie, że mało prawdopodobne, by jeden przewerbowany agent był w stanie skutecznie zmylić swoją centralę. Zwykle szpiegów po prostu się zatrzymuje.

– Osoby takie jak Tomasz L. są cenne dla obcych służb wywiadowczych, bo mając dostęp do baz danych obywateli mogą być przydatne w budowie legend dla nielegałów, lokowanych w Polsce albo przerzucanych przez nasz kraj na Zachód – wyjaśnia gen. Marek Dukaczewski, były szef WSI.

Zarówno on, jak i inni eksperci, z którymi rozmawialiśmy, zwracają uwagę, że prawie wszyscy zatrzymani w Polsce pod zarzutem szpiegostwa to cudzoziemcy. – Nie ulega wątpliwości, że Polaków działających na rzecz Rosji nawet na wyższych stanowiskach niż Tomasz L. jest znacznie więcej, a brak większej liczby tego typu zatrzymań świadczy wyłącznie o nieefektywności służb – uważa gen. Stróżyk.

– Przez lata nie tylko u nas, ale i w całej Europie nie interesowano się rosyjskimi wpływami, bo nikomu nie było to na rękę. Z jednej strony część elit uważała, ↦

Warszawa, 24 listopada 2020 r.

MAREK KOWALCZYK / REPORTER

↦ że takie doniesienia to bzdury, z drugiej istniało potężne rosyjskie lobby, które dbało, by takie opinie się utrzymywały. I był to rak trawiący całą Europę, z którym nikt nie próbował walczyć, szczególnie, że wielu „niezbyt" uczciwych Europejczyków na obecności Rosjan zarabiało – mówi nam Jerzy Marek Nowakowski, były dyplomata i polityk, prezes Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego. I dodaje: – Dziś do rzeczywistego wyśledzenia rosyjskich wpływów należałoby zaangażować potężną machinę analityczną państwa, skupiając się na śledzeniu przepływów finansowych.

Tymczasem, jak ocenia gen. Stróżyk, nasze służby, zamiast być apolityczne i zajmować się ochroną kraju, zajmują się ochroną partyjnych interesów: – A szefowie tych służb nie wyrażą sprzeciwu, bo to partii zawdzięczają kariery.

– Komisja ds. badania rosyjskich wpływów nie ma nic wspólnego z rzeczywistym wyłapywaniem rosyjskich szpiegów. To polityczna dintojra – twierdzi Niemczyk. – Z drugiej strony, można ją uznać za sygnał płynący od władz, że nasze służby są bezsilne i w związku z tym wyłapywać obcych szpiegów będziemy metodą małpy z brzytwą.

Samozaoranie

We współczesnych konfliktach punkt ciężkości przesuwa się w kierunku jednoczesnego wykorzystania metod politycznych, ekonomicznych, informacyjnych, a środki militarne powinny być jedynie ich uzupełnieniem, prowadząc przeciwnika do faktycznej utraty suwerenności bez zajmowania jego terytorium – to kwintesencja słynnej doktryny gen. Gierasimowa i fundament wojny hybrydowej prowadzonej przez Rosję z Zachodem. Jeden z naszych rozmówców, badacz relacji polsko-rosyjskich, kpi gorzko, że w Polsce udoskonaliliśmy tę doktrynę do tego stopnia, że nie potrzebujemy już wpływów rosyjskich i samozaorać się w polsko-polskiej wojnie umiemy bez niczyjej pomocy.

Jak dobrze nam idzie? Jakiś czas temu po serii włamań na skrzynki mailowe parlamentarzystów ABW zorganizowała w Sejmie szkolenie z cyberbezpieczeństwa. Ale, jak donosiły media, cieszyły się znikomym zainteresowaniem i nie pojawili się na nich nawet ci posłowie, którzy padli ofiarą ataków hakerskich.

GEN. STRÓŻYK:

Nasi politycy nie mają zaufania do polskich służb i żadnych szkoleń u nich nie chcą, a jednocześnie ignorują zagrożenia.

GEN. DUKACZEWSKI:

Wcale bym się nie zdziwił, gdyby za jakiś czas pojawiła się potrzeba powołania komisji do spraw zbadania rosyjskich wpływów w komisji badającej rosyjskie wpływy.

– Można odnieść wrażenie, że nawet teraz, gdy trwa wojna w Ukrainie, zagrożenie ze strony Rosji przez wielu polityków traktowane jest z lekceważeniem, a temat pojawia się wyłącznie, gdy można go potraktować jak pałkę na przeciwników – mówi proszący o zachowanie anonimowości oficer.

Gen. Stróżyk: – Nasi politycy nie mają zaufania do polskich służb i żadnych szkoleń u nich nie chcą, a jednocześnie ignorują zagrożenia, czego najlepszym przykładem może być dezynwoltura Jacka Sasina, który chwalił się przyjęciem telefonu od chińskiego Huawei. Jednocześnie, żeby szkolenia miały sens, należałoby wyciągać konsekwencje wobec takich osób jak Michał Dworczyk, premier Morawiecki i wielu innych, którzy procedury związane z bezpieczeństwem zwyczajnie złamali, wymieniając się mailami zawierającymi informacje, których zdecydowanie nie należało tą drogą wysyłać.

– Nie da się roztoczyć osłony kontrwywiadowczej nad osobą, która nie rozumie swoich zobowiązań w zakresie ochrony informacji, zwłaszcza niejawnych – dodaje specjalizująca się w zagrożeniach związanych z wojną hybrydową dr Paulina Piasecka z Collegium Civitas. – Dlatego szkolenia w tym zakresie opierają się nie tylko na przekazywaniu wiedzy i potencjalnych umiejętności, ale przede wszystkim na budowaniu świadomości danej osoby jako uczestnika systemu bezpieczeństwa informacyjnego państwa.

Z tego założenia wyszedł rząd Szwecji i pięć lat temu, w ramach przygotowań do wyborów parlamentarnych, nie tylko stworzył agencję do walki z dezinformacją, ale i rozpoczął akcję edukacyjną. W jej ramach kontrwywiad SÄPO rozesłał do 50 tys. osób na każdym szczeblu administracji państwowej podręcznik wyjaśniający, jak działają kampanie dezinformacyjne.

Gen. Dukaczewski: – U nas sytuacja jest do tego stopnia patologiczna, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby za jakiś czas pojawiła się potrzeba powołania komisji do spraw zbadania rosyjskich wpływów w komisji badającej rosyjskie wpływy.

Niewiarygodni

Niemal wszyscy nasi rozmówcy zwrócili uwagę na szeroko omawiany w zeszłym tygodniu list ambasadora USA w Polsce, skierowany do marszałek Elżbiety Witek oraz przesłany m.in. do szefów Kancelarii Prezydenta, BBN, MSZ i MON. Ambasador Mark Brzeziński wyraża w nim zaniepokojenie sejmowymi pracami nad nowelizacją ustawy o zarządzaniu nieruchomościami, która ma zakończyć funkcjonowanie w Polsce użytkowania wieczystego jako formy własności i przekształcić je w pełną własność. „Niezamierzoną konsekwencją przygotowywanej nowelizacji może być to, że nie budzące zaufania państwa mogą przedsięwziąć w polskiej infrastrukturze krytycznej (w której skład wchodzą te nieruchomości) inwestycje wysokiego ryzyka lub nietransparentne. To z kolei mogłoby wpłynąć na działania Stanów Zjednoczonych, dwustronne relacje, działania NATO i przedsięwzięcia/operacje militarne na terenie Polski" – pisze dyplomata.

O problemie świadczy nie tylko treść listu, ale w ogóle ten sposób komunikacji. – Nie wiemy, czy wyrażony w liście niepokój przekazano kanałami dyplomatycznymi i za pośrednictwem służb. Na ile znam sposoby działania Amerykanów, wcześniej tak właśnie zrobili, a wy-

słanie listu może świadczyć, że tamte kanały okazały się niedrożne – wyjaśnia gen. Marek Dukaczewski. Podobnie Piotr Niemczyk uważa, iż rząd USA, decydując się na wysłanie listu i jednocześnie godząc się, by sprawa została upubliczniona, dał wyraz braku zaufania do strony polskiej i jej służb.

Gen. Dukaczewski zwraca uwagę, że to może nie być pierwszy taki przypadek. W listopadzie 2021 r. do Polski przyjechała dyrektorka amerykańskiego Wywiadu Narodowego Avril Haines. Spotkała się m.in. z premierem Morawieckim i ostrzegała przed zbliżającym się atakiem Rosji na Ukrainę. – Czy przyjechała do Polski, dając wyraz uznania i szacunku wobec naszego kraju ze strony największego sojusznika, czy braku zaufania do polskich służb, że nie przekażą amerykańskiego ostrzeżenia odpowiednim osobom w państwie? – pyta generał. – Przychylam się do tej drugiej opcji obserwując podziały, nie tylko na naszej scenie politycznej, ale nawet w rządzie, o których Amerykanie też przecież wiedzą. To może oznaczać, że nasze służby utraciły zaufanie sojuszników i są postrzegane nie jako służby państwowe, lecz partyjne. A interes partii niekoniecznie zgodny jest z interesem państwa.

Pieczątka z kartofla

Odkąd pojawił się pomysł powołania w Sejmie komisji ds. badania rosyjskich wpływów, ustawę, na mocy której powstała, nazywa się lex Tusk. Bez wątpienia łatwiej prowadzić nagonkę na Donalda Tuska czy innych polityków niż rzeczywiście zapolować na rosyjskich szpiegów. Zresztą, to najnowsze polsko-polskie polowanie na „ruskich agentów" wpisuje się w tradycję kultywowaną od 1990 r., kiedy o prezydenturę ubiegał się Stanisław Tymiński. Gdy ogłosił, że ma materiały kompromitujące rywalizującego z nim Lecha Wałęsę, natychmiast zaczęto go oskarżać, że jego kandydaturę zmontowało KGB.

I choć rzekome „kwity" na przyszłego prezydenta okazały się po latach podróbkami opatrzonymi pieczątką z kartofla, to jednak podejrzeń o rosyjskie powiązania Tymińskiego – mimo że żyła tym cała Polska – nigdy nie wyjaśniono.

© AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Prezydent Andrzej Duda ogłasza nowelizację ustawy o powołaniu komisji ds. badania wpływów rosyjskich. Warszawa, 2 czerwca 2023 r.

Żyjemy w państwie autorytarnym

WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO:

Ta ustawa wygląda jak prawniczy sabotaż. Komuś w rządzie zabrakło wyobraźni, by zrozumieć, że w pewnych fundamentalnych sprawach, nawet w obliczu wojny w Ukrainie, Unia nie ustąpi.

MAREK KĘSKRAWIEC: Czy na tle poprzednich ingerencji w nasz system prawny lex Tusk i powołanie komisji do badania wpływów rosyjskich jest czymś wyjątkowym?

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL: Tak, to jest nowa „jakość". Pojawia się organ, który daje wąskiej grupie osób uprawnienia do naruszania najgłębszych sfer naszej prywatności, jak również narzędzia do eliminowania obywateli z życia publicznego na podstawie bardzo niejasnych kryteriów. Dotychczas starano się stwarzać pozory i dokonywać ingerencji w naszą wolność rękami zawłaszczanych instytucji: sądów, prokuratur. Nadużywano mechanizmów istniejących w normalnym państwie. Teraz jednak przekroczono te ramy.

Czyżby procesy zawłaszczania państwa przebiegały zbyt wolno?

Widać tu wyraźny związek z wyborami, które w państwie autorytarnym, a w takim już od dłuższego czasu żyjemy, są zawsze zderzeniem władzy z emocjami społecznymi i grupami, które nie uważają, iż sam fakt przeprowadzania wyborów wypełnia definicję demokracji. One się przecież odbywają także w Rosji. W takich krajach władze potrzebują odpowiednio przygotować się do elekcji, stosując propagandę i wykluczenie medialne przeciwników oraz bezpośrednio „dokarmiając" warstwy społeczne, w których mają poparcie. Komisja jest nowym, wyższym piętrem tej systemowej manipulacji.

Z ustawy wynika, że można ponieść karę, nawet nie działając umyślnie lub w złej wierze. Dla Jarosława Kaczyńskiego ktoś, kto nie uznaje Mariusza Błaszczaka za osobę

↦

godną funkcji szefa MON, już działa na korzyść Kremla.

Komisja również może tak uznać. Może np. stwierdzić, że aktywiści, którzy pomagali uchodźcom na granicy białoruskiej, nie byli, jak chcą ich krytycy, szlachetnymi naiwniakami, tylko agentami Łukaszenki i Putina.

W tej ustawie mamy dwa poziomy niekonstytucyjności. Pierwszy polega na stworzeniu organu, który działa poza systemem prawnym państwa, a jego członkowie za swe czyny nie ponoszą odpowiedzialności. To już nie jest nawet komisja parlamentarna zachowująca pozory; jej członkiem może być niemal każdy, kogo politycy wskażą. I ktoś taki uzyska dostęp do naszej korespondencji, naszych komputerów, maili, kont bankowych, bilingów, tajemnicy lekarskiej, może też zarządzić przeszukanie w naszych domach. Dziennikarze oraz adwokaci mogą stracić prawo do tajemnicy zawodowej. To są gigantyczne kompetencje.

A drugi poziom?

Nawet komisja reprywatyzacyjna pod kierunkiem Patryka Jakiego musiała ustalić fakt bezprawnego działania i nie mogła sama wymierzać kar, tylko kierować wnioski do odpowiednich instytucji. W przypadku nowej komisji nie ma kwestii ustalania konkretnych przestępstw. Tu bardzo nieostre pojęcie pozostawania pod wpływem Rosji będą interpretowali ludzie spoza wymiaru sprawiedliwości, ale dysponujący prawem do faktycznego wykluczenia kogoś z życia publicznego, nawet na dziesięć lat. Co prawda prezydent chce komisji to prawo odebrać, ale jego nowelizacja może nie zostać uchwalona, a poza tym pokazuje ona, jaką fatalną jakość ma to prawo, skoro trzeba je od razu poprawiać.

Rosja nieustannie próbuje ingerować w politykę państw zachodnich i musimy z tym walczyć. Ale tym problemem powinny się zajmować służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze. Czy one nie działają, nic nie wykryły, nic nie wiedzą? Komisja w tym kontekście wygląda jak akt rozpaczy w upadłym państwie.

Dlaczego nie powołano klasycznej komisji śledczej?

Sejmowa komisja śledcza musi mieć konkretny zakres prac, obowiązuje w niej parytet klubów parlamentarnych, kończy pracę z dniem rozwiązania parlamentu, ale przede wszystkim ustala fakty. Nie nakłada przy tym żadnych sankcji. Komisja badająca rosyjskie wpływy ma zaś kompetencje prokuratora i sądu obu instancji.

GRAŻYNA MAKARA

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL jest sędzią Izby Karnej Sądu Najwyższego i kierownikiem Katedry Prawa Karnego UJ.

No ale zarówno prezydent, jak MSZ, odpierając zarzuty Departamentu Stanu USA i Komisji Europejskiej, upierają się, że ukarani będą mogli odwołać się do sądu. A także złożyć wniosek o wstrzymanie kary.

Tu już wkraczamy do świata iście orwellowskiego. Mamy w ustawie o komisji zapisane prawo do sądu, ale to prawo jest uwarunkowane tym, czy komisja łaskawie zechce przesłać mu akta. Sąd nie wstrzyma żadnej decyzji komisji, zanim nie pozna dokumentacji, a do niczego nie może komisji zmusić. Poza tym pamiętajmy, że mówimy o sądzie administracyjnym, który ma ograniczone kompetencje, nie zajmuje się zarzutami karnymi, a także jest przygnieciony potężną liczbą spraw. No i jest w nim już wielu powołanych bezprawnie neosędziów. Prezydencka zapowiedź nowelizacji i przekazania odwołań od decyzji komisji sądom powszechnym jest tak ogólna, że na razie nie ma sensu się nią zajmować.

Komisja będzie mogła ukrywać własne akta, ale sama uzyska dostęp do archiwów sądów, prokuratur, służb specjalnych, NIK, wielu urzędów państwowych i samorządowych.

Komisja może zajrzeć wszędzie: do archiwów firm, ale także do akt toczących się obecnie postępowań: od karnych po sprawy rozwodowe. Za niewydanie dokumentów albo niestawienie się na przesłuchaniu przewidziano drakońskie kary, łącznie z grzywnami do 50 tys. zł i doprowadzeniem przez policję. Nawet w kodeksie postępowania karnego grzywny są kilkanaście razy niższe, i to w sprawach o zbrodnie! Dlatego też osobę, która zbojkotuje ten bezprawny organ, czekają olbrzymie kary i groźba bankructwa, a tym samym śmierci cywilnej. Czy znajdzie się wielu odważnych?

To wszystko wygląda na sąd kapturowy lub trybunał ludowy.

Mało tego, patrzę na ustawę i widzę, że daje ona możliwość wpływania na niewygodne dla rządzących polityków procesy sądowe. Komisja może żądać takich akt i przerywać postępowanie, przetrzymując potem dokumenty i blokując proces. I ważniejsze tu będzie jej zdanie niż sądu.

Zwykłą ustawą doprowadzono do zupełnej zmiany systemu prawnego; w normalnie funkcjonującym państwie nikt nie wpadłby na taki pomysł. Wyobrażam sobie jednak, że znajdą się odważni sędziowie, którzy wykorzystają wszelkie instrumenty prawne, by bronić się przed tą niekonstytucyjnością.

Powołanie komisji to policzek dla służb tropiących szpiegów, zarazem jasna instrukcja, czego władza od nich oczekuje. To może je paraliżować, zwłaszcza jeśli znajdą coś na obecnych rządzących, tak jak paraliżuje coraz więcej środowisk świadomość, że krytyka władzy może oznaczać odcięcie ich od publicznych pieniędzy.

To jest mechanizm znany nam wprost z PRL. Funkcjonariusz służb, który natrafi na korupcję w środowisku partii rządzącej, może nie mieć ochoty drążyć sprawy w obawie przed szykanami. To dewastujące dla naszego państwa.

Czy Pan się zawiódł na prezydencie? W ostatnim czasie wydawał się działać niezależnie od PiS.

Obserwując sposób, w jaki przez lata funkcjonował prezydent i jego urząd, pozbyłem się większych złudzeń i kompletnie mnie nie zdziwiło, jak postąpił w tej

sytuacji. Ten urząd ma zapisane w swoich kompetencjach strzeżenie konstytucji i nie mogę zapomnieć, co już w 2015 roku pozwolił zrobić z Trybunałem Konstytucyjnym. Krok za krokiem niszczono w Polsce wymiar sprawiedliwości, a prezydent w tym uczestniczył. To, że czasem z tej niszczycielskiej drogi zstępował, nie pozbawiało mnie złudzeń. Strażnikiem konstytucyjnej demokracji nie był.

Lewica zapowiada, że po ewentualnym zwycięstwie będzie chciała postawić go przed Trybunałem Stanu. To tylko wyborcze pobrzękiwanie szabelką czy realna groźba dla prezydenta?

Nie będę się porywał na komentowanie politycznych zapowiedzi. Ani tego nie chciałbym robić, ani się na tym specjalnie nie znam. Jako prawnik wiem, że Trybunał Stanu nam się nie udał. Nie wypełnia swojej funkcji i nie jest dziś żadnym straszakiem na polityków, bo mimo wielu zapowiedzi praktycznie żadnego z nich nie pociągnął do odpowiedzialności.

Ostatnio mieliśmy wrażenie, że Komisja Europejska przymknęła oko na łamanie prawa przez polskie władze i w obliczu wojny w Ukrainie pójdzie na duże ustępstwa. Czy ta ustawa spowoduje silniejszy opór instytucji unijnych?

Nie wyobrażam sobie, żeby nie było ostrej reakcji, o czym świadczy choćby natychmiastowa debata w Parlamencie Europejskim. To jest tak drastyczne złamanie standardów prawa europejskiego i Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, że zupełnie sobie nie wyobrażam, by mogło to w Unii przejść bez echa. Tolerowanie takiej instytucji w polskim porządku prawnym to koniec wszelkich pozorów demokracji. Na to UE będzie musiała zareagować, co oznacza pożegnanie się ze środkami finansowymi, gdyż są one obwarowane kryterium praworządności.

Nie otrzymamy pieniędzy z KPO?

Tak mi się zdaje. Ta ustawa wygląda wręcz jak prawniczy sabotaż. Komuś w rządzie zabrakło wyobraźni, by zrozumieć, że w pewnych fundamentalnych sprawach, nawet w obliczu wojny, Unia nie ustąpi. Nie będzie też nas w nieskończoność prosić, byśmy spełnili ustalone warunki; w końcu te pieniądze trafią gdzie indziej. Ktoś skwapliwie wykorzysta naszą niechęć do praworządności i funduszy europejskich.

Z powodu lex Tusk bez echa przeszła zmiana ustawy o służbie cywilnej, która oznacza faktyczną lustrację 40 tys. urzędników i członków korpusu cywilnego urodzonych przed 1972 r. Po 34 latach będziemy ścigać agentów systemu, który trwał w sumie 44 lata. Antoni Macierewicz uważa, że wśród tych szykujących się do emerytury ludzi kryją się aktywni szpiedzy Kremla.

To jest jeden z tych aktów prawnych, które w praktyce niewiele oznaczają. Zabolą co najwyżej pojedyncze osoby, ale w praktyce są głównie banerem wyborczym, którym można pomachać i powiedzieć, że spełniło się jakieś obietnice. Zresztą, to nie jest tak, że przez okres III RP nie mieliśmy do czynienia z działaniami lustracyjnymi. One są prowadzone w sądach, ale ten problem już się niemal wypalił, sądząc po liczbie spraw. Takie działania miałyby sens w latach 90., ale dziś już nie. To prawo wygląda jak tworzone pod wybory, nie dla polskiego państwa.

Jak Pan widzi najbliższą przyszłość?

Szczerze? Jako obywatel wciąż buduję w sobie nadzieję, że te wybory się odbędą. Chociaż ktoś może uznać, że wpływy rosyjskie są tak duże, że trzeba ogłosić stan wyjątkowy. Może też być tak, że wybory się odbędą, ale wyniki nie zostaną zatwierdzone. Ale żeby to skutecznie zrobić, trzeba się odwołać do licznego grona zwolenników. Ta władza robi dużo, by poprzez propagandę wychować tłum ludzi, którzy zaakceptują wiele. Także system autorytarny i to, że pewne ugrupowania polityczne nie mają po prostu prawa, by sprawować rządy, bo są tego niegodne jako zdrajcy. Czy można realizować lepiej rosyjskie interesy, niż tak głęboko dzieląc społeczeństwo?

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes),
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Błogosławieństwo

Salut wolkański – uniesienie jednej dłoni z połączonymi palcami wskazującym i środkowym oraz serdecznym i małym – znany jest nie tylko miłośnikom „Star Treka". Wcielający się w rolę Spocka Leonard Nimoy przyznał, że ten gest podpatrzył w synagodze, gdy – dziecięciem będąc – spoglądał ukradkiem na udzielających błogosławieństwa kapłańskiego potomków Aarona. Wiekuisty polecił Mojżeszowi: „Powiedz Ahronowi i synom jego w te słowa: »Tak błogosławić macie synom Israela«" (Lb 6, 23; Cylkow). Filmowi Wolkanie unoszą tylko jedną rękę, w wersji oryginalnej kapłani trzymają w górze obie dłonie połączone odchylonymi kciukami.

Tak więc od ponad 3300 lat błogosławienie zgromadzonych to prerogatywa Aaronowych potomków. W Diasporze kilka razy w ciągu roku, w Izraelu co szabat, a w Jerozolimie codziennie stają zwróceni przysłoniętymi szalem modlitewnym twarzami ku wiernym i wznoszą ułożone odpowiednio dłonie. Śpiewnie powtarzają za prowadzącym modlitwy po jednym słowie błogosławieństwa: „Niechaj pobłogosławi cię Wiekuisty, a strzeże cię! Niechaj przyświeca Wiekuisty obliczem Swojém tobie, a miłościwym ci będzie! Niechaj zwróci Wiekuisty oblicze Swoje ku tobie, a da ci pokój!" (wersy 24-26). Koncentracja na każdym słowie robi piorunujące wrażenie. Na pozór polskiemu tłumaczeniu nic nie brakuje – ginie jednak w przekładzie poczucie narastania błogosławieństwa: pierwszy jego wers ma po hebrajsku trzy słowa, następny – pięć, ostatni zaś – siedem. Kolejne zdanie po błogosławieństwie, zamykające ten rozdział Księgi Liczb, brzmi: „I tak niechaj złożą imię Moje na synów Israela, a Ja ich błogosławić będę!". Kapłani są więc jedynie kanałem, którym Boża łaska spływa na wiernych – w wersji hebrajskiej Imię Najwyższego jest drugim słowem w poszczególnych zdaniach. Każdy z wersów zawiera dwa elementy i kończy się w oryginale na „-echa" (raz na „-eka"), czyli „ciebie", poza ostatnim, gdzie pada słowo „*szalom*", czyli „pokój".

Dlaczego mamy nie patrzeć na ręce kapłanów podczas udzielania błogosławieństwa? Według midraszu do Pieśni nad Pieśniami zza palców kapłanów spogląda na nas Szechina (Boża Obecność – wprawdzie niewidzialna, ale i tak nie godzi się spozierać), zgodnie z wersem: „Luby mój podobny do sarny albo do jelenia młodego. Już stanął za murem naszym, wygląda z okien, wypatruje z poza krat" (Pnp 2, 9). Ostatnie słowo po hebrajsku – „*ha-charakim*" – można zinterpretować jako „pięć (wartość numeryczna litery hej) szczelin": tyle ich właśnie jest w odpowiednim ułożeniu palców Aaronowych potomków. Nie będzie ich aż tylu w salucie wolkańskim, w którym gestowi towarzyszą słowa: „Żyj długo i pomyślnie". Krótko i węzłowato – dobrych życzeń nigdy dość. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Poskramiajcie ciemiężcę

Duch Święty otwiera człowieka zwłaszcza na to, czego nie chcemy ani widzieć, ani słyszeć. Prowadzi tam, gdzie można stracić nie tylko zdrowie, ale i życie. Na przykład teraz prowadzi nas Duch Święty na granicę z Białorusią. A jego głosem są media i ludzie, którzy mówią o trwającej tam tragedii dzieci, matek i wielu mężczyzn. Oni mają odwagę sprzeciwić się tym, którzy usiłują uchodźców odczłowieczyć, zrobić z nich tzw. problem, np. polityczny. A jeśli komuś należy się dziwić szczególnie, to katolikom, zwłaszcza księżom i biskupom akceptującym takie nieludzkie traktowanie migrantów, wmawiającym sobie i innym, że są sami winni tego, co ich na granicy spotkało.

Dziennikarka Joanna Klimowicz pisała: „We wtorek 21 marca Mariusz Kurnyta, znany jako Człowiek Lasu, Katarzyna Mazurkiewicz-Bylok (także z POPH [Podlaskiego Ochotniczego Pogotowia Humanitarnego – red.]) i prof. Rafał Kowalczyk z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży odnaleźli ciało Mohammada z Afganistanu, którego aktywiści z narażeniem na szykany poszukiwali od 20 lutego. (...) 27-letni Mohammad, który marzył o podróżach, to (...) 40. ofiara kryzysu humanitarnego na polsko-białoruskiej granicy".

Radzi nam dzisiaj prorok Ozeasz: „Starajmy się poznać Pana. Jego przyjście jest pewne jak nadejście poranka". Ale kiedy Bóg już przyjdzie, staje bezradnie wobec ludzkiej przewrotności i woła: „Cóż mam począć z tobą, Efraimie? Co mam uczynić z tobą, Judo? Wasza miłość jest jak poranny obłok, jak rosa, która wcześnie znika. Dlatego ciosałem ich przez proroków i raniłem słowami ust moich. Przeprowadzałem mój sąd o świcie. Gdyż pragnę miłości, a nie ofiary, poznania Boga bardziej niż całopaleń". Dzisiaj ten sąd Boga nad nami odbywa się m.in. na granicy z Białorusią. W tym procesie nie Bóg nas oskarża, gdyż jest On naszym obrońcą, ale my sami na siebie piszemy wyrok. Ażeby tak się nie stało, Bóg przez proroka Izajasza mówi: „Choćbyście mnożyli modły, Ja ich nie wysłucham. Ręce wasze są pełne krwi! Obmyjcie się! Oczyśćcie! Usuńcie sprzed mojego oblicza zło waszych niecnych czynów. Przestańcie czynić źle! Uczcie się czynić dobrze! Szukajcie tego, co prawe! Poskramiajcie ciemiężcę, brońcie prawa sieroty, stawajcie w obronie wdowy!". Poskramiajmy ciemiężców, a nie ich ofiary. Honorujmy ratowników, a nie bezdusznych krzywdzicieli. Ile razy Jezus ma powtarzać: „Cokolwiek zrobiliście dla...".

Kraj katolicki, oddany w niewolę miłości Maryi, która jest tegoż kraju królową, która wie, co znaczy być uciekinierem, nie da się łatwo zwieść hymnom ku jej czci. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Wysychanie

Uciekaj, milcz, szukaj pokoju.

Z OPOWIEŚCI OJCÓW PUSTYNI

Poszukiwacze Drogi nie szukają rozgłosu, potrzebują bowiem spokoju.

Z OPOWIEŚCI SUFICKICH

Liturgia uczyniła nas ostatnio świadkami oczyszczenia świątyni Jerozolimskiej przez Jezusa: „wszedłszy do świątyni, zaczął wyrzucać tych, którzy sprzedawali i kupowali w świątyni, powywracał stoły tych, co zmieniali pieniądze, i ławki sprzedawców gołębi" (Mk 11, 15). Wydarzenie musiało być szokujące – wszak działo się niemal w przeddzień Paschy i Jerozolima była pełna przybyłych Żydów, potrzebujących wymienić monety, którymi obracali na co dzień, na takie, które były dopuszczalne w obiegu świątynnym; każdy też potrzebował zakupić baranka na paschalną wieczerzę albo choćby najmniejszą ofiarę dla Pana (np. gołębie).

Jezus pospieszył z objaśnieniem swojego czynu; zaczerpnął je z dwóch ksiąg prorockich: od Jeremiasza: „jaskinią zbójców stał się ten dom" (7, 11) i Izajasza: „Napisane jest: Mój dom będzie nazwany domem modlitwy dla wszystkich narodów" (56, 7). Obydwa te cytaty przytaczają w swoich relacjach również Mateusz i Łukasz, ale – czy to przypadek? – cytat z Izajasza kończą wcześniej: „Mój dom będzie nazwany domem modlitwy" (zob. Mt 21, 13 i Łk 19, 46). Tylko Marek przepisuje proroctwo Izajasza do końca, mówiąc, iż nie chodzi o modlitwę w ogóle, lecz o modlitwę wszystkich narodów, czyli inaczej mówiąc, pogan. Bóg mówi przez Izajasza: „przyprowadzę cudzoziemców na moją Świętą Górę i rozweselę w moim domu modlitwy (...) Wyrocznia Pan, który gromadzi wygnańców Izraela: Jeszcze mu innych zgromadzę oprócz tych, którzy już zostali zgromadzeni" (Iz 56, 7-8).

Marek przypomina marzenie Boga wypowiedziane sześć wieków wcześniej o świątyni wypełnionej także poganami. Przypomina, gdyż cały ów „święty" biznes (z kantorem włącznie) odbywa się nie gdzie indziej, lecz w jedynym miejscu świątyni, do którego mieli prawo wejść poganie – na dziedzińcu nazwanym dziedzińcem narodów/pogan. Właśnie ta przestrzeń świątyni została zagarnięta na swoistą „fabrykę kultu". Poganie zostali z niej „wypchnięci". Co pewnie nigdy nie miałoby prawa się stać, gdyby wcześniej nie zostali wyrzuceni z myśli i serc świątynnych włodarzy. Tym najwyraźniej dobrze jest samym ze sobą; nie potrzebują „obcych" – właściwie w jakim celu mieliby tu przychodzić? Nie ma żadnego pragnienia misji; świadomość wybrania stała się źródłem samozadowolenia i (fałszywego) bezpieczeństwa zamiast poczuciem posłania do „wszystkich narodów".

Właśnie dlatego Marek wkłada opowiadanie o oczyszczeniu świątyni w opowiadanie o fidze, na której Jezus nie znalazł owoców (zob. Mk 11, 12-14 i 20-25). Zwykle odczytujemy ten tekst na skróty, mówiąc, iż figa uschła przez słowo Pana. Nie! Pan nie „kazał" fidze uschnąć. Pan powiedział do niej: „Niechaj już nikt nigdy nie je z ciebie owocu". To bezowocność zabija. Zamknięci sami w sobie, i we własnej, doskonale zorganizowanej religijności, nawet nie spostrzeżemy, kiedy zaczniemy wysychać. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 VI)

10. niedziela zwykła: Oz 6, 3-6; Ps 50; Rz 4, 18-25; Mt 9, 9-13;
Poniedziałek: 2 Kor 1, 1-7; Ps 34; Mt 5, 1-12;
Wtorek: 2 Kor 1, 18-22; Ps 119; Mt 5, 13-16;
Środa: 2 Kor 3, 4-11; Ps 99; Mt 5, 17-19;
Czwartek: 2 Kor 3, 15 – 4, 1. 3-4; Ps 85; Mt 5, 20-26:
Piątek, uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa: Pwt 7, 6-11; Ps 103; 1 J 4, 7-16; Mt 11, 25-30;
Sobota: Iz 61, 9-11; Ps: 1 Sm 2, 1. 4-8; Łk 2, 41-51;
11. niedziela zwykła: Wj 19, 2-6a; Ps 100; Rz 5, 6-11; Mt 9, 36 – 10, 8.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

ZNACZY GENERAŁ

W służbie jest ich obecnie 115. Są coraz młodsi, lepiej wykształceni i obyci z sojusznikami z NATO – oraz coraz bardziej skłóceni. Co się dzieje w polskim korpusie generalskim?

MAREK RABIJ

Gdyby liczebność generałów mierzyć częstotliwością, z jaką oficerowie tej rangi pojawiają się ostatnio w przestrzeni publicznej, można by dojść do wniosku, że to jeden z najczęściej spotykanych stopni wojskowych w polskiej armii.

Generałowie w służbie czynnej regularnie towarzyszą ministrowi obrony narodowej Mariuszowi Błaszczakowi podczas jego konferencji prasowych – choć z punktu widzenia etosu oficerskiego statystowanie przy wystąpieniach politycznych jest zajęciem, delikatnie mówiąc, kontrowersyjnym. Z kolei generałowie w stanie spoczynku buławy wodzowskie zamienili na pióra i mikrofony: systematycznie wizytują media, oceniają rozwój sytuacji w Ukrainie, a także plany modernizacyjne Wojska Polskiego i decyzje MON.

Czasem – jak można usłyszeć od czynnych wojskowych – publicystyczny temperament ponosi ich poza granice wyznaczone niepisaną regułą środowiskowej solidarności, która głosi, że byli dowódcy nie krytykują publicznie następców.

Niewybuch, który wybuchł

Wszystko to blaknie jednak na tle awantury, jaka na przełomie kwietnia i maja wybuchła między ministrem Błaszczakiem a *de facto* drugim oficerem w armii – generałem broni Tomaszem Piotrowskim, dowódcą operacyjnym rodzajów sił zbrojnych.

Po przypadkowym odnalezieniu w lesie pod Bydgoszczą rosyjskiej rakiety, która w grudniu 2022 r. wleciała w polską przestrzeń powietrzną, po czym zniknęła wojsku z radarów, minister wydał oświadczenie, w którym winę zwalił na Piotrowskiego. Zdaniem Błaszczaka wojskowe procedury zadziałały poprawnie, żołnierze wzorowo wykonali swoją robotę, zawiódł jedynie dowódca operacyjny, który nie zawiadomił o incydencie ministra i premiera.

W odpowiedzi gen. Piotrowski opublikował nagranie, w którym między wierszami dał do zrozumienia, że zarzuty traktuje jako atak na całą armię. Zaraz potem do tej kuriozalnej debaty na oczach Polski włączył się najważniejszy oficer Wojska Polskiego, szef sztabu generalnego gen. Rajmund Andrzejczak. Na antenie radia RMF powiedział, że o bydgoskiej sprawie poinformował przełożonych „wtedy, kiedy miało to miejsce".

– Piotrowski zna procedury – mówi emerytowany pułkownik sił powietrznych (prosi o niepodawanie nazwiska). – Wie, że jeśli informację o nadlatującej rakiecie dostaliśmy z USA lub Ukrainy, to znaczy, że tylko w polskim wojsku wiedziało o niej co najmniej kilkaset osób. Tego nie dało się zamieść w armii pod dywan, Piotrowski miałby być zatem desperatem, próbując ukryć informację przed ministrem. A gdyby chciał mu w ten sposób zaszkodzić, zaszkodziłby sobie.

Znacznie łatwiej, zdaniem pułkownika, odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ministrowi zależało na wyciszeniu sprawy. Albo zrobiono to po konsultacji z USA, które obawiały się eskalacji konfliktu NATO z Rosją, albo po to, by ukryć przed opinią publiczną nietrafione decyzje wojska i MON, włącznie z przerwaniem poszukiwań już po trzech dniach.

– A że na ofiarę wybrano Piotrowskiego, zupełnie mnie nie dziwi. Minister Błaszczak ma w armii swoich generałów. Dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych do nich nie należy – uśmiecha się pułkownik.

„Kukuła disco"

Rajmund Andrzejczak i Tomasz Piotrowski to dwie najważniejsze osoby w armii.

Pierwszy jest szefem sztabu generalnego i osobą, która na wypadek wojny obejmie funkcję naczelnego wodza.

GERARD / REPORTER

Minister Mariusz Błaszczak oraz generał Rajmund Andrzejczak podczas ćwiczeń Anakonda-20. Ustka, 8 czerwca 2020 r.

Drugi odpowiada za to, jak armia czuwa nad bezpieczeństwem kraju. Obaj znają się jeszcze z misji w Iraku i Afganistanie. Łączy ich też jeszcze jedno: z dystansem odnoszą się do oficjalnej linii MON. Andrzejczak ostentacyjnie sabotuje konferencje prasowe, na których Mariusz Błaszczak pozuje na tle kolejnych kupionych czołgów i haubic. Piotrowskiemu zdarzało się publicznie nazwać trudnymi do zrealizowania plany zwiększenia liczebności armii do 300 tys. żołnierzy.

Być może dlatego w lutym na stanowisko dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych – tj. osoby odpowiedzialnej za szkolenie w całej armii i podtrzymywanie jej zdolności bojowych – awansował gen. Wiesław Kukuła, dotychczasowy dowódca Wojsk Obrony Terytorialnej.

To postać nietuzinkowa, wśród wojskowych budząca kontrowersje. Jedni chwalą go za osiągnięcia w jednostce komandosów w Lublińcu, skuteczne wdrożenie projektu WOT i wniesienie powiewu nowoczesności do zachowawczego świata generalicji. Jako jeden z nielicznych dowódców najwyższego szczebla jest regularnie obecny w mediach społecznościowych. W WOT stworzył rzecz w armii bez precedensu: wewnętrzne forum dyskusyjne dla żołnierzy i oficerów, na którym każdy może anonimowo napisać, co mu leży na sercu. Inni widzą w nim jednak karierowicza i showmana, który mówi ministrowi to, co ten chce usłyszeć.

Awans Kukuły, połączony z podniesieniem go do stopnia generała broni, zbiegł się w czasie z przyspieszeniem przez MON terminu zakończenia rozbudowy armii do wspomnianych 300 tys. żołnierzy. Dlatego część wojskowych uważa, że gen. Kukuła obiecał ministrowi, iż „dowiezie" mu ten projekt w założonym czasie.

Inni idą dalej w spekulacjach i podejrzewają, że Kukuła szykowany jest przez Błaszczaka na następcę Andrzejczaka. Już w 2020 r. MON wysunęło kandydaturę tego ostatniego na szefa Komitetu Wojskowego NATO, co w armii powszechnie odebrano jako próbę pozbycia się z kraju generała, który nie lubi się zgadzać z ministrem. Druga, ostatnia kadencja Andrzejczaka w sztabie generalnym dobiega końca.

Pytanie tylko, czy do gry nie włączy się prezydent Andrzej Duda, który Andrzejczaka i Piotrowskiego – w przeciwieństwie do Kukuły – uważa za swoich ludzi. ↦

GERARD / REPORTER

Generał Tomasz Piotrowski na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych, Ustka, 13 maja 2023 r.

Gry o gwiazdkę

Istnienie dwóch nieformalnych frakcji – obozu prezydenckiego i stronnictwa ministra – w formalnie apolitycznym korpusie generalskim jest dziś faktem niepodważalnym.

Otwarte jest pytanie, na ile obie frakcje mogą sobie nawzajem szkodzić, i czy wpływa to na efektywność zarządzania wojskiem. Oraz na dobór kandydatur na nowych generałów.

W tej ostatniej sprawie od kilkunastu lat głos należy wyłącznie do polityków. Jeszcze na początku lat dwutysięcznych minister obrony wybierał nominatów spośród kandydatów zgłoszonych mu przez nieformalny komitet dowódców. Głos armii słabł tu jednak z roku na rok, a za rządów PiS przestał się liczyć całkowicie. Prezydent podpisuje dziś nominacje wysunięte przez MON i kontrasygnowane przez premiera.

– Po dwóch kadencjach rządów PiS-u wojsko pozostaje jednak tą formacją mundurową, która najskuteczniej obroniła się przed upolitycznieniem – ocenia Tomasz Siemoniak, minister obrony w latach 2011-15. – Oczywiście pamiętamy gromkie „czołem, panie ministrze", wykrzyczane przez żołnierzy do asystenta Antoniego Macierewicza. Jednak mimo wszystko nie da się tego porównać choćby z sytuacją w policji czy straży granicznej, które PiS *de facto* zwasalizował – uważa polityk Platformy.

Nie bez znaczenia, zdaniem Siemoniaka, są także kompetencje, jakich generalicja nabywa niejako automatycznie za sprawą członkostwa Polski w NATO. Wprawdzie w ramach Interpolu policja też współpracuje ze stróżami porządku z innych krajów, a pogranicznicy mają wsparcie Fronteksu, unijnej agencji do spraw ochrony granic. – Jednak NATO oferuje, a właściwie narzuca swoim członkom niemal kompletne procedury na większość sytuacji, w których niezbędny jest udział wojska – zauważa Siemoniak.

Marek Świerczyński, analityk ds. bezpieczeństwa z ośrodka Polityka Insight, ostatnią obserwację opatrzyłby ważnym przypisem. – W armii rzeczywiście mamy jednostki, które są dziś w pełni zgrane z siłami NATO. Jest 6. Brygada Powietrznodesantowa, 21. Brygada Strzelców Podhalańskich, 12. Szczecińska Brygada Zmechanizowana czy lotnictwo, które regularnie współpracuje z siłami powietrznymi sojuszników. Lecz obok nich nadal funkcjonują jednostki, którym daleko do standardów NATO. Można powiedzieć, że mamy armię dwóch prędkości.

Odmłodzeni

Na czele tej armii stoi dziś korpus generalski złożony ze 115 wojskowych w tym stopniu.

Na szczycie plasuje się gen. Andrzejczak, który jako jedyny w armii nosi na naramiennikach cztery gwiazdki – oznaczenie najwyższego stopnia wojskowego. Szczebel niżej mamy dziewięciu generałów broni (trzygwiazdkowych), następnie 21 dwugwiazdkowych generałów dywizji oraz dwóch wiceadmirałów, a także wreszcie 76 generałów brygady i sześciu kontradmirałów, którzy wraz z nominacją otrzymali po pierwszej generalskiej gwiazdce.

Sześćdziesięciolatków można w tym gronie policzyć na palcach jednej ręki. Dominują czterdziesto- i pięćdziesięciolatkowie, podniesieni do tego stopnia już przez Andrzeja Dudę. Tylko sześciu pozostających w służbie generałów nominowano jeszcze za kadencji Bronisława Komorowskiego. Lechowi Kaczyńskiemu pierwszą gwiazdkę zawdzięcza pięciu z nich.

Choć w Wojsku Polskim panie stanowiły w zeszłym roku 8,8 proc. kadry zawodowej, a co dziesiąta żołnierka ma już patent oficerski, to armia wciąż nie doczekała się pierwszej kobiety w stopniu generała. W 2022 r. szef MON skierował do Studium Polityki Obronnej płk Alicję Trochimiuk, szefową Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej. Prawdopodobnie zostanie ona pierwszą Polką z wężykiem na naramienniku, bo te podyplomowe studia nieoficjalnie nazywa się kursem generalskim.

Kandydatura płk Trochimiuk pod jednym względem wpisuje się za to w bieżącą strategię awansów generalskich MON. Pod kierownictwem Mariusza Błaszczaka resort chętniej niż dotąd podnosi do tego stopnia wojskowych z głębokiego zaplecza: szefów ważnych jednostek badawczych, logistyków czy ludzi od wojskowej buchalterii. Poprzednicy częściej stawiali na dowódców polowych. Część wojskowych widzi w tym wyraz nieufności aktualnego szefa MON do ludzi „z linii", wśród których nie brak osobowości krewkich i asertywnych.

Możliwe jednak, że przyczyna jest znacznie bardziej prozaiczna: Wojsku Polskiemu doskwiera brak oficerów.

Odbudowa korpusu

Gdy w styczniu 2018 r. prezydent Duda zdymisjonował Antoniego Macierewicza z funkcji szefa MON, w wojsku służyło 73 generałów. Fala odejść wywołana czystką, którą Macierewicz rozpoczął na najwyższych szczeblach dowodzenia, walcząc z tajemniczym „układem" w siłach zbrojnych, tylko w 2017 r. poskutkowała złożeniem rezygnacji przez kilkudziesięciu pułkowników. Korpus generalski zmalał zaś o osiem osób. Na emery-

turę odszedł m.in. Mirosław Różański, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych.

– Dla ministra Macierewicza cywilna kontrola nad armią oznaczała nie tylko wyznaczanie zadań dla wojska, ale także kategoryczne decydowanie o tym, w jaki sposób te zadania mają być wykonywane. Nie mając wpływu na funkcjonowanie armii, złożyłem rezygnację – ucina dziś gen. Różański.

Odbudowa polskiego korpusu generalskiego wciąż trwa. W amerykańskich siłach zbrojnych, złożonych z 1,32 mln żołnierzy, służyły pod koniec zeszłego roku 653 osoby w stopniu generała i 944 w stopniu admirała. Statystycznie na jednego oficera tej rangi przypadało zatem 832 żołnierzy. W Polsce, której siły zbrojne liczyły pod koniec ubiegłego roku ok. 163 tys. ludzi (licząc z WOT, Narodowymi Siłami Rezerwy, kadetami szkół wojskowych i odbywającymi dobrowolną służbę wojskową), ten sam współczynnik wyniósłby aż 1418.

Przydatność takich porównań sprowadza się jednak głównie do ćwiczeń dla umysłu. W każdej armii liczebność korpusu generalskiego warunkują założenia ściśle tajnego wojennego systemu dowodzenia, który określa m.in. skalę i harmonogram mobilizacji. Dopiero znając te dane, można by miarodajnie ocenić, czy Wojsko Polskie cierpi na nadmiar generałów, czy raczej na ich deficyt.

Gdyby jednak poważnie potraktować wizję 300-tysięcznej armii, bardziej prawdopodobny jest drugi scenariusz. Z nieoficjalnych informacji z MON wynika zresztą, że w tym roku prezydent zostanie poproszony o nominowanie do stopnia generalskiego nawet kilkunastu osób. W maju korpus generalski zasiliło już ośmiu oficerów.

Opieprz za samodzielność

Wraz ze zmianą kultury służby wojskowej przemodelowaniu ulegają też relacje między zwierzchnikami a podwładnymi. Jednak ten proces nie zachodzi błyskawicznie.

Wojskowi nie mówią tego oficjalnie, ale jednym z wielu znaków zapytania, pod którymi stoi dziś rządowy plan zwiększenia liczebności armii do 300 tys. ludzi, są oczekiwania „pokolenia X", które alergicznie reaguje na zachowania autorytarne w miejscu pracy. Rzecz jasna wojsko to instytucja hierarchiczna i nigdy nie będzie klubem dyskusyjnym. Nie musi jednak przypominać folwarku.

> Jednym ze znaków zapytania, pod którymi stoi zwiększenie liczebności wojska do 300 tysięcy, są oczekiwania „pokolenia X", które **nie toleruje już zachowań autorytarnych w pracy.**

– Pamiętam, że jako porucznik nie miałem szansy, żeby się choćby przywitać z generałem. Nawet się nie pofatygował, by pogratulować mi najlepszego wyniku w ćwiczeniach, które nadzorował. Rzucił tylko w moim kierunku kilka słów z mównicy i tyle, rozejść się – wspomina generał broni Waldemar Skrzypczak, który w latach 2006-09 dowodził siłami lądowymi.

– W Ludowym Wojsku Polskim generał był figurą niemal mityczną, pojawiał się w jednostkach od święta i każdy przyjazd stanowił wydarzenie. Na porządku dziennym było za to wykorzystywanie żołnierzy służby zasadniczej do prywatnych celów. Chłopaki z poboru remontowali generałom dacze, wozili im żony na zakupy albo wieczorem bawili się lalkami z ich wnuczkami. Zresztą oficerowie niższych stopni też nie byli święci – dodaje Skrzypczak.

Wejście do NATO miało szybko podciągnąć naszą armię do standardów Sojuszu. Przygotowania do członkostwa wojsko zaczęło na kilka lat przed podpisaniem w 1999 r. traktatu. Ale zmiany zachodziły szybciej w uzbrojeniu (armia przeszła m.in. z rosyjskiego standardu amunicji na natowski kaliber) niż w mentalności wyższych dowódców.

– W roku 1997, jeszcze jako pułkownik, poleciałem do Anglii, by zaplanować wspólne szkolenie – wspomina gen. Skrzypczak. – Dwa brytyjskie bataliony spadochronowe miały się desantować w Polsce z jedną naszą kompanią. Szybko omówiliśmy wszystko, co trzeba, Brytyjczycy wzięli na siebie cały ciężar organizacyjny. Wróciłem zadowolony do Polski, zameldowałem przełożonemu, że załatwiłem sprawę. I dostałem opieprz: „Kto ci pozwolił podejmować jakąkolwiek decyzję".

– Przełożeni byli wściekli, że niższy rangą oficer ośmielił się o czymś zdecydować bez zapytania ich o zgodę – ciągnie Skrzypczak. – Mimo że mnie tam wysłali właśnie po to, żebym to szkolenie dopiął! Myśmy dopiero wtedy odkrywali coś, co w armiach NATO jest oczywistością: że podwładni na każdym szczeblu muszą mieć możliwie największą swobodę decyzji. Armiom byłego bloku wschodniego bardzo tej elastyczności wtedy brakowało, a rosyjska, jak widać dziś w Ukrainie, nie nabyła jej do dzisiaj.

„Cześć, Mirek!"

Potem przyszedł Irak i Afganistan. W obu misjach uczestniczyło łącznie ponad 40 tys. polskich żołnierzy i choć z politycznej perspektywy można je dziś oceniać krytycznie, wojsku dostarczyły one bezcennych doświadczeń.

Nie tylko bojowych. Polska armia musiała też skonfrontować w działaniu swoje procedury i zwyczaje z kulturą innych formacji. Znana z PRL-u figura „generała-trepa" oczywiście występowała i tam. Jednak w armiach sojuszniczych regułą były relacje między podwładnymi a przełożonymi, jakie przypominają stosunki w dobrze prowadzonej firmie: takiej, gdzie każdy zna swoje miejsce i przełożeni nie muszą na każdym kroku udowadniać, że są szefami.

Części polskich dowódców takie wypłaszczenie relacji nie przypadło do gustu. Inni – jak gen. Mirosław Różański, który w 2007 r. dowodził polskim kontyngentem w Iraku – byli jego zwolennikami. Szybko okazało się jednak, że do takiej zmiany dojrzeć muszą nie tylko generałowie.

– Po powrocie z Iraku zorganizowałem w macierzystej jednostce spotkanie dla żołnierzy oraz ich żon i partnerek – wspomina gen. Różański. – Zaprosiłem wszystkich z kręgu najbliższych współpracowników, włącznie z podoficerami i szeregowymi. Atmosfera miała być nieformalna, wszyscy włożyliśmy nasze mundury z Iraku, starałem się w miarę możliwości zamienić kilka słów z każdym na sali. Kilka godzin później, kiedy już byliśmy mocno rozbawieni, zorientowałem się, że sytuacja zaczyna wymykać mi się spod kontroli – opowiada Różański. – Plecy miałem oklepane, ↦

↦ a niektórzy nawet przeszli ze mną na „ty", mimo że nie proponowałem. Nie chodziło o moją urażoną generalską dumę. Zacząłem się bać, czy nazajutrz, już na służbie, któryś z podwładnych, zamiast zasalutować na mój widok, nie krzyknie: „Cześć, Mirek!".

Największa armia lądowa

Tak o docelowym kształcie Wojska Polskiego mówi Mariusz Błaszczak: nasze siły lądowe miałyby być najliczniejsze i najlepiej uzbrojone w Unii Europejskiej. Wizja ta ma się ziścić najpóźniej w ciągu dekady. Minister unika jednak szczegółów – poza tymi, które dobrze wyglądają w telewizyjnych wiadomościach, jak liczba zamówionych czołgów i samolotów, nowe etaty i podwyżki dla żołnierzy.

O tym, że posiadanie nowoczesnej 300-tysięcznej armii oznaczałoby *de facto* zwiększenie na kilka lat wydatków na obronność z obecnych 4,3 proc. do ponad 5 proc. PKB (licząc z pieniędzmi spoza budżetu), minister już nie wspomina. Z prostej przyczyny: takie ruchy w obrębie finansów publicznych skutkowałyby nieuchronnym niedofinansowaniem innych dziedzin życia.

Czy w tej sytuacji wojsko w roli pieszczocha władz nie stanie się ciałem obcym dla społeczeństwa? Istnieje takie ryzyko. Na szczęście polityczne powiązania PiS z armią ulegają osłabieniu.

Marek Świerczyński: – Wojsku paradoksalnie pomógł wybuch wojny w Ukrainie. Część jednostek obrony przeciwlotniczej na wschodzie kraju pracuje dziś w reżimie operacyjnym, odwołano urlopy, żołnierze mają zakaz przynoszenia telefonów do jednostek. Armia po prostu robi swoje, nie jest już tylko elementem w politycznej scenografii MON, i to dodaje pewności jej dowódcom.

– Minister też zrozumiał, że w obliczu zagrożenia ze wschodu musi dać wojsku więcej samodzielności i mniej zadań propagandowych – dodaje Świerczyński. – Na wiosnę Błaszczak nakazał sformowanie nowej brygady logistycznej w miejscowości Regny koło Łodzi i nawet się tym nie pochwalił w żadnej publicznej wypowiedzi ani dokumencie.

©℗ MAREK RABIJ

Oni władzy nie obchodzą

PIOTR WÓJCIK

PiS posiada niezwykłą umiejętność wsłuchiwania się w ekonomiczne oczekiwania Polaków. Potrafi być bardzo hojny, zwłaszcza wtedy, gdy może liczyć na korzyści sondażowe. Tam, gdzie ich nie widzi, ludzie popadają w ubóstwo.

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych domaga się drugiej podwyżki dla pracowników sektora budżetowego jeszcze w tym roku. W oświadczeniu z 30 maja OPZZ zwróciło uwagę, że w 2023 r. sfera budżetowa mogła liczyć na wzrost pensji w wysokości 7,8 proc., tymczasem tegoroczna inflacja jest wciąż kilkunastoprocentowa. Związkowcy przypominają też, że w latach 2021-2022 wskaźnik wynagrodzeń w budżetówce był zamrożony, w wyniku czego w zeszłym roku pensje realne spadły tam o ponad 5 proc. OPZZ domaga się podwyżki w sektorze budżetowym o 20 proc.

– Podczas obecnego kryzysu kosztów życia budżetówka dostała po głowie szczególnie mocno, gdyż przez dwa lata nie było żadnych podwyżek wyrównu-

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Protest nauczycieli i pracowników oświaty. Warszawa, 9 października 2021 r.

jących. Rząd jako pracodawca zachował się niczym bezwzględny „janusz biznesu" – wyjaśnia dr Michał Możdżeń z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. – W ubiegłym roku płace w budżetówce w relacji do średniej krajowej były najniższe, odkąd zbierane są dane na ten temat, czyli od początku XXI wieku.

W ubiegłym roku przeciętne wynagrodzenie w gospodarce narodowej wyniosło 6,4 tys. zł brutto. Według danych Szefa Służby Cywilnej, spośród 931 urzędów państwowych aż w 704 instytucjach średnie zarobki były niższe niż 5,7 tys. zł (czyli niższe niż 90 proc. średniej krajowej). W prawie połowie urzędów średnie wynagrodzenie nie przekraczało wręcz 5,1 tys. zł brutto (80 proc. średniej).

Nauczycielska bieda

Bardzo napięta atmosfera, połączona z głęboką frustracją, panuje w środowisku szkolnym. Związek Nauczycielstwa Polskiego w petycji złożonej do marszałek Sejmu Elżbiety Witek w drugiej połowie maja pisze: „Z powodu rekordowej inflacji wartość wynagrodzenia nauczycieli jest realnie coraz niższa, zwłaszcza w sytuacji niewielkiego wzrostu uposażenia od 1 stycznia 2023 r. Podana przez Główny Urząd Statystyczny średnioroczna inflacja wyniosła 14,4 proc., a wzrost wynagrodzenia w oświacie tylko 5,9 proc." – napisano w uzasadnieniu. ZNP przygotowało też projekt ustawy podwyższającej średnie wynagrodzenie pedagogów o jedną piątą.

Szczególnie trudna jest sytuacja młodych pracowników oświaty i szkolnictwa wyższego. Ustawowe wynagrodzenie zasadnicze asystenta na uczelni jest tylko o kilka złotych wyższe od płacy minimalnej, która od 1 lipca wzrośnie do 3600 zł, ale obecnie wynosi 3490 zł brutto, czyli 2709 zł „na rękę". – Sytuacja finansowa na uczelniach mocno się pogorszyła – mówi dr Możdżeń. – Mam nadzieję, że pewnym otrzeźwieniem będzie fakt, że niedawna podwyżka pensji minimalnej wymusiła podniesienie płac pracowników naukowych. W takiej sytuacji powinno być jasne, że mniej płacić akademikom już się nie da.

Początkujący nauczyciel zarabia najczęściej kilkaset złotych więcej od minimalnego wynagrodzenia w kraju. Pensje nauczycieli rosną wolniej od płacy minimalnej, średniego wynagrodzenia, a nawet inflacji, tymczasem już przed pandemią odstawały one od standardów europejskich. Według Eurostatu, w 2018 r. (ostatnie dostępne dane porównawcze) przeciętne zarobki w polskim szkolnictwie wynosiły 62 proc. średniej unijnej po uwzględnieniu parytetu siły nabywczej (czyli różnic w cenach). Tym samym były niższe m.in. od pensji pedagogów z Turcji, Rumunii czy Chorwacji.

Biednieją także urzędnicy. Według sprawozdania Szefa Służby Cywilnej w ubiegłym roku realnie spadły zarobki we wszystkich kategoriach administracji państwowej. W urzędach wojewódzkich o 6,4 proc., a w służbie cywilnej o 4,6 proc. Relatywnie mało stracili za to pracownicy w ministerstwach, gdzie pensje stopniały o 3,2 proc. Efekt? W zeszłym roku przeszło połowa naborów do służby cywilnej zakończyła się nieobsadzeniem stanowiska – najczęściej z powodu braku jakichkolwiek kandydatur. To odbija się na jakości administracji, nauki i usług publicznych.

– Pracownicy uczelni ratują się chałturzeniem. Nieprawdopodobnie dużo czasu tracimy na wykonywanie dodatkowych projektów, zleceń czy godzin wykładowych na innych uczelniach. Dzięki temu udaje nam się zarobić średnią krajową, ale ten czas moglibyśmy poświęcić na pracę naukową z prawdziwego zdarzenia. Nie mówiąc o tym, że powoduje to prekaryzację warunków pracy i płacy w tym sektorze – uważa dr Michał Możdżeń.

Dziel i rządź

To wszystko ma miejsce w czasie, gdy rząd chwali się rekordowymi wpływami podatkowymi. Ministerstwo Finansów rozpoczęło akcję informacyjną „Skąd te miliardy do budżetu", w której wykazuje m.in. bardzo duży przyrost dochodów z podatków VAT i CIT – znacznie wyższy niż wynikałoby to ze wzrostu PKB. W takiej sytuacji pracownikom domeny publicznej powinno być lepiej, a nie gorzej.

– Pod względem relacji płac w budżetówce do PKB Polska jest czwarta od końca w Unii Europejskiej – tłumaczy dr Możdżeń. – Zjazd udziału płac sektora budżetowego w PKB w Polsce, jaki miał miejsce w ostatnich latach, jest doprawdy fenomenalny. Spadliśmy z okolic średniej unijnej niemal na sam dół.

Rząd stara się dbać tylko o niektóre grupy zawodowe. Służby mundurowe otrzymały w tym roku dodatek motywacyjny, zwiększający stopniowo pensję po przekroczeniu 15 lat stażu pracy. Przez policjantów nazywany jest „dodatkiem antyemerytalnym", gdyż jego głównym celem jest zachęcenie funkcjonariuszy, by nie przechodzili na emeryturę już po 15 latach pracy. Nieźle się wiedzie także pracownikom ważnych spółek Skarbu Państwa. Według GUS w kwietniu wynagrodzenia w górnictwie wzrosły o 49 proc., czyli cztery razy więcej niż w całej gospodarce.

– Nie można powiedzieć, że w szeroko rozumianej budżetówce nie było ↦

żadnych podwyżek. Problem polega na tym, że objęły one tylko niektóre grupy zawodowe – wyjaśnia Marcin Duma, prezes instytutu badawczego IBRiS. – W niektórych urzędach specjaliści zarabiają porównywalnie do pracowników handlu detalicznego. Ale na przykład w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów pensje są już bardziej zadowalające.

Rząd PiS prowadzi więc względem budżetówki politykę „dziel i rządź". Wydawałoby się, że lekceważenie wielu grup zawodowych sektora budżetowego to dla władzy chybiona polityka. Wysokie podwyżki mogłyby zwiększyć poparcie dla rządu wśród tych pracowników. W polskich realiach takie działanie może mieć jednak sens, przynajmniej dla rządu. Trzeba pamiętać, że w sferze budżetowej zatrudnionych jest tylko 17 proc. ogółu pracowników w Polsce.

– Ważna jest nie tylko wielkość tego sektora, ale też jego preferencje. Wiemy na przykład, że wśród osób z wyższym wykształceniem poparcie dla opozycji jest wyraźnie wyższe niż w całym społeczeństwie. Tymczasem w administracji czy edukacji zdecydowana większość pracowników ukończyła szkołę wyższą – tłumaczy Marcin Duma. – Ale już w policji czy straży pożarnej preferencje polityczne mogą być inne, gdyż kultura organizacyjna i specyfika tych instytucji w naturalny sposób przyciągają osoby o bardziej konserwatywnym nastawieniu. Poza tym nie należy zapominać o istotnej roli płci.

Kobiety w wieku produkcyjnym są zasadniczo mniej skłonne do sympatyzowania z obecną władzą. Według majowego sondażu IBRiS (26-27 maja), poparcie dla PiS wśród kobiet w wieku 18-39 lat wynosiło tylko 13,6 proc. W starszej grupie wiekowej (40-59) osiągnęło ledwie 17,5 proc., czyli wciąż znacznie mniej niż w całym elektoracie. Tymczasem wiele zawodów sfery budżetowej jest sfeminizowanych. Według GUS, przeszło 80 proc. nauczycieli w Polsce to kobiety. W zeszłym roku panie stanowiły też trzy czwarte kandydatów do służby cywilnej (wśród aktualnie zatrudnionych stanowiły 54 proc.).

Zarobki polskich nauczycieli stanowią 62 proc. średniej unijnej, i to po uwzględnieniu różnic w cenach. Tym samym są niższe od pensji pedagogów z Turcji, Rumunii czy Chorwacji.

– Rząd, mając ograniczoną pulę dostępnych środków, musi zdecydować, czy wydać je na podwyżki dla budżetówki, czy jednak na 800 plus lub kolejne wypłaty dla emerytów – wyjaśnia Marcin Duma. – Seniorzy to osoby znacznie częściej głosujące na PiS. Z punktu widzenia władzy „trzynastka" i „czternastka" wydają się lepszą inwestycją.

Rakiety gorsze niż strajki

Według obliczeń dr. Michała Możdżenia, które opublikował 28 maja na Twitterze, emerytury netto to jedyna kategoria dochodów, która w zeszłym roku realnie wzrosła. Pensje realne w sektorze budżetowym cofnęły się za to do początku 2020 r. Rządzący niewiele jednak tym ryzykują, gdyż zaniedbywanie domeny publicznej nie jest przez Polaków szczególnie źle widziane.

– W czasach transformacji głęboko zakorzeniono w Polakach przekonanie, że państwo jest nieudolne. Wprowadzenie 500 plus i zapowiedź 800 plus tylko te przekonania potwierdziły, gdyż owe programy są *de facto* abdykacją państwa. Macie pieniądze i zorganizujcie sobie to, czego państwo nie potrafi – tłumaczy Marcin Duma. – III RP została ufundowana na przekonaniu, że obywatel powinien zadbać o siebie sam. Paradoksalnie PiS swoją transferową polityką społeczną takie postawy jeszcze umocnił.

Widać to chociażby w podejściu do mieszkalnictwa. Według zeszłorocznego badania CBOS większość Polaków nie oczekuje od państwa budowy mieszkań czynszowych, komunalnych czy socjalnych, tylko dofinansowania zakupu lokali własnościowych na kredyt. Co ciekawe, największe poparcie dla wspierania kredytów mieszkaniowych zanotowano w grupie najbiedniejszych, którzy i tak nie mają zdolności kredytowej.

– Jako społeczeństwo postchłopskie chcemy przede wszystkim posiadać. Własność daje nam poczucie bezpieczeństwa. Współdzielenie czegokolwiek niespecjalnie nas interesuje, co znajduje potwierdzenie w modelu państwa, które stworzyliśmy – mówi prezes IBRiS.

Kwestie ekonomiczne staną się ważnym elementem postępującej kampanii wyborczej. To nie pauperyzacja niektórych grup zawodowych będzie jednak wiodącym wątkiem, tylko poczucie niepewności wśród ogółu Polaków. – Gdy pytamy ludzi o to, jak sobie radzą dzisiaj, to dominują odpowiedzi, że całkiem nieźle. Problem jest inny. Od czasu pandemii COVID-19 Polacy nie mają możliwości zaplanować sobie przyszłości i zapewnienia stabilności finansowej – tłumaczy Marcin Duma. – Na te nastroje nakładają się kwestie kulturowe, a więc samochody spalinowe czy konsumpcja mięsa. W świadomości kogoś, kto dopiero co dorobił się na tyle, żeby kupić sobie auto, doniesienia o przyszłym zakazie dla pojazdów spalinowych budują poczucie zagrożenia.

Dlatego też dla rządu zdecydowanie bardziej opłacalne jest przeforsowanie chociażby planu bezpłatnych autostrad niż dofinansowanie sektora publicznego. Zapowiedź zwiększenia nakładów na szkolnictwo wywarłaby mniejsze wrażenie na elektoracie PiS niż straszenie w mediach publicznych, że opozycja popiera zakaz jedzenia mięsa.

PiS umiejętnie odczytuje nastroje społeczne i dostosowuje do nich swoją politykę ekonomiczną. Jednak prezes IBRiS ostrzega, że takie podgrzewanie poczucia zagrożenia jest dla prawicy ryzykowne, gdyż kilka nieprzewidzianych zdarzeń może podważyć wiarę, że obecna władza skutecznie dba o bezpieczeństwo. Dla ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego protesty płacowe budżetówki wydają się dziś mniejszym zagrożeniem niż jedna rosyjska rakieta znaleziona pod Bydgoszczą.

© PIOTR WÓJCIK

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Odkrywcy nowych światów

JOANNA SZYNDLER

W Banku Ekstraktów z Grzybów w Hajnówce jest już ponad 300 esencji. – Tworzymy kolekcję dla przyszłych pokoleń – mówią pracownicy. Sami nie zdołają przebadać wszystkich grzybów z puszczy ani poznać ich tajemnic.

Tą kłodą zajęły się dwa gatunki grzybów. Już widzę trzeci, a tutaj czwarty i kolejny... – Marek Wołkowycki ma tzw. grzybie oko. Tam, gdzie inni widzą kilka gatunków, on potrafi dostrzec nawet kilkanaście. Mykolog wyjmuje z kieszeni swój ulubiony giętki nożyk i delikatnie odkrawa z kłody świerka fragment grzyba. Wkłada go do papierowej koperty, którą opisuje: *Antrodia serialis*. Dodaje datę, numer oddziału leśnego puszczy, gatunek drzewa, stopień jego rozkładu, informację o zapachu i czy grzyb zmienia kolor pod wpływem dotyku. To wszystko pomoże później w jego identyfikacji. Tak przygotowane koperty zawozi do Banku Ekstraktów z Grzybów Centrum Naukowo-Badawczego w Hajnówce.

Mekka mykologów

W Puszczy Białowieskiej istnieje prawdopodobnie od 3 do 4 tysięcy gatunków grzybów, z czego około 1800 stanowią grzyby wielkoowocnikowe, czyli takie, których owocniki można zobaczyć gołym okiem. Wyrastają nad ziemię, ale znaczna część wielu grzybów ukryta jest pod nią. Tam rozrasta się grzybnia – potężna sieć stworzona czasem dosłownie z bilionów rozgałęzień.

Jak pisał Peter Wohlleben w „Sekretnym życiu drzew": „Cienkie pasma grzybni przenikają glebę i oplatają ją siatką o trudno wyobrażalnej gęstości. Łyżeczka do herbaty leśnej gleby zawiera bowiem dobrych kilka kilometrów strzępków grzyba". Grzybnia rozrasta się po całym lesie, aby zapewnić sobie ochronę i pożywienie. Sieć strzępków, zwana czasem Wood Wide Web, wykorzystywana jest też przez drzewa do przesyłania komunikatów o niebezpiecznych owadach czy suszy.

Dokładna liczba gatunków, tych w Puszczy Białowieskiej i ogólnie na świecie, jest niezwykle trudna do oszacowania. Grzyby stanowią odrębne królestwo składające się z około 1,5 mln gatunków. Wciąż odkrywa się nowe i weryfikuje stare. Dzięki badaniom genetycznym wiele z nich, zidentyfikowanych niegdyś jako osobne gatunki, okazuje się jednak tymi samymi. Za przykład Wołkowycki podaje grzyby z rodziny *Septoria*, do której niegdyś należało na świecie około 1200 gatunków. Po weryfikacji genetycznej ostało się ich tylko 230. Gatunków zatem jednocześnie ubywa i przybywa.

Do tej pory opisano jedynie ok. 10 proc. wszystkich gatunków grzybów. – Każdy naukowiec zajmujący się mykologią na świecie wie, gdzie znajduje się puszcza, i chce tu przyjechać – twierdzi Wołkowycki. Puszcza Białowieska jest bowiem niezwykłym miejscem pod względem bioróżnorodności. Występują tu rzadkie gatunki grzybów, które potrzebują określonych podłoży, np. bardzo starych kłód dębowych. Tylko na nich potrafią się rozwijać i nie mają zdolności przenoszenia się na większą odległość czy na inne podłoża. Mogą przetrwać wyłącznie w lesie, w którym człowiek nie przerwał procesów naturalnych.

Poszukiwani zabójcy drzew

Specjalizacją Marka Wołkowyckiego są grzyby poliporoidalne, czyli tzw. huby. Zainteresował się nimi już w szkole podstawowej, gdy na lekcji przyrody nauczycielka nazwała je zabójcami drzew. Rzeczywiście posiadają one zdolność rozkładu drewna, a rozkład materii jest najważniejszą umiejętnością grzybów w ogóle. Utożsamiane z rozkładem, śmiercią, trucizną, wzbudzały wśród ludzi strach.

W polskiej kulturze wierzono, że mają związek z zaświatami, nieczystymi siłami i magią, co odzwierciedlają też zwyczajowe nazwy niektórych grzybów: diablik, szatan, grzyb czortowy. We współczesnej popkulturze grzyb to wciąż zagrożenie. Bijący rekordy oglądalności serial „The Last of Us" opowiada o świecie, w którym kontrolę nad ludźmi przejęły właśnie grzyby. Inspiracją dla twórców najpierw gry komputerowej, a później serialu były grzyby z rodzaju *Cordyceps*. Pasożytują na wielu gatunkach zwierząt i niektóre potrafią zmienić w zombie. Może nie ludzi, ale m.in. mrówki. *Cordyceps* atakuje owada, żywi się nim i niejako przejmuje nad nim kontrolę, kierując w wyższe partie roślin, gdzie z głowy np. nieżywej już mrówki wyrośnie następnie owocnik.

Grzyby to jednak nie tylko śmierć i rozkład, to także odrodzenie. W przyrodzie pełnią wyjątkowo ważną funkcję – zapewniają ciągłość obiegu materii i przepływu energii, wprowadzając celulozę i ligninę. To również dzięki nim tworzy się gleba. Nie jest przesadą stwierdzenie, że od grzybów zależy życie na Ziemi.

Grzyby, które leczą

Specjalizacją drugiego mykologa pracującego w Centrum Naukowo-Badawczym w Hajnówce, Eugene'a Yurchenka, są grzyby kortycjoidalne. Pokrywają pnie drzew powłokami, które wyglądają jak pleśń. To właśnie one wraz z hubami najbardziej interesują naukowców z Politechniki Białostockiej. Obydwie grupy potrafią rozkładać martwe drewno, jest więc prawdopodobne, że wykażą także aktywność biologiczną.

– Grzyby są bardzo bogate w związki prozdrowotne, zwykłe kurki mają więcej beta-karotenu niż marchewka. Ale nie każdy grzyb to grzyb medyczny, czyli taki, który ma udowodnione działanie farmakologiczne – tłumaczy Ewa Zapora, doktor nauk farmaceutycznych i pełnomocnik rektora ds. Banku Ekstraktów z Grzybów. Skoro grzyb produkuje tak silne związki, które są w stanie rozłożyć drewno, to być może poradzi też sobie z patogenami chorobotwórczymi. ↦

Grzyby, konkurując o pożywienie, wytwarzają substancje eliminujące inne grzyby lub bakterie. Syntetyzują związki przeciwgrzybiczne, antybakteryjne, przeciwwirusowe, przeciwpasożytnicze czy antynowotworowe. Dla ludzi mogą stanowić więc potencjalny antybiotyk, tak jak penicylina. Pierwszy antybiotyk odkrył w 1928 r. Alexander Fleming, który pozostawił w laboratorium nieumyte szalki Petriego i wyjechał na wakacje. Po powrocie spostrzegł, że z szalek zniknęły badane wcześniej bakterie, pojawił się za to grzyb pleśniowy.

W ostatnich latach duże zainteresowanie naukowców wzbudziły także grzyby zawierające psylocybinę – substancję stymulującą receptory mózgowe. W Imperial College London prowadzone są badania kliniczne z udziałem osób cierpiących od wielu lat na tzw. depresję lekooporną. W latach 50. i 60. zeszłego wieku środki psychodeliczne przepisywano pacjentom chorującym na schizofrenię, nerwicę, stany lękowe. Jednak w 1971 r. Richard Nixon ogłosił: „Musimy wprowadzić to, co nazywamy totalną wojną z wrogiem publicznym numer jeden w Stanach Zjednoczonych: groźnymi narkotykami". Uważa się, że była to decyzja polityczna skierowana przeciwko kontrkulturze dzieci kwiatów i pod naciskiem Nixona ONZ zakazał stosowania środków psychodelicznych także w medycynie.

W Polsce badania nad medycznym wykorzystaniem psylocybiny prowadzi obecnie profesor Krystyna Gołembiowska z Polskiej Akademii Nauk. Na badania nad skutecznością terapii psylocybiną osób chorujących na depresję otrzymała grant w wysokości 2,3 mln złotych. O analizach prowadzonych w Londynie, a potem w Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych mówiła w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej": „Wyniki są tak spektakularne, że władze USA prawdopodobnie wydadzą zgodę na prowadzenie tego rodzaju terapii depresji".

Przepis na nalewkę

Grzybów z Puszczy Białowieskiej pod kątem aktywności nikt dotąd nie badał na tak dużą skalę. Do stworzenia Banku Ekstraktów z Grzybów zainspirował polskich badaczy profesor Jordan Zjawiony, Amerykanin polskiego pochodzenia, który całe zawodowe życie zajmował się substancjami pochodzenia naturalnego i izolacją substancji aktywnych z grzybów. Z Markiem Wołkowyckim poznali się niegdyś na konferencji na temat grzybów psychoaktywnych w Kazimierzu Dolnym. Wtedy w Hajnówce nie było jeszcze odpowiedniego sprzętu do prowadzenia badań, Wołkowycki wysyłał więc Zjawionemu owocniki pocztą na Uniwersytet w Missisipi z prośbą o wstępne badania ich aktywności. Centrum w Hajnówce powstało ostatecznie w 2015 r. jako oddział Instytutu Nauk Leśnych Politechniki Białostockiej i dziś to do Hajnówki naukowcy z różnych stron świata ślą koperty pełne owocników grzybów, np. z Gwatemali czy Argentyny, choć głównym obszarem badań pozostaje Puszcza Białowieska.

Zainteresowanie naukowców wzbudziła psylocybina. Substancja wywołująca narkotyczne halucynacje **badana jest też pod kątem leczenia depresji.**

Eugene Yurchenko i Marek Wołkowycki często nie wiedzą, co przynoszą z lasu. Dopóki grzyb nie trafi pod mikroskop, nie da się jednoznacznie stwierdzić, co to za gatunek. Dlatego w zawodzie mykologa-taksonoma sporo jest też miejsca na szczęście i intuicję. Z kopert próbki grzybów trafiają na płytki i pod mikroskopy. Kiedy mykolodzy nie potrafią rozpoznać gatunku, sprawdzają literaturę i „Index Fungorum", czyli elektroniczny spis wszystkich znanych gatunków świata. Jeśli wyniki nie pasują do żadnego opisanego grzyba, wysyła się próbkę na badania genetyczne. Nowy gatunek grzyba – *Septoria krystynae* – naukowcy z Hajnówki we współpracy z badaczami z Uniwersytetu Łódzkiego odkryli pięć miesięcy temu.

Z laboratorium pełnego mikroskopów, książek, zielników i pudełek z suszonymi okazami Ewa Zapora prowadzi do laboratorium, w którym powstają ekstrakty. Tutaj grzyby są suszone, krojone, mielone i rozdrabniane na różne inne sposoby. Ręcznie, przy pomocy specjalistycznego młyna lub nawet robota kuchennego z dyskontu, który okazał się wyjątkowo

skuteczny. Następnie grzyby wkłada się do słoików i zalewa alkoholem. Opisane etykietami słoiki trafiają do szafy przypominającej spiżarnię.

– Wiecie, jak się robi nalewki? Ekstrakty z grzybów powstają bardzo podobnie, nic skomplikowanego – tłumaczy Ewa Zapora. Po miesiącu „nalewkę" wlewa się do kolby szklanej i zachodzi proces odparowywania rozpuszczalnika. Ekstrakt już w postaci proszku lub pasty trafia do probówki, a następnie do lodówki lub zamrażarki. Tam czeka na dalsze badania, które wydarzą się za miesiąc, rok, a może nawet za kilkadziesiąt lat.

Grzybobranie w laboratorium

Na jaki patogen zadziała dany grzyb? Na jaką chorobę uda się stworzyć lek na jego bazie? Możliwości medycznych i weterynaryjnych jest nieskończenie wiele. Bank Ekstraktów z Grzybów zajmuje się przede wszystkim identyfikacją grzybów i ekstrakcją. Podczas badań potencjalnej aktywności współpracuje z partnerami z kraju i ze świata. W zależności od pro-

MARCIN ONUFRYJUK DLA „TP"

Marek Wołkowycki w poszukiwaniu grzybów poliporoidalnych. Puszcza Białowieska, 10 maja 2023 r.

jektu wytypowane ekstrakty testuje się przesiewowo.

Projekt docelowo powinien kończyć się aplikacją, czyli stworzeniem gotowego produktu. Inaczej trudno uzyskać finansowanie. Klasyfikacja i poznawanie nowych gatunków odbywają się właściwie przy okazji. Gdy okaże się, że ekstrakt z danego grzyba wykazuje poszukiwane działanie, należy sprawdzić, czy da się ten gatunek wyhodować w warunkach kontrolowanych. Przemysł technologiczny potrzebuje stałego dostępu do surowca, a nikt nie będzie szukał grzyba po lasach. I tu pojawia się kolejne pytanie: czy ekstrakt ze sztucznie wyhodowanego grzyba będzie miał te same właściwości, co ten z lasu? Nie zawsze. Czasem jego aktywność maleje.

– Grzyby to organizmy cudzożywne, co komplikuje sprawę, mają bowiem mniej stabilny skład chemiczny od roślin. Wpływa na niego i żywiciel, i środowisko, w którym bytuje – tłumaczy Wołkowycki. – Czasem aktywność grzyba, którego zbiorę z wierzby, będzie inna od aktywności tego samego gatunku zebranego z dębu. Na szczęście niekiedy na naukowców czeka dobra wiadomość: grzyb wyhodowany w laboratorium okazuje się nawet bardziej aktywny od swojego krewnego z lasu.

Bank Ekstraktów z Grzybów może się już pochwalić dwoma bardzo poważnymi sukcesami, trzeci najprawdopodobniej zostanie ogłoszony niedługo.

Pierwszy dotyczy ekstraktu z korzeniowca sosnowego. Ten powszechnie występujący w puszczy i innych miejscach na świecie grzyb wykazał w badaniach *in vitro* oraz *in vivo* działanie antynowotworowe. Korzeniowiec może być hodowany laboratoryjnie i być może będzie mógł być wykorzystany w leczeniu raka jelita grubego. Odkrycie zostało opatentowane, ale do pojawienia się gotowego leku w sprzedaży jeszcze długa droga.

O drugim sukcesie zdecydował złotoporek niemiły, biała huba, rzadki i zagrożony gatunek wpisany na „Czerwoną listę roślin i grzybów Polski". Na bazie ekstraktu ze złotoporka powstał lek pochodzenia naturalnego do walki ze zgnilcem amerykańskim, chorobą bakteryjną atakującą pszczoły. Patent uzyskano w listopadzie 2022 r.

Kolejny patent niedługo będzie zgłaszany. Doktor Zapora nie może jeszcze zdradzić nazwy grzyba, ale wiemy już, że jeden z białowieskich gatunków okazał się skuteczny w leczeniu zapalenia wymion u krów.

Ludzi nam trzeba

Aby w Hajnówce mógł powstać Bank Ekstraktów z Grzybów, trzeba było zebrać interdyscyplinarny zespół fachowców: mykologów, chemików, leśników, techników. W rozwijaniu badań muszą wziąć udział lekarze, weterynarze, biotechnolodzy i inni. Największy problem jest z pierwszą grupą specjalistów – mykologami. Każdy, nawet najbardziej skomplikowany projekt nad badaniem grzybów zaczyna się w lesie. Z nożykiem lub żyletką trzeba udać się w zarośla, dać się pokłuć komarom, a mało osób ma na to ochotę. Do tego, jak mówią naukowcy, mykologiczna ścieżka naukowa nie jest prosta. Brakuje czasopism do publikacji wyników badań, trudno zbierać punkty.

W Polsce rośnie zainteresowanie grzybami, przybywa pasjonatów. Grzybami interesuje się także biznes. Organizmy te wykorzystuje się nie tylko w medycynie, ale i w kosmetyce, budownictwie, przemyśle żywieniowym, do wytwarzania biodegradowalnych pojemników i filtrowania wody. Jednak i tu nie powinno się pomijać pracy i wiedzy taksonomów.

– Świat profesorów mykologów się starzeje, a nowego pokolenia nie ma. Nie ma komu przekazywać wiedzy – twierdzi Marek Wołkowycki. Badania nad grzybami medycznymi przeprowadza się wciąż na tych samych gatunkach. Łatwiej uzyskać na nie finansowanie, bo i większa szansa na sukces, mimo że mniej spektakularny. Oprócz kształcenia mykologów istotna jest też ochrona środowiska. Również ze względu na ogromny i niezbadany dotąd potencjał, który tkwi w grzybach. Mykolog Paul Stamets, bohater filmu „Niezwykły świat grzybów", mówi: „Starodrzewie, zawierające pradawne grzyby, to bogaty rezerwuar związków, które mogą zwalczyć wirusy pandemiczne. Ocalenie starodrzewi to kwestia bezpieczeństwa narodowego".

© JOANNA SZYNDLER

„TP" 20/2023

Nie taka szkoła zła

Tekstem „To matura, nie chęć szczera" (czytaj na **powszech.net/matura**) Przemysław Wilczyński wywołał mnie do tablicy. Nie mnie konkretnie – z imienia i nazwiska – lecz mnie, nauczyciela, już emeryta, który swoją ulubioną pracę wykonywał przez 44 lata.

Zacznę od zawartej w tekście „Lekcji trzeciej: są równi i równiejsi". Bezsporna jest szkodliwość przymusowej indywidualnej i międzyszkolnej rywalizacji. W obu szkołach, którymi kierowałem, byliśmy przekonani, że możemy stępić ostrze rywalizacji, proponując uczennicom i uczniom rozwijanie umiejętności i zdobywanie wiedzy na zasadzie: „Chcę być lepszy od samego siebie". Zrezygnowaliśmy z ustalania, kto jest najlepszym uczniem/uczennicą w szkole czy w klasie. Staraliśmy się doceniać pracę każdego. Wyróżnialiśmy, nagradzaliśmy uczniów, którzy z roku na rok poprawiali swoje wyniki.

Red. Wilczyński rozpoczął artykuł od – delikatnie mówiąc – sceptycznych uwag na temat corocznego Rankingu Liceów i Techników miesięcznika „Perspektywy". Główny zarzut wobec dokonywanej tam klasyfikacji szkół dotyczy „podbierania" sobie przez szkoły w procesie rekrutacji zdolniejszych absolwentów szkół podstawowych, dzięki czemu można uzyskać lepsze miejsce w rankingu końcowym. Jest to na pewno problem w liceach ogólnokształcących. Inaczej jednak sytuacja wygląda w hierarchizacji techników. Tu obok wyniku maturalnego duże znaczenie mają osiągnięcia w zakresie kwalifikacji zawodowych. Przyjmijmy, że wyniki maturalne są efektem tylko talentów, choć to nieprawda, jednak umiejętności zawodowe ukształtowała konkretna szkoła z zakładami pracy.

W artykułach na temat polskiej edukacji raz po raz formułowane są sugestie, by w szkole zawsze było twórczo, ciekawie i radośnie. Warto sobie uświadomić, że w szkolnictwie masowym nie da się powielać większości rozwiązań stosowanych w placówkach elitarnych. Zresztą w życiu nie zawsze będzie twórczo, ciekawie i radośnie.

Trzeba jedne rzeczy zmieniać, innych pochopnie nie wyrzucać. Ulepszajmy polską szkołę, która nie jest zła.

TADEUSZ

„TP" 22/2023

Polacy w Norwegii

Dziękuję pani Ewie Sapieżyńskiej za artykuł o Polakach w Norwegii pt. „Rozmówki polsko-norweskie" (czytaj na **powszech.net/norwegia**). I za książkę, którą napisała dla Norwegów. Ten artykuł to wiedza potrzebna wszystkim Polakom walczącym o tolerancję w dniu codziennym i wszędzie, gdzie to możliwe.

MARIA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Tychach I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 543/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości w drodze uwłaszczenia oraz z wniosku ewentualnego o stwierdzenie nabycia własności przez zasiedzenie. Postępowanie dotyczy nieruchomości gruntowej położonej w Bieruniu Nowym (43-155) przy ul. Warszawskiej, obejmującej działkę gruntu o nr. 138/30, w obrębie ewidencyjmnym 241401_1.0001, Bieruń Nowy, o powierzchni 0,2847 ha, dla której Sąd Rejonowy w Tychach prowadzi księgę wieczystą o nr. KA1T/00011916/7. Ujawnionym właścicielem opisanej nieruchomości jest Anna Kowalczyk, z d. Wolny, c. Józefa i Franciszki, zm. 17 listopada 1985 r. w Katowicach, a aktualnie nieruchomość pozostaje w posiadaniu Andrzeja Godziek.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 520/22 z wniosku Mirosława Woźnego z udziałem Jana Kowalskiego, Lucyny Olszewskiej i Grażyny Pijewskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Antoninie Bieniek, rod. Kowalska, c. Jana i Marianny, wdowie, zm. 2 marca 2021 r. w Rzeszowie, ostatnio przebywającej w Domu Pomocy Społecznej w Krowicy Lasowej 86, po której pozostał majątek w postaci nieruchomości o powierzchni 0,0576 ha, oznaczonej numerem ewidencyjnym 220, położonej w Zgierzu przy ul. Krawieckiej 7, objętej księgą wieczystą LD1G/00006509/8 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Zgierzu, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie 3 miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 73/22 toczy się postępowanie z wniosku Piotra Koprowskiego z uczestnictwem Doroty Zych o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Mariannie Strój wąs, z d. Pałce, c. Władysława i Władysławy, zm. 8 października 2021 r. w Tarnobrzegu, jej ostatnim miejscu zamieszkania.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TOMASZ

Stawiszyński:
Nowe wojny religijne

Jeżeli jednym z głównych instrumentów politycznego sporu stają się opowieści zbudowane na klasycznych strukturach myślenia spiskowego – a tak to w Polsce wygląda od pewnego czasu, ostatnio zaś proces ten się intensyfikuje, a nawet instytucjonalizuje do postaci sejmowych komisji – spór ów przestaje być polityczny, przybiera natomiast formę religijną. Charakterystycznymi cechami myślenia spiskowego – co pozwala zakwalifikować to zjawisko jako konfesję *par excellence* – są bowiem, najkrócej rzecz ujmując: prymat spekulacji nad empirią i prymat wyobraźni nad faktami. Spory religijne tym się z kolei charakteryzują, że nie ma z nich innego wyjścia niż dobrowolna lub niedobrowolna kapitulacja którejś ze stron. Powód jest prosty, a mianowicie: brak merytorycznych kryteriów ich rozstrzygania, niezależnych od subiektywnych pragnień, interesów, fantazji i potrzeb. Ostatecznie zwycięża tu zatem nie ten, kto ma rację, ale ten, kto dysponuje większą siłą. Tradycyjne, wielkie religie wypracowały wiele sposobów i zabezpieczeń pozwalających na minimalizowanie tego rodzaju destrukcyjnych mechanizmów. Współczesne teorie spiskowe – sprawnie a bezwiednie wrastające w miejsca, z których wielkie religie zniknęły – tych mechanizmów nie znają. Dlatego właśnie ich ekspansja musi budzić niepokój i dlatego właśnie powinniśmy zachować w stosunku do nich czujność.

Jak je rozpoznać? Oto krótka charakterystyka. Myślący spiskowo, niczym wytrawny detektyw, rekonstruuje przebieg zdarzeń na podstawie oględzin miejsca zbrodni. Porusza się w swoim rozumowaniu wstecz, nie tylko w czasie: z tego, co jest teraz, odtwarza to, co było kiedyś; z tego, co widoczne, wywodzi to, co niewidoczne; z tego zaś, co bezpośrednio dane, wnioskuje o tym, co ukryte. Jednak ostatecznym celem detektywa jest odnalezienie właściwego, czytaj: prawdziwego, rozwiązania zagadki „kto zabił?".

Mamy tu więc, po pierwsze, niewątpliwe przestępstwo, po drugie – weryfikację hipotezy, czyli test rzeczywistości. Kiedy porucznik Columbo ustala wreszcie to, co my wiemy od początku każdego odcinka, jego efektowna, finałowa opowieść nakłada się na realny przebieg wypadków niczym doskonale dopasowany pokrowiec. Nikt nie ma wątpliwości, że zachodzi zgodność pomiędzy opisem i stanem rzeczy, a zdemaskowany sprawca jest tej zgodności tylko dodatkową rękojmią.

W przypadku teorii spiskowych jedynie z pozoru sprawy mają się podobnie. Najpierw dlatego, że problematyczna jest już sama kwestia zbrodni. Owszem, w punkcie wyjścia również mamy tu jakieś zdarzenia – choćby wypadek albo pandemię – niemniej najczęściej brak materialnych przesłanek do uznania ich za skutek czyjejś premedytacji. Oto więc pierwsza istotna cecha – zbrodnię (to znaczy: spisek) dostajemy w teorii spiskowej założoną *a priori*. Nawet jeśli do niej nie doszło – z góry wiadomo, że doszło. Reszta jest wyłącznie kwestią wygenerowania takiej sekwencji słów, w której pozornie udowodni się to, co zaraz na początku zostało arbitralnie uznane za niepodważalne. Tego typu błąd rozumowania nosi w logice nazwę *petitio principii*.

Druga cecha natomiast bierze się wprost z pierwszej. W przypadku teorii spiskowej nie ma czegoś takiego jak test rzeczywistości, w żadnym momencie bowiem nie mamy do czynienia z procesem poznania, a jedynie ze specyficzną formą tworzenia zdań imitujących wiedzę. Dlatego właśnie teorii spiskowej nic nie unieważnia i wszystko ją potwierdza. Myślący spiskowo z definicji nie może się mylić, ponieważ nie ma takiego argumentu, który byłby w stanie wykazać mu pomyłkę.

Cóż, dopóty, dopóki myślenie spiskowe oscyluje na marginesach publicznej debaty, nie ma się czym martwić. Kiedy jednak przenika do oficjalnych instytucji albo mediów głównego nurtu – które w warunkach stabilnej demokracji powinny stanowić naturalne sito oddzielające wiedzę od pseudowiedzy, fakty od fikcji, mit od empirii – sytuacja staje się niebezpieczna. Nie tylko dlatego, że radykalnie pogłębia to polaryzację i jeszcze bardziej osłabia szanse na dialog z polityczno-światopoglądowymi przeciwnikami (nie wolno przecież prowadzić rozmów z kimś, kto reprezentuje wrogie obce mocarstwo, kogoś takiego można co najwyżej aresztować). I nie tylko dlatego, że prowadzi to do wypierania ze sfery publicznej racjonalności na rzecz zaangażowań opartych na afekcie i fantazji oraz do zastępowania kategorii prawdy i fałszu kategoriami ortodoksji i herezji. Widać to gołym okiem w reakcjach na odmowę wiary w tę czy inną spiskową tezę: jeśli nie wierzysz, jesteś zdrajcą, odszczepieńcem i sługą szatana (czytaj: politycznego przeciwnika). Jest to sytuacja niebezpieczna przede wszystkim dlatego, że zniwelowanie możliwości prowadzenia konkluzywnego (czyli wiodącego do ustalenia, co jest rzeczywiste, a co stanowi produkt fantazji) dialogu – a tym właśnie *de facto* jest przyjęcie teoriospiskowej perspektywy – przyczynia się z konieczności do eskalacji przemocy, najpierw symbolicznej, a potem nie tylko symbolicznej.

Gdzie bowiem nie sposób ustalić, jaki jest świat, tam świat ma być taki, jak podpowiadają nam emocje, interesy, fantazje i pragnienia. Jeśli zaś bycia takim odmawia – a odmawia w dziesięciu przypadkach na dziesięć – wówczas nie ma innego wyjścia, trzeba go do tego zmusić siłą. ©

K. SCHUBERT / MIK / MATERIAŁY PRASOWE

Dom Pod Globusem – monumentalna fasada z okrętem (od ul. Długiej). Kraków, luty 2021 r.

Klasztor i globus

MARTYNA TONDERA-ŁEPKOWSKA

Malowidła brata Stanisława i polichromie Józefa Mehoffera – zbliża się weekend 25. Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego, w tym roku pod hasłem „Ornament".

Święto małopolskich zabytków, które odbywa się już po raz dwudziesty piąty, to zaproszenie do odkrywania tajemnic, słuchania opowieści i zaglądania tam, gdzie na co dzień zajrzeć nie sposób. Ostatni akt tej edycji Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego rozegra się w Krakowie i jego najbliższej okolicy.

Zaczniemy od Nowej Huty, a ściślej – od dawnej miejscowości Mogiła, gdzie w opactwie Cystersów opowiemy o dziełach Stanisława Samostrzelnika, a potem, w domu Pod Globusem przy zbiegu ulicy Długiej i Basztowej odbędzie się premiera filmu o tym, co się może wydarzyć, gdy wybitni artyści spotkają się przy wspólnym projekcie. Pokłócą się czy stworzą miejsce wyjątkowe? Tego wszystkiego będzie można się dowiedzieć w trzeci weekend czerwca (17-18 czerwca).

W opactwie Cystersów w Mogile w kilku częściach bazyliki i klasztoru można podziwiać unikatową polichromię wykonaną w latach 30. XVI wieku przez Stanisława Samostrzelnika, zakonnika tutejszego klasztoru. Był on wielkim ornamentatorem i iluminatorem, miniaturzystą i malarzem, który przez kilkanaście lat cieszył się przywilejem prowadzenia własnego warsztatu poza klasztorem, a potem powrócił za jego mury, by zdobić ściany i sklepienia cysterskich budynków. O nim i jego twórczości opowiedzą sami ojcowie cystersi, otwierając zamknięte zazwyczaj dla zwiedzających drzwi klasztornej biblioteki.

By lepiej poznać spuściznę artystyczną cystersów, a także zobaczyć najcenniejsze dzieła sztuki ze zbiorów mogilskiego opactwa, warto zwiedzić także niedawno otwarte muzeum, mieszczące się w niegdysiejszym pałacu opata. Po pobliskim drewnianym kościele św. Bartłomieja oprowadzać będzie lokalny przewodnik. Zaprezentuje on wspaniały, ale na co dzień ukryty, bogato dekorowany gotycki portal. Osoby posługujące się polskim językiem migowym będą mogły wziąć udział w wyjątkowym spacerze po całym opactwie. Z kolei na tych, którzy chcieliby sami poczuć się jak ornamentatorzy, będą czekać warsztaty druku roślinami i zdobienia papieru czerpanego, prowadzone przez graficzkę i litografkę. Swojego artystycznego ducha uwolnić będą mogli zarówno dorośli, jak i dzieci.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

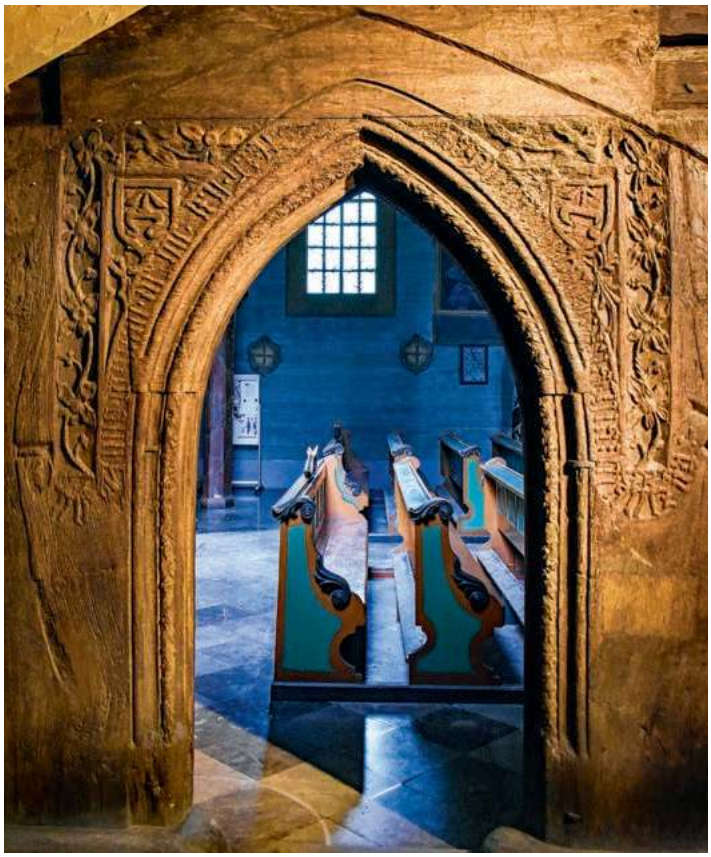

ZYGMUNT PUT / WIKIPEDIA.ORG

Gotycki portal kościoła św. Bartłomieja w Mogile.

W samym Krakowie również nie brakuje spektakularnych ornamentów. Na rogu ulic Długiej i Basztowej stoi budynek, którego strzelistą wieżę wieńczy olbrzymi globus – stąd jego nazwa, czyli dom Pod Globusem. Zbudowany na początku XX wieku dla Izby Przemysłowo-Handlowej, już od 50 lat jest siedzibą Wydawnictwa Literackiego. Pełna detali, monumentalna fasada z okrętem to jedynie zapowiedź ornamentowego piękna serca gmachu, czyli sali Mehofferowskiej.

Jej projekt pierwotnie powierzono Stanisławowi Wyspiańskiemu, ten jednak nie mógł wykonać zlecenia, przejął je więc przyjaciel artysty jeszcze z lat młodzieńczych, Józef Mehoffer. Efekty jego pracy – strop zdobiony wijącymi się, wielobarwnymi wężami, ściany pomalowane niczym wieka skrzyń krakowskich, boazerię zdobioną mosiężnymi elementami wzorowanymi na bronowickiej biżuterii i oświetlenie w kształcie kwiatów, wyrastających ze ścian i sufitu – wszystko to przeszło najśmielsze oczekiwania zamawiających projekt.

O tym dziele totalnym opowie film przygotowany na Dni Dziedzictwa, którego premiera i kolejne pokazy odbędą się w sali Mehofferowskiej właśnie. Będzie można zwiedzić również inne przestrzenie domu Pod Globusem – pod przewodnictwem pracowników Wydawnictwa Literackiego, kustoszki MNK w Domu Mehoffera czy historyków sztuki. Każde oprowadzanie, na życzenie zwiedzających, kończyć się może wizytą na wieży zegarowej, a ci, którzy pragną w pełni zanurzyć się w młodopolskim Krakowie, będą mogli wyruszyć dalej, na spacer śladami Mehoffera i Wyspiańskiego. ©

Udział w wydarzeniach jest bezpłatny, jednak na część z nich obowiązuje rezerwacja miejsc, możliwa w dniach 12-16 czerwca przez formularz dostępny na stronie dnidziedzictwa.pl lub telefonicznie: 533 654 003.

Dniom Dziedzictwa, jak co roku, towarzyszy bezpłatna książka, dostępna we wszystkich punktach informacyjnych (w trakcie trwania Dni). W tym roku siedmioro autorów opowiedziało o bohaterach Dni – każdy na swój wyjątkowy sposób. **Barbara Sadurska**, **Radek Rak**, **Katarzyna Kobylarczyk**, **Sabina Jakubowska**, **Jakub Kornhauser**, **Bartosz Sadulski** i **Dominika Słowik** zaskoczą czytelnika formą i tematem.

MATERIAŁY PRASOWE

Album „Wyszukana Małopolska" to opatrzone zdjęciami siedemdziesiąt pięć opowieści o miejscach, które gościły Dni Dziedzictwa w poprzednich latach. Te krótkie impresje o pasji, marzeniach, odwadze i ideach opowiadają nie tylko o murach, malowidłach czy rzeźbach, ale przede wszystkim o ludziach i płomieniu, który rozpalał ich serca i głowy. Ten płomień wciąż buzuje w duszach gospodarzy, kustoszy, przewodników i pasjonatów lokalnej historii – u każdego, komu nieobojętne jest dziedzictwo kulturowe.

Niełatwo było dokonać wyboru spośród kilkuset miejsc, które otworzyły podwoje przed Dniami Dziedzictwa – zajrzeliśmy za niezliczone zamknięte drzwi, otworzyliśmy wiele zatrzaśniętych okien i wysłuchaliśmy setek historii. Każde z tych miejsc i każda z opowieści zasługiwały na swoją wzmiankę w albumie. Z tymi siedemdziesięcioma pięcioma obiektami, które w końcu się w nim znalazły, wiążą się historie pełne pasji, pomysłów i idei – teraz Małopolski Instytut Kultury z radością się nim dzieli.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK SPECJALNY
„TP" 24/2023

20. ROCZNICA referendum akcesyjnego

PROF. ANTONI DUDEK, POLITOLOG:

Gdyby frekwencja w referendum okazała się zbyt niska, dla Polski byłoby to kompromitujące. Przeciwnicy Unii mogliby w przyszłości dowodzić, że akcesja była nie do końca prawomocna.

GRZEGORZ NUREK: Czy referendum o akcesji Polski do Unii Europejskiej mogło się nie udać? Innymi słowy, czy gdyby nie poparcie papieża Jana Pawła II, a także gdyby nie decyzja o wydłużeniu czasu trwania referendum, mogłoby się zakończyć blamażem?

PROF. ANTONI DUDEK: Mogło zakończyć się tym, że wynik nie byłby wiążący. Najważniejszym problemem była frekwencja, bo z badań opinii publicznej wynikało, że większość Polaków jest za wejściem do Unii. Może nie miażdżąca większość, ale była wyraźna przewaga zwolenników akcesji. Konstytucja z 1997 r. wprowadziła wymóg przekroczenia 50 proc. frekwencji, aby wynik referendum był prawomocny. Gdyby tej frekwencji w referendum zabrakło, to najprawdopodobniej i tak Polska weszłaby do Unii, bo wtedy decyzję w tej sprawie podjąłby parlament. I taki scenariusz był rozważany. Frekwencja poniżej 50 proc. byłaby jednak dla Polski kompromitująca. Przeciwnicy Unii mogliby w przyszłości dowodzić, że akcesja była nie do końca prawomocna. Polska, jak wiadomo, jest krajem o niskiej aktywności wyborczej. W wyborach parlamentarnych często nie osiągano 50 proc. fre-

kwencji. W samym referendum konstytucyjnym w 1997 r. poszło do urn zaledwie 42,86 proc. uprawnionych. Dlatego najważniejszy był pomysł dwudniowego referendum, co przyczyniło się do podniesienia frekwencji. To pozwoliło ominąć fatum związane z niską aktywnością wyborczą Polaków.

Pisze Pan w „Historii politycznej Polski", że próg frekwencji przekroczyliśmy dopiero drugiego dnia. Kraje, które w tym samym czasie ubiegały się o wejście do Unii, jak Malta, Słowenia, Węgry, rozpisały referenda jednodniowe. Dwudniowe były w Litwie, Słowacji i Czechach. Przy czym nie wszędzie był wymagany 50-procentowy próg. Warto wspomnieć, o czym Pan też pisze, że pomysł wydłużenia czasu głosowania zawdzięczamy socjologom, Lenie Kolarskiej-Bobińskiej i Jerzemu Głuszyńskiemu.

Ci socjologowie najpierw przekonali polityków Platformy Obywatelskiej, oni natomiast rządzący wówczas SLD i prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który bardzo zaangażował się w przekonywanie Polaków do wstąpienia naszego kraju do Unii Europejskiej. Potem rozpoczęła się wielka kampania, która przypominała kampanię wyborczą. Zaangażowało się w nią wielu ludzi ze świata nauki, kultury i sportu. Podpisywano apele, przekonywano do Unii Europejskiej w mediach. Ludzie, którzy nie angażowali się w manifestowanie sympatii partyjnych, wzięli udział w kampanii przedreferendalnej. Chociażby Stanisław Lem i Wisława Szymborska byli za akcesją. Prezydent Kwaśniewski z politykami różnych opcji politycznych jeździł po kraju, aby pokazać, że to nie jest przedsięwzięcie jedynie formacji politycznej, z której się wywodził, ale sprawa wszystkich Polaków. Do Płocka zaprosił np. Tadeusza Mazowieckiego, a jeżdżąc po Małopolsce występował z Leszkiem Moczulskim.

Niewiele mówi się o ogromnym zaangażowaniu organizacji pozarządowych w kampanię i w promowanie korzyści z wstąpienia do Unii.

Odegrały wielką rolę, chociaż nie posiadały ogromnych budżetów, jak Rada Ministrów czy Kancelaria Prezydenta. Mieliśmy do czynienia z pospolitym rusze-

ARCHIWUM PRYWATNE

ANTONI DUDEK jest politologiem i historykiem; profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, autor wielu książek, m.in. „Historii politycznej Polski 1989-2015", prowadzi na YouTubie autorski kanał „Dudek o Historii".

niem wielu organizacji. Niektórzy obawiali się tego, że badania opinii publicznej nie do końca mogą być wiarygodne, że rodacy mogą ukrywać prawdziwe preferencje i zagłosować przeciw wstąpieniu Polski do struktur europejskich.

Były siły polityczne, i to nawet w polskim parlamencie, negujące potrzebę integracji.

Zdecydowanie najważniejszą z nich była Liga Polskich Rodzin Romana Giertycha. Wzięła na siebie główny ciężar kampanii antyunijnej. Można powiedzieć, że dziś spadkobiercami tamtej antyunijnej retoryki, tamtego myślenia są Suwerenna Polska Zbigniewa Ziobry oraz Konfederacja. Już wtedy przekonywano, że Unia chce nas zniewolić, pozbawić suwerenności, narzucić obce nam rozwiązania w sferze światopoglądowej, wyeksploatować Polskę, wreszcie, że Unia jest narzędziem wpływów niemieckich. Było też drugie ugrupowanie – Samoobrona Andrzeja Leppera, które również wzywało do głosowania przeciw akcesji, ale z nieco innym uzasadnieniem. Uważali, że warunki, na których Polska ma wejść do Unii (przede wszystkim dotyczące polskiego rolnictwa), są niekorzystne, że nasi rolnicy dostaną mniejsze dopłaty niż rolnicy unijni. Rolnictwo rzeczywiście było w negocjacjach największym problemem. Unia prowadzi dość hojną politykę jego wsparcia. A polskie rolnictwo budziło przerażenie w Unii; argumentowano, że gdyby od razu polscy rolnicy dostali dopłaty w tej samej wysokości co ci z Zachodu, to budżet Unii zostałby spustoszony.

Dodatkowo problemem było ogromne rozdrobnienie gospodarstw. Jak organizacyjnie temu podołać? Jak rozdzielić dopłaty, skontrolować. Zdecydowano ostatecznie, że stopniowo będziemy dochodzić do pełnego poziomu dopłat. Polska wynegocjowała też rekordowo długi, bo dwunastoletni okres przejściowy, w trakcie którego obcokrajowcy nie mogli nabywać polskiej ziemi.

Przeciwnicy Unii pojawiali się także w innych ugrupowaniach – w PSL, PiS. Te partie w większości były jednak prounijne. PSL współtworzyło zresztą do 2003 r. rząd Leszka Millera, w którym wicepremierem był Jarosław Kalinowski. W trakcie negocjacji w 2002 r. między nim a resztą rządu doszło do sporu. Kalinowski kilkukrotnie groził, że jego partia opuści koalicję. Podczas negocjacji polskiego rządu z unijnymi urzędnikami sprawą kluczową stały się tzw. kwoty mleczne, czyli limit produkcji mlecznej. Polska strona domagała się znacznie większych limitów, niż Bruksela chciała nam przyznać. Ostatecznie udało się wypracować kompromis. Pod koniec rozmów polscy negocjatorzy postawili sprawę na ostrzu noża: jeśli nie dojdzie do spełnienia postulatów Kalinowskiego, rząd może upaść, referendum zostać przegrane, a siły antyunijne podniosą głowę. Dzięki tej presji, ale i przychylności duńskiego premiera Andersa Rassmusena, który przewodniczył wtedy Radzie UE, udało się ostatecznie wywalczyć zwiększenie owych kwot mlecznych.

Przeciwko akcesji były też Unia Polityki Realnej oraz pozaparlamentarne Stronnictwo Narodowe i Młodzież Wszechpolska. Organizowano wiele antyunijnych happeningów.

Te formacje nie miały już takiego oddziaływania jak LPR i Samoobrona. Z wpływowych środowisk i instytucji przeciwnych Unii trzeba natomiast wspomnieć o Radiu Maryja, które zresztą otwarcie wtedy popierało LPR. Na falach Radia Maryja straszono starszych słuchaczy utratą suwerenności ↦

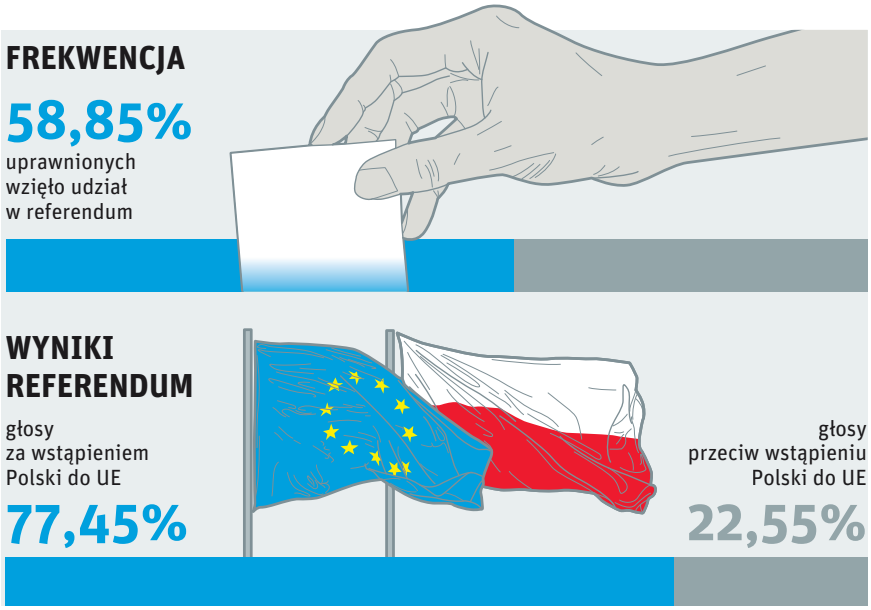

LECH MAZURCZYK

↦ i zagrożeniami cywilizacyjnymi płynącymi z Zachodu. Te argumenty są wciąż świetnie znane, powracają do dzisiaj. Po tym niemal dwudziestoletnim pobycie w Unii wedle tamtych przestróg już dawno powinniśmy się rozpłynąć w unijnym sosie i utracić suwerenność. Rzeczywistość okazała się inna. Oczywiście Unia promuje różne wartości, np. tolerancję i równouprawnienie, ale nie czyni tego w sposób przemocowy. Nie wygląda to tak apokaliptycznie, jak wieszczyli przeciwnicy Unii.

Wynotowałem sobie, czym Samoobrona i LPR straszyły rodaków w kampanii referendalnej: ogromnymi składkami do Unii, wzrostem bezrobocia, drożyzną, wykupem ziemi przez obcokrajowców, upadkiem małych firm, zubożonym budżetem, a tym samym likwidacją zasiłków rodzinnych. Straszono nawet klonowaniem ludzi i utratą Ziem Odzyskanych.

Poziom tych zarzutów był bardzo różny, ale miały one swój wspólny mianownik: strach przed Unią jako czymś ogromnym, wszechpotężnym i złowrogim. Nie myślano w ogóle o tym, że Polska, stając się częścią tego organizmu, będzie też jednak potencjalnie mogła wpływać na decyzje samej Unii. Trzeba tylko umieć tworzyć koalicje państw. Mamy w tym zakresie ograniczone sukcesy. To nie tak, jak głosi propaganda PiS, że w Unii rządzą Niemcy. Można wskazać wiele decyzji Unii, które Niemcom niekoniecznie się podobały. Im po prostu jako największemu państwu łatwiej budować koalicje, ale to nie znaczy, że zawsze im się udaje.

Czy PiS aby nie lawirowało w sprawie poparcia dla akcesji? Głosowali przeciw pomysłowi dwudniowego referendum.

Większość posłów PiS była za członkostwem Polski w Unii, tylko interesowało ich, czy przy tej okazji nie można doprowadzić do upadku rządu Leszka Millera. Zdawali sobie sprawę, że wygrane referendum będzie sukcesem rządu. Trwała już afera Rywina i władza była w coraz większych tarapatach. Rząd by upadł, gdyby referendum się nie udało.

Sam premier deklarował, że jeśli referendum skończy się porażką, poda się do dymisji.

Tylko nie jest do końca jasne, czy przez porażkę rozumiał niską frekwencję, czy większość głosów na „nie". Leszek Miller też prowadził pewne gry słowne z obywatelami. Natomiast jest faktem, że zaraz po wygranym referendum wykorzystał sytuację w Sejmie i złożył wniosek o wotum zaufania dla swojego gabinetu. Głosowanie wygrał. To była próba wyjścia z kryzysu i impasu, w jakich się znalazł po rozpoczęciu prac komisji sejmowej badającej aferę Rywina. Zaraz potem był kongres SLD, na którym wybrano go na kolejną kadencję przewodniczącym partii. Ale w drugiej połowie 2003 r. notowania SLD i jego osobiście się załamały. Miller na początku 2004 r. walczył już tylko o to, aby móc się podać do dymisji dopiero nazajutrz po wejściu Polski do Unii. 2 maja tak też się stało. To jednak nie uratowało SLD przed rozłamem. Pamiętajmy, że z początkiem 2004 r. doszło do największego rozłamu w historii tej formacji, gdy odszedł Marek Borowski i powołał Socjaldemokrację Polską.

Przy okazji referendum ujawniła się też pewna cecha PiS, która się potwierdziła także później: że dla braci Kaczyńskich polityka zagraniczna jest zakładnikiem polityki wewnętrznej. Gdy można poświęcić jakieś rozwiązania w polityce zagranicznej, to się je poświęca na rzecz korzyści w polityce wewnętrznej. Oczywiście głosując przeciw dwudniowemu referendum mówiono, że koszty organizacyjne będą wyższe, że mogą być fałszerstwa nocą. Nie są to chyba wystarczające powody, aby głosować przeciw, zważywszy na ryzyko braku odpowiedniej frekwencji i niepowodzenia referendum.

Jaki był stosunek episkopatu, kleru, papieża do akcesji?

Duchowieństwo w tej sprawie było podzielone. Choć z badań opinii wynikało, że większość duchownych opowiada się za akcesją. Słynne były wypowiedzi Jana Pawła II „od Unii Lubelskiej do Europejskiej" i „Polska potrzebuje Europy, Europa potrzebuje Polski". Prezydent Kwaśniewski sugerował, że to był efekt jego wizyty w Stolicy Apostolskiej, gdzie wygłosił przemówienie prounijne. Papież nie zwykł wprost apelować, nie mógł mieszać się otwarcie w sprawy wewnętrzne państw, nawet swojej ojczyzny. Ale czytelny sygnał poparcia dał. Episkopat ograniczył się do wydania komunikatu zachęcającego do udziału w referendum, co też miało znaczenie.

13,5 mln rodaków głosowało za integracją, blisko 4 mln przeciw. Zgodnie z przewidywaniami najsłabsze poparcie było wśród mieszkańców wsi, chociaż to rolnicy po czasie okazali się największymi beneficjentami unijnych dotacji.

Polacy byli i są nadal podzieleni. Nie było jednak województwa, w którym zwyciężyliby przeciwnicy akcesji. Gdzie ich było najwięcej? Ściana wschodnia: lubelskie, podlaskie. Były pojedyncze miejscowości w środkowo-wschodniej Polsce, gdzie nawet 80 proc. głosujących była przeciwna Unii. Mnie zawsze bardziej martwiło, że tak wielu Polaków nie wzięło udziału w referendum. Frekwencja 58,85 proc. nie rzuca na kolana. Gdyby było 80 proc., to rozumiem. Niestety, dla wielu Polaków było obojętne, czy wejdziemy, czy nie wejdziemy do Unii.

Może słynne czerwcowe „święto grilla" i wyjazdy rekreacyjne zaważyły?

W swojej książce przytaczam prawdziwą anegdotę, że jednym z działań profrekwencyjnych podjętych po południu drugiego dnia referendum było polecenie przez Leszka Millera ministrowi spraw wewnętrznych, a za jego pośrednictwem komendantowi głównemu policji, zdjęcia wszystkich patroli z dróg dojazdowych do miast, aby rodacy wracający z weekendowych wyjazdów mogli wrócić do domu na czas i jeszcze zdążyć zagłosować. Ale tłumaczenie, że niska frekwencja była spowodowana wyjazdami, grillem na działkach mnie nie przekonuje. Innym razem można tłumaczyć: deszcz wtedy padał albo było za gorąco. Jak Polak chce znaleźć uzasadnienie dla braku aktywności wyborczej, to zawsze znajdzie. Mamy w kraju pokaźną grupę, której kompletnie nie interesują sprawy publiczne. Przy większej polaryzacji polityka budzi więcej emocji, ostatnio udział w wyborach rośnie, przekracza 60 proc., lecz daleko nam do frekwencji w innych krajach unijnych. Referendum z 2003 r. było tego symbolem.

Jak wyglądałaby dziś Polska, gdyby nie czternastoletnie zabiegi kolejnych rządów o integrację zakończone akcesją i niemal dwie dekady obecności Polski w Unii?

Każdy może się przekonać podróżując po kraju. Wszędzie można dostrzec tablice informacyjne, że dany obiekt został wybudowany lub wyremontowany ze środków Unii Europejskiej. Proszę sobie wyobrazić, że tych budowli nie ma. Oczywiście, nie jest też tak, że gdybyśmy do Unii nie weszli, to nic by nie wybudowano czy wyremontowano. Natomiast wiele inwestycji, w tym dróg i mostów, zaczęto budować szybciej, na większą skalę. Polska wieś dzięki dopłatom zmieniła się jeszcze bardziej niż miasta. Nastąpił tam spektakularny wzrost poziomu życia i zmiana cywilizacyjna. Uniknęliśmy też wielkiego konfliktu społecznego, który byłby związany z dużym bezrobociem. Tuż przed wejściem do Unii sięgało ono niemal 20 proc. Nastąpiła emigracja zarobkowa, zwłaszcza do Irlandii i Wielkiej Brytanii, bo to były pierwsze kraje, które otworzyły przed nami rynek pracy bez ograniczeń.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

Całość rozmowy na **www.tygodnikpowszechny.pl**

REKLAMA

ZAPROSZENIE

Biuro Parlamentu Europejskiego w Polsce oraz Przedstawicielstwo Komisji Europejskiej w Polsce

mają zaszczyt zaprosić na uroczyste otwarcie multimedialnego centrum

EUROPA EXPERIENCE

16 czerwca 2023 r. (piątek)
10.00 – 18.00
ul. Jasna 14/16a, Warszawa

Europa Experience to multimedialne centra otwierane w krajach Unii Europejskiej, dzięki którym w interaktywny sposób można dowiedzieć się, jak funkcjonuje Unia Europejska i jak wpływa na życie codzienne jej obywateli.
Wszystkie wizyty w centrach Europa Experience są bezpłatne i dostępne w 24 językach urzędowych Unii Europejskiej.

Zjednoczeni we wspólnym działaniu

RADOSŁAW CISZEWSKI

Kampania referendalna była ukoronowaniem prac podejmowanych przez wiele lat.

Działania proeuropejskie, które realizowane były przez organizacje pozarządowe, rozpoczęły się już na początku lat 90., a zintensyfikowały się na przełomie 1998/99 roku. W 1998 r. rozpoczęliśmy oficjalne negocjacje członkowskie, ale też był to czas najniższego poparcia społecznego dla przystąpienia Polski do Unii.

Czym innym były wieloletnie działania proeuropejskie, a czym innym sama kampania referendalna. Organizacje pozarządowe prowadziły ją na szeroką skalę. Starali się pomóc wszyscy, którym zależało na przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej.

Samą kampanię można zamknąć w przedziale czasowym pomiędzy styczniem a czerwcem 2003 r. Początek roku 2003 to dwie inicjatywy, które sprzyjały włączeniu wielu NGO-sów do kampanii referendalnej: Inicjatywy Obywatelskiej „TAK w Referendum" i rządowego konkursu grantowego „Teraz Integracja".

Inicjatywa Obywatelska „TAK w Referendum" została zawiązana przez przedstawicieli różnych środowisk społecznych. To było pospolite ruszenie. Chodziło o stworzenie wspólnej płaszczyzny działania na rzecz udziału w unijnym referendum i oczywiście oddania głosu za przystąpieniem Polski do Unii. Inicjatywa była otwarta i skupiała organizacje pozarządowe, organizacje pracodawców i firmy komercyjne (w tym agencje reklamowe, co miało duże znaczenie dla jakości przygotowanych materiałów informacyjnych). Siłą Inicjatywy, a właściwie szerzej, siłą poparcia dla wstąpienia Polski do Unii był szeroki konsensus.

Firmy udzielały przestrzeni w oknach wystawowych, a media czasu antenowego. Angażowały się duże związki, jak Konfederacja Lewiatan, ale też np. koła gospodyń wiejskich. W szczytowym momencie ponad 250 organizacji społecznych nastawionych proeuropejsko włączyło się w kampanię.

Wśród pierwszych partnerów, a właściwie współzałożycieli Inicjatywy Obywatelskiej znalazły się: Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych Lewiatan, Polska Fundacja im. Roberta Schumana, Fundacja Unia i Polska, Stowarzyszenie Agencji Reklamowych, Regionalne Stowarzyszenie „Rozwój", Agencja Rozwoju Regionu Mazowsza Północno-Wschodniego, Fundacja Nida. Dzięki Inicjatywie „TAK w Referendum" udało się rozdysponować m.in. 2,5 mln ulotek, 2 mln naklejek, kilka tysięcy plakatów, wesprzeć w całym kraju ponad 170 wydarzeń proeuropejskich, stworzyć filmy i reklamy emitowane w stacjach radiowych i telewizyjnych.

Jednym z fundamentów budowy świadomości tego, jak ważne jest przystąpienie Polski do Unii, było środowisko szkolne. Nauczyciele i uczniowie tworzyli szkolne kluby europejskie, w bazie danych Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej zarejestrowanych było wtedy ponad 2,5 tys. takich klubów.

Ważnym aspektem budującym tożsamość i siłę środowiska proeuropejskiego były organizowane przez Polską Fundację im. Roberta Schumana od 1994 r. Polskie Spotkania Europejskie, a od 2000 r. majowe Parady Schumana. To była niezwykła platforma spotkań, która pokazywała nam, jak silne i energiczne jest środowisko proeuropejskie w kraju. Irek Jundziłł i Kuba Kowalczyk to pierwsi koordynatorzy tych parad. Pamiętam, że wymyśliliśmy je podczas spotkania u Piotra Nowiny-Konopki. Z perspektywy czasu widzę, że porywaliśmy się wtedy z motyką na słońce. Koordynacja takiego wydarzenia to niezwykłe wyzwanie. Ale cel był jasny, udało się, i wiem też, że referendum wygrali wszyscy głosujący, nasza Inicjatywa była tylko częścią wielkiego ruchu i dobrej, wspólnej decyzji. ©

RADOSŁAW CISZEWSKI jest członkiem Rady Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego. W latach 1999-2003 pracował w Polskiej Fundacji im. Roberta Schumana. Z jej ramienia był koordynatorem ogólnopolskiej akcji społecznej na rzecz przystąpienia Polski do Unii Europejskiej w ramach Inicjatywy Społecznej „TAK w Referendum".

Powrót do Europy

DANUTA HÜBNER

Referendum było kropką postawioną nad „i", ostatnim akordem w tym całym ogromnym wysiłku, jaki podjęliśmy na rzecz przywrócenia Polski Europie.

Opowiadając się jako społeczeństwo za wejściem Polski do Unii Europejskiej, pokazywaliśmy, że wracamy do Europy, że stajemy się istotną częścią kontynentu, który chcemy wzmacniać naszą obecnością. Odczytywałam ten nasz narodowy głos jako wymowny gest przełożenia naszej solidarności na poziom europejski.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że dokonuje się akt dziejowej sprawiedliwości, ale też, że otwiera się nowa epoka. Odczuwałam to w sposób najbardziej osobisty: czułam, że wprowadzając Polskę do Europy, jednocześnie wprowadzam Europę do Polski.

Kampania referendalna była mocnym, wzruszającym doświadczeniem. Spotykałam się z wieloma wspaniałymi ludźmi na poziomie lokalnym. Burmistrzowie, wójtowie, sołtysi, nauczyciele (z których znaczna część to były fantastyczne kobiety).

I myślę, że po wyborach powinniśmy przedstawić inicjatywę uhonorowania wszystkich osób zaangażowanych wtedy na poziomie gmin, powiatów, oddolnych inicjatyw w akcji prereferendalnej. Bo nie zawsze pamiętamy o tym, że to właśnie zbiorowy wysiłek całego społeczeństwa, jego mobilizacja na poziomie lokalnym, sprawiła, że to referendum wygraliśmy. ©

DANUTA HÜBNER jest posłanką do Parlamentu Europejskiego; profesor nauk ekonomicznych. Była pierwszą komisarz reprezentującą Polskę w Unii Europejskiej.

GRZEGORZ JAKUBOWSKI / FORUM

Świętowanie wyników referendum akcesyjnego. Warszawa, 8 czerwca 2003 r.

Kutz wziął ich szturmem

RÓŻA THUN

Niezmiernie ważne dla mnie w tej nadzwyczajnej mobilizacji przed referendum było to, że ludzie prosto z ulicy pukali do drzwi Fundacji Schumana i pytali: „Czy mogę w czymś pomóc? Bo bardzo chcę, abyśmy weszli do Unii Europejskiej”.

Mam wyraźne wspomnienie z tamtego czasu, że potencjał zaangażowania społecznego w Polsce może być ogromny. Ludzie rozumieli, że to jest moment historyczny i że nie można odpuścić. Nauczycielki, działacze społeczni, wolontariusze... To im zawdzięczamy, że jesteśmy w Unii. W czasie kampanii wraz z politykami, ekspertami, społecznikami i sławami jeździliśmy do małych miejscowości rozmawiać o Unii. Raz pamiętam, że pojechaliśmy samochodem wolontariusza do liceum w jednej z niewielkich miejscowości w północno-wschodniej Polsce z reżyserem Kazimierzem Kutzem. Słucham w drodze, jak pan Kutz wyraża się o przeciwnikach Unii, w niemal każdym zdaniu padały nieparlamentarne zwroty, mówię więc do niego: „Ale pan tak nie może mówić, jedziemy do szkoły, tam będzie młodzież, nauczycielki, pewnie miejscowi księża”. Kutz: „Dobrze, dobrze, będę się pilnował”. Przyjeżdżamy na miejsce, przemawiam, mówi jeszcze jeden zaproszony gość, po czym głos zabiera Kutz. Rozpoczął spokojnie, z czasem zaczął się rozkręcać i jak nie wróci do tej swojej opowieści, co to on przeciwnikom Unii nie zrobi, jak nie przeklnie siarczyście raz, drugi i trzeci. Patrzyłam na to z przerażeniem. A sala zachwycona. Wziął ich szturmem. Myślę, że tam później wszyscy zagłosowali za wstąpieniem do Unii.

Wspaniały był aktor Michał Żebrowski. Godzinami rozdawał autografy i pozował do zdjęć, jeździł z nami po całej Polsce. Gdy zadzwoniłam do Anny Przybylskiej, też przeklęła i powiedziała: „Musimy do Unii wejść!”. W tych małych miejscowościach za miejsca spotkań służyły szkoły i sale gimnastyczne. Nauczycielki z uczniami organizowali pikniki europejskie, zakładali kluby europejskie, na Parady Schumana przyjeżdżali ludzie z całego kraju. Jedynym, który nie chciał nam dać zgody na wielotysięczny proeuropejski przemarsz przez stolicę, był niestety prezydent Warszawy Lech Kaczyński.

Na samo głosowanie ze szpitala wykradłam Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Zadzwoniłam, spytałam, jak to będzie z głosowaniem w szpitalu, on na to, że marzy, aby zagłosować w lokalu wyborczym. Skoro świt razem z jego krewnym cichaczem porwaliśmy go na głosowanie. Był słaby, na wózku. Po głosowaniu, a był w szampańskim humorze, zaprosiłam go na śniadanie do nas, do domu, oczy mu się zaświeciły: cudownie, jadę na wagary! Po śniadaniu odwieźliśmy go do szpitala, a tam panika, gorączkowe poszukiwania, gdzie się podział pacjent. Był szczęśliwy.

Nam zależało, aby wejść do Unii Europejskiej z poparciem społeczeństwa. Obawialiśmy się, że po akcesji, gdy trawa nagle nie zrobi się bardziej zielona, niebo bardziej niebieskie i słońce nie będzie świeciło jaśniej, ludzie poczują się rozczarowani. I że poparcie dla członkostwa będzie malało. Ku ogólnemu zaskoczeniu zaraz po akcesji poparcie dla Unii zaczęło rosnąć.

Pierwszego dnia referendum była niska frekwencja, kładliśmy się spać w ponurych nastrojach, na szczęście drugiego dnia pojawiły się informacje, że sytuacja się poprawiła, że ludzie wracają z weekendowych wyjazdów, że tworzą się korki na drogach i kolejki do lokali wyborczych. Jeden z młodych wolontariuszy, gdy już Polskę przyjęto do Unii, popatrzył na mnie poważnie i powiedział: „To my robimy historię”.

Liga Polskich Rodzin straszyła przed referendum masowym wykupem ziemi przez Niemców. Niektórzy polscy właściciele ziemi byli rozczarowani, liczyli na zarobek, a tu nic. Nawet ta „obietnica” przeciwników Unii, że przyjdą Niemcy i wykupią polską ziemię, się nie spełniła. ©

RÓŻA THUN od 2009 roku jest posłanką do Parlamentu Europejskiego; w latach 1992-2005 dyrektor Polskiej Fundacji im. Roberta Schumana, w latach 2005-2009 dyrektor Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. Obecnie reprezentuje Renew Europe i Polskę 2050.

renew europe.

GRUPA RENEW EUROPE (Odnowić Europę) to trzecia największa grupa polityczna w Parlamencie Europejskim. Liczy obecnie 101 europosłów z kilkunastu krajów UE, w tym z Polski, Czech, Słowacji, i Węgier. Członkami politycznej rodziny Renew Europe są m.in. przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel, prezydent Francji, premierzy Luksemburga, Belgii, Estonii, Holandii i Słowenii, sześciu komisarzy unijnych. To grupa centrowa, walczącą o wolności i prawa obywatelskie przy jednoczesnym zabezpieczeniu wzrostu gospodarczego i miejsc pracy.
Więcej informacji: **www.reneweurope.eu**

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 24/2023
REDAKCJA: Grzegorz Nurek | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
SKŁAD: Andrzej Leśniak

KOŚCIEC WSPÓLNOTY

JAN TRUSZCZYŃSKI, dyplomata:
Przepisy strzegące europejskich wartości nie wzięły się znikąd. Trzeba wciąż przypominać, co one znaczą i jak do nich doszliśmy.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jest Pan członkiem organizacji Team Europe. Czym zajmuje się ten zespół?
JAN TRUSZCZYŃSKI: Składa się on z blisko stu osób – ekspertów, na ogół akademików, w niektórych przypadkach praktyków, takich jak ja. To ludzie zainteresowani krzewieniem informacji o mechanizmach integracji europejskiej, pro publico bono, współpracujący z Przedstawicielstwem Komisji Europejskiej w Polsce. A wszystko po to, by zwiększać poziom edukacji obywatelskiej. Każdy z nas zajmuje się innym aspektem polityki europejskiej. Do Team Europe dołączyłem przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, bo założyłem, że w tym okresie wiedza na temat działania struktur europejskich będzie szczególnie przydatna. Niektórzy zastanawiali się, po co właściwie mają głosować w tych wyborach – chcieliśmy pokazać, że będą one miały realny wpływ na życie wszystkich obywateli Europy, także w Polsce.

Jak wygląda wiedza Polaków na temat Unii Europejskiej?
Nie możemy wymagać od siebie więcej niż od innych nacji uczestniczących w budowaniu zjednoczonej Europy. Nie spodziewajmy się, że każdy będzie miał wiedzę obywatelską na tyle dużą, aby wiedzieć, jak działa prawo unijne, jak funkcjonują poszczególne polityki sektorowe. Jednocześnie należy oczekiwać, żeby obywatele orientowali się w sposobach działania Unii w podobny sposób, jak choćby w przypadku władz samorządowych. Niemniej nie wydaje mi się, żeby przeciętna wiedza Polaka o Unii była niższa niż Łotysza, Niemca czy Portugalczyka.

Czyli to powszechny problem?
Edukacja w tym zakresie w całej Europie pozostawia wiele do życzenia. Wygłaszane są różne wzniosłe deklaracje, ale rzadko przekładają się one na praktyczne działania. Narzekamy, i słusznie, że mało uwagi w szkole poświęcane jest temu, co dzieje się współcześnie na świecie, ale te same głosy słychać także w innych europejskich krajach. Co gorsza, w ciągu ostatnich dwóch dekad poziom wiedzy jeszcze spadł.

Unia coraz częściej postrzegana jest jedynie jako wspólnota gospodarcza, a podstawowe wartości, na której jest zbudowana, spychane są na dalszy plan.
Na przełomie tysiącleci panował powszechny optymizm co do kondycji liberalnej demokracji, nie tylko w Europie, ale i na całym świecie. Wydawało się, że cały czas idziemy ku lepszemu. Ten model społeczno-polityczny sprawdzał się, więc nie widziano potrzeby, by inwestować w jego umacnianie. Z tej ekstrapolacji wzięło się ogóle samozadowolenie ówczesnych elit politycznych.

Kiedy to się zmieniło?
Gdy nadszedł kryzys ekonomiczny w 2008 roku, którego reperkusje odczuwane są poniekąd do dziś. W Polsce był on mniej odczuwalny, ale w krajach Europy Zachodniej obywatele stracili zaufanie do polityków, którzy nie potrafili postawić żadnej konkretnej diagnozy tego kryzysu, o planach na jego przezwyciężenie nie wspominając. To oczywiście nie jedyna przyczyna powszechnego kryzysu liberalnej demokracji, ale z pewnością jedna z najważniejszych. Gdy ludzie tracą wiarę w sprawczość elit politycznych, w siłę rosną wszelkiej maści populiści, proponujący prostackie rozwiązania. To choroba, na którą, w różnym stopniu, zapadła cała Europa.

Podstawowe wartości wróciły do debaty publicznej?
Tak, trzeba było jednak znaleźć wspólny mianownik, czytelny dla wszystkich członków Unii.

I co nim jest?
Przede wszystkim zgoda na przestrzeganie wspólnie ustanowionego prawa. Bez tego wszystko zaczyna się rozłazić w szwach. To kwestia wzajemnego zaufania – jeżeli mówimy o praworządności, to wszyscy powinniśmy mieć mniej więcej to samo na myśli. Tak samo z prawami człowieka, poszanowaniem mniejszości itd. Większość polityków europejskich zrozumiała, że tego kośćca wspólnoty trzeba strzec za wszelką cenę. Walka o wartości wciąż trwa, nie można składać broni.

Na czym polega ta walka?
Na równoczesnym poszanowaniu litery prawa i jego ducha. Bo przecież rozmaite przepisy strzegące europejskich wartości nie wzięły się znikąd. Trzeba wciąż przypominać, co one znaczą i jak do nich doszliśmy.

Mija 20 lat od referendum akcesyjnego – wypalił się w Polsce entuzjazm dla Unii Europejskiej?
Poparcie dla Unii jest w Polsce wciąż bardzo wysokie, procentowo jesteśmy zaraz za Irlandią i Maltą. Niestety, często jest to bardzo powierzchowne. Prosty przykład – polscy obywatele zapytani, czy zgodziliby się, jako warunek pozostania w Unii, na przymusowe przyjmowanie uchodźców w ramach relokacji, częściej odpowiadali negatywnie. Ich przewaga w tym badaniu była niewielka, niemniej pokazuje to, jak łatwo owo poparcie może zostać zachwiane.

Tyle by wystarczyło?
To oczywiście uproszczony i hipotetyczny scenariusz. Jednakże nawet w kwestiach czysto ekonomicznych powszechna wiedza jest nikła. Sporo się mówi o dotacjach unijnych, czyli bezpośrednich transferach pieniędzy, ale ta korzyść jest wielokrotnie mniejsza niż korzyści wynoszone przez Polskę ze swobodnego handlowania, podejmowania pracy i inwestowania na całym wielkim unijnym rynku. To główny czynnik tak dynamicznego rozwoju Polski w ostatnich 20 latach. Większa świadomość korzyści z pewnością ułatwiłaby debatę publiczną. Bo przecież nie ma żadnej sensownej alternatywy dla Unii.

A droga Wielkiej Brytanii?
To ciekawy przykład. Zdecydowanie za mało mówimy w Polsce o tym, jak dziś wyglą-

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

Manifestacja na placu Zamkowym w Warszawie pod hasłem #ZostajęwUnii, październik 2021 r.

dają tam nastroje społeczne trzy lata po brexicie.

I jak wyglądają?
W niektórych badaniach nawet dwie trzecie ankietowanych opowiada się za większą integracją z Unią, także w tych regionach, np. na północnym wschodzie Anglii, gdzie jeszcze parę lat temu zdecydowana większość głosowała za opuszczeniem Wspólnoty. Nie chodzi tu o ponowne wejście do Unii, aczkolwiek poparcie dla tego pomysłu także rośnie.

Dlaczego?
Okazało się, że złote góry, które obiecywali im tacy politycy, jak choćby Nigel Farage, okazały się fikcją, pojawiły się za to nowe, dotkliwe problemy. Nie udało się wynegocjować lepszych umów handlowych, spadło też o kilka procent PKB. A mówimy tu o państwie z silną i konkurencyjną gospodarką, do tego wpływową dyplomacją – a jednak to nie wystarcza. Samotny żeglarz zawsze będzie miał trudniej. Dziś nawet Farage twierdzi, że wiele rzeczy potoczyło się inaczej, niż zakładał. Powinniśmy o tym więcej i bardziej szczegółowo rozmawiać w Polsce, bo to wytrąca wiele argumentów z rąk populistów.

Rozkręca się kolejna kampania wyborcza, z pewnością część polityków będzie grała antyunijną kartą. Polexit jest realnym scenariuszem w najbliższej przyszłości?
Wszystko jest możliwe, ale obawiałbym się przede wszystkim jeszcze większej marginalizacji Polski na arenie unijnej polityki. To chyba na razie najbardziej realistyczny scenariusz, jeżeli PiS utrzyma się u władzy, szczególnie wzbogacony o takiego sojusznika jak Konfederacja.

Straciliśmy już całkiem nasz kapitał polityczny w Europie?
Polska jest dziś w Unii postrzegana przede wszystkim jako państwo głosujące wyłącznie przeciw. Nie kojarzymy się już na pewno z konstruktywnymi działaniami, z wypracowywaniem kompromisów, które byłyby korzystne także dla Polski. O udziale w dyskusjach na temat idei czy planów na przyszłość nawet nie wspominając. Oczywiście nie jest tak, że w Unii wszyscy się zgadzają, w którą stronę powinni iść, ale my położyliśmy się w poprzek drogi i nie chcemy się przesunąć nawet o centymetr. Polska i Węgry to kraje marginalne, które tylko przeszkadzają – to już oczywistość dla wszystkich liczących się unijnych polityków.

UKIP, czyli partia, której przewodniczył Farage, też początkowo była na marginesie życia politycznego, a wiemy, jaką potem rolę odegrała przy brexicie.
Polska jest jednak w innej sytuacji, nasze społeczeństwo wciąż jest dużo mądrzejsze niż rządzący nim politycy. Dawno temu, gdy dopiero zaczynaliśmy nasze starania o akcesję, już działali politycy pokroju Janusza Korwin-Mikkego, którzy wygadywali bzdury o unijnej biurokracji czy o powrocie socjalizmu. Tego typu demagodzy konsekwentnie pozostają na marginesie naszej polityki. Poza mglistymi opowieściami o utracie suwerenności nie mają oni żadnych, nawet pozornych argumentów. Choć wszystko można sobie wyobrazić, to jednak w kwestii ryzyka polexitu pozostaję umiarkowanym optymistą. © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE

JAN TRUSZCZYŃSKI – dyplomata, były wiceminister spraw zagranicznych. W latach 1996–2001 pełnił urząd ambasadora RP przy Unii Europejskiej. Członek zespołu Team Europe.

MATERIAŁ PARTNERA

WIARA

OPIEKUN CZY KAT

Kościół katolicki odgrywa rolę głównego hamulcowego w przyznaniu etycznej wartości i praw zwierzętom. W ten sposób daje alibi dla najgorszych zachowań.

ARTUR SPORNIAK

Czy pies wieziony w wózku dziecięcym może ilustrować niechętne rodzinie podejście „współczesnego młodego pokolenia”? To ryzykowny przykład, gdyż często jest to praktyczne rozwiązanie, by mały piesek, który szybko się męczy, mógł być ze swoimi opiekunami na długim spacerze. Takiego przykładu użył jednak papież Franciszek, gdy niedawno przemawiał na forum III Kongresu na temat przyrostu naturalnego i przeciwdziałania kryzysowi demograficznemu we Włoszech. Przyznał tam także, że kiedyś nie wytrzymał, gdy na placu św. Piotra inna kobieta poprosiła go o pobłogosławienie jej psa, którego trzymała w torbie i nazwała swoim „dzieckiem”. „Straciłem cierpliwość i ją skrzyczałem, mówiąc: tyle dzieci głoduje, a pani z psem!” – wyznał Franciszek.

Czy papież nie uderzył tu w czuły punkt spotkanej osoby? Może lepiej było zareagować delikatniej, powiedzieć po prostu, że pies nie zastąpi dziecka? Ta impulsywna reakcja ujawniła jednak, że stereotypowe myślenie o zwierzętach mocno siedzi papieżowi w głowie. Głodujące dzieci są bowiem często przywoływane, gdy podnoszony jest problem cierpienia zwierząt. Intencja jest wówczas następująca: dlaczego zajmujemy się zwierzętami, skoro tyle dzieci cierpi?

Również odruch odmowy pobłogosławienia psa jest wymowny – dlaczego Franciszek (Jorge Bergoglio sam wybrał sobie to imię) nie chce pobłogosławić bliskiego towarzysza człowieka? Bo nie powinien? Przecież błogosławienie zwierząt jest w Kościele praktykowane. Dlatego, że plac św. Piotra jest symbolicznym centrum Kościoła i papież jest tutaj tylko dla ludzi? Przecież przed poświęceniem przedmiotów – różańców czy obrazków – nie miałby żadnych oporów. Czy żywa istota jest mniej godna od przedmiotu?

Rzeź niewinnych

Kościół ma problem ze zwierzętami. Pokazuje to raport „Katolicy i Boże zwierzęta. Jak wypełniamy zadanie bycia człowiekiem?” przygotowany przez grupę Troska o Stworzenie w ramach prac Kongresu Katoliczek i Katolików. Jego inspiratorką i główną autorką jest założycielka organizacji dr hab. Barbara Niedźwiedzka. Choć nie jest etykiem ani biologiem zajmującym się etologią zwierząt, opracowała pierwszą w Polsce tak obszerną (84 stron) i całościową analizę pro-

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Święcenie zwierząt w dniu św. Franciszka z Asyżu. Choroszcz, 7 października 2018 r.

blemu podejścia do zwierząt w Kościele katolickim.

W rozmowie z „Tygodnikiem" ks. Alfred Wierzbicki – etyk, były profesor KUL, obecnie związany z UMCS – potwierdza metodologiczną rzetelność opracowania. Pomocne okazało się interdyscyplinarne wykształcenie autorki i znajomość metodologii nauk – Niedźwiedzka jest emerytowaną informatolożką, która zajmowała się informacją naukową (a ściślej: medyczną). Jak przyznaje, na emeryturze postanowiła poświęcić się ochronie zwierząt.

Raport opisuje smutną rzeczywistość, pokazując, że ludzie – w większości chrześcijanie – „czynią przerażające zło zwierzętom". Wskazuje, że człowiek robi to dla swojej wygody, zysku lub przyjemności, a więc z powodów, które nie są wystarczającym etycznym usprawiedliwieniem. Identyfikuje też mechanizmy uciszania sumienia oraz bada rolę Kościoła w tych mechanizmach. Stara się odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Kościół z takim dystansem podchodzi do problemu cierpienia zwierząt spowodowanego działaniami człowieka?

W Polsce tylko w 2021 r. zabito ponad 1 mld 23 mln zwierząt. Zdecydowana większość całe swoje życie przebywała w klatkach w przemysłowych halach, zwykle bez dziennego światła, sztucznie karmiona, inseminowana, eksploatowana, okaleczana bez znieczulenia. Gdy zwierzęta przestają być wydajne, trafiają do rzeźni.

Inną przestrzenią, gdzie spotkanie człowieka ze zwierzęciem kończy się śmiercią słabszej strony, są pola i lasy. W ciągu roku myśliwi zabijają w naszym kraju 1,5 mln dzikich zwierząt ↦

↦ z 32 gatunków. Poluje też wielu księży, a koła łowieckie mają swoich kapelanów. Niedźwiedzka podkreśla, że polowania nie są dziś życiową koniecznością – to realizowanie potrzeb osaczania, ścigania i zabijania dla samego zabijania. Z kolei ok. 100 tys. sztuk bydła i ok. 45 mln sztuk ptactwa ginie w rytualnym uboju przez podcięcie gardła bez wcześniejszego ogłuszenia.

Zwierzęta są także torturowane przez człowieka. Z danych wynika, że w 2019 r. w laboratoriach do doświadczeń wykorzystano ponad 143 tys. zwierząt, w tym blisko 42 tys. zostało poddanych tzw. procedurom dotkliwym. Niedźwiedzka wylicza niektóre z nich: „Wstrząsy elektryczne, elektrody wszczepiane do mózgu, chemikalia wstrzykiwane do oczu, rany i oparzenia skóry doprowadzające do zakażenia, wywoływanie chorób, łamanie kręgosłupów, wirusy i komórki rakowe wszczepiane do organizmu".

Na wsi – mimo zmian w prawie – wiele psów wciąż przywiązuje się do bud na krótkich łańcuchach, są często niedokarmione, a zwierzęta gospodarskie trzymane są w nieodpowiednich warunkach. Ciągle zdarza się topienie kociąt. Oraz inne przypadki bestialstwa wobec zwierząt, nagłaśniane przez media. Raport podaje, że do każdej jednostki prokuratury w ciągu roku trafia od kilku do kilkudziesięciu zgłoszeń o przestępstwach przeciw zwierzętom, ale aż 70 proc. z nich jest umarzanych.

Kim jesteśmy

Barbara Niedźwiedzka pyta: „Co te wszystkie przykłady mówią o nas – ludziach, chrześcijanach? Kim jesteśmy?".

Na co dzień większość z nas nie zadaje sobie tego pytania. I czynimy to celowo. Choć wiedza o sytuacji zwierząt jest coraz bardziej dostępna, powoduje dysonans poznawczy (chcemy przecież jeść i się bawić, a nie zabijać i torturować), dlatego sięgamy po mechanizmy wypierania. Najbardziej powszechnym jest ignorowanie tej wiedzy – nieprzyjmowanie jej do wiadomości (trudno wskazać bardziej zawinioną ignorancję!). Pomaga w tym marketing – mleko z przemysłowych ferm pakowane jest do kartonów z obrazkiem szczęśliwej krowy na łące. „Dziecko pijące mleko od krańcowo wyeksploatowanej krowy, która nigdy nie była na pastwisku ani nigdy nie mogła odchować swojego cielaka, nie wie, co pije", zauważa raport.

Świadomość pozwala zwierzętom doświadczać stanów przyjemności i szczęścia oraz bólu i cierpienia, a także podobnie do człowieka dążyć do tych pierwszych, a unikać drugich.

Drugą strategią jest ujmowanie zwierzętom zdolności do odczuwania bólu i cierpienia. „Mówi się, że ryby nie cierpią, zwierzęta nie czują tak jak człowiek, nie mają doznań psychicznych – czytamy w opracowaniu Niedźwiedzkiej. – W ten sposób uprzedmiotowione nie zasługują na uwagę, ich ból można lekceważyć, a śmierć nie ma znaczenia. To znany psychologii proces wiktymizacji ofiar".

Tymczasem przeczą temu współczesne nauki przyrodnicze. Coraz więcej wiemy o tym, jak zwierzęta postrzegają świat i jak funkcjonują ich mózgi. Wiedza na ten temat posunęła się do tego stopnia, że w 2012 r. najważniejsi neuronaukowcy ogłosili w tzw. Deklaracji z Cambridge, że podstawa funkcjonowania świadomości, a zatem postrzegania i doświadczania świata i siebie samego, jest podobna u ludzi i u zwierząt takich jak ssaki, ptaki i głowonogi – i nie zależy od posiadania najbardziej rozwiniętej ewolucyjnie części mózgu, jaką jest kora nowa, charakterystyczna dla ssaków wyższych. Świadomość pozwala doświadczać zwierzętom stanów przyjemności i szczęścia oraz bólu i cierpienia, a także podobnie do człowieka celowo dążyć do tych pierwszych, a unikać drugich.

Skoro zwierzęta czują i reagują na ból i cierpienie podobnie jak człowiek, etycznie nieuzasadnione zadawanie im bólu i cierpienia staje się moralnie naganne. Ten wniosek musi się jednak mierzyć z tradycją, obyczajem, normami kulturowymi, przyzwyczajeniami kulinarnymi i silnie zakorzenionymi przekonaniami, że w sferze etyki ludzi i zwierzęta dzieli przepaść. Wzmacnia to wciąż używany język – mówimy, że zwierzęta nie „umierają", tylko „zdychają", nie „jedzą", tylko „żrą". „Jak coś »zdycha«, to ta śmierć nie ma powagi ani znaczenia" – zauważa Niedźwiedzka.

Do przepaści między ludźmi i zwierzętami odnosi się także wspomniany przez Franciszka argument z „głodujących dzieci" – skoro dzieci wciąż głodują, zajmowanie się cierpieniem zwierząt jest wręcz niemoralne. „Tak jakby troska o zwierzęta wykluczała troskę o ludzi – zauważa autorka raportu. – Raczej jest tak, że zauważając potrzeby zwierząt, wrażliwi jesteśmy także na potrzeby ludzi". Bycie wrażliwym nie jest ograniczonym zasobem – grą o sumie zerowej. Obdarzając miłosierdziem również zwierzęta, stajemy się bardziej, a nie mniej ludzcy. Coś przeciwnego dzieje się, gdy zwierzęta traktujemy z lekceważeniem czy bezdusznością.

Człowiek w centrum

Ta zasada – wzrostu wrażliwości – wciąż nie została należycie rozpoznana i doceniona w Kościele katolickim. To Kościół odgrywa rolę głównego hamulcowego w przyznaniu etycznej wartości i praw zwierzętom, dając w ten sposób alibi dla najgorszych zachowań. Dlaczego tak się dzieje? I to w sytuacji, w której Kościół sam siebie postrzega jako etyczną awangardę?

Jak zauważa raport Kongresu Katoliczek i Katolików, wciąż pokutuje nauczanie św. Tomasza z XIII w., który odmówił zwierzętom rozumności i celowości działania, a przez to także nieśmiertelności i zbawienia. Pisał: „Z rozporządzenia Bożego należy zachować życie zwierząt i roślin nie ze względu na nie, ale dla dobra ludzi". „W ten sposób jakby »pobłogosławił« instrumentalne podejście do zwierząt w późniejszej myśli chrześcijańskiej, a okrucieństwo wobec zwierząt uważano za złe tylko ze względu na szkodę, jaką przy tym odnieść może człowiek" – komentuje Niedźwiedzka. Dlatego np. Pius IX w 1863 r. zabronił otwarcia w Rzymie biura Towarzystwa Zapobiegania Znęcaniu się nad Zwierzętami, uzasadniając to tym, że człowiek ma obowiązki wobec innych ludzi, a nie wobec zwierząt.

Reformatorski w wielu sferach Sobór Watykański II powtórzył tradycyjne nauczanie, że „wszystkie rzeczy, które są na ziemi, należy skierowywać ku człowiekowi, stanowiącemu ich ośrodek i szczyt". Nauczanie to znalazło się także

w Katechizmie Kościoła katolickiego: „Zwierzęta, jak również rośliny i byty nieożywione, są z natury przeznaczone dla dobra wspólnego ludzkości", a „niepotrzebne zadawanie cierpień zwierzętom lub ich zabijanie" nie jest złe samo w sobie, tylko jest „sprzeczne z godnością ludzką".

Za takim podejściem stoi antropocentryczna wizja panowania człowieka nad światem, niezgodna z pierwotnym teocentrycznym przesłaniem Biblii – człowiek nie jest panem stworzenia, którym może rozporządzać, jak tylko zechce, lecz bożym współpracownikiem, któremu Bóg powierzył świat w mądry i czuły zarząd. Jego istotnym religijnym zadaniem – zapomnianym i ignorowanym w Kościele – jest doprowadzenie całego stworzenia do Boga. Święty Paweł przekonuje w Liście do Rzymian (8, 19-21): „Stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych. Stworzenie bowiem zostało poddane marności – nie z własnej chęci, ale ze względu na Tego, który je poddał – w nadziei, że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych".

Trup w szafie

Istotną zmianę w oficjalnym nauczaniu Kościoła – jak zauważa raport „Katolicy i Boże zwierzęta" – przyniosła dopiero encyklika „Laudato si". „My sami nie jesteśmy ostatecznym celem wszystkich innych stworzeń – pisze w niej Franciszek. – Wszystkie zmierzają wraz z nami i przez nas ku ostatecznemu kresowi, jakim jest Bóg w transcendentalnej pełni, gdzie zmartwychwstały Chrystus wszystko ogarnia i oświetla. Ponieważ człowiek, obdarzony inteligencją i miłością, pociągany jest pełnią Chrystusa, powołany jest, by przyprowadzić wszystkie stworzenia do ich Stwórcy". Zauważa także, iż „obojętność lub okrucieństwo wobec innych stworzeń tego świata zawsze w jakiś sposób przekłada się na sposób traktowania innych ludzi".

Fundament teologiczny został położony. Nie bez trudu! Autorka raportu zauważa, że papież wciąż unika używania słowa „zwierzę" (w całym tekście użyte 18 razy) i mówi przeważnie o „stworzeniu" (135 razy). Ale przede wszystkim milczy o gehennie zwierząt w przemysłowej hodowli. Dlaczego?

Dostępna wiedza o cierpieniu zwierząt powoduje dysonans poznawczy: chcemy przecież jeść i się bawić, a nie zabijać i torturować.
Dlatego sięgamy po mechanizmy wypierania.

Zapytana przez „Tygodnik" o to Barbara Niedźwiedzka zauważa, że Franciszek musi się liczyć ze zróżnicowaną sytuacją żywnościową na świecie i przez to nie chce inicjować ogólnokościelnej akcji wzywającej do radykalnych kroków, np. znacznego ograniczania spożywania mięsa.

– Poza tym papież chyba sam lubi jeść mięso. Nie chciałby też zapewne otwierać nowej linii frontu (bo ma ich dość) z lobby mięsnym w swoim kraju – Argentynie, która jest jednym z największych eksporterów wołowiny. Ale to nie są przekonujące argumenty dla ludzi dostrzegających potworną krzywdę, która się dzieje zwierzętom – dodaje Niedźwiedzka.

Autorka nazywa gehennę zwierząt „ukrytym trupem w szafie" w nauczaniu Kościoła, który – do chwili, gdy się go nie wyciągnie – zawsze będzie podważać wiarygodność tego nauczania. Zaradzenie temu wymagałoby jednak zmiany mentalności księży i żmudnej pracy duszpasterskiej z wierzącymi.

Dlatego raport postuluje m.in., by Kościół zaczął nauczać, że dobre traktowanie zwierząt jest „fundamentalnym, wynikającym z wiary nakazem moralnym". Należy też włączyć w propagowaną przez Franciszka ekologię integralną troskę o wszystkie zwierzęta („ekologia przemilczająca sytuację zwierząt i relacje człowieka z nimi nie jest ekologią integralną"). Konieczne jest uściślenie, co oznaczają w Katechizmie wyrażenia: „potrzebne zadawanie cierpień zwierzętom lub ich zabijanie" oraz „rozsądne granice" eksperymentów medycznych. Duchowe autorytety powinny zachęcać do ograniczenia lub rezygnacji ze spożywania produktów pochodzenia zwierzęcego. Prym w takiej życiowej postawie powinni wieść ludzie Kościoła.

Jazda na hamulcu

Od samego początku wspólnota chrześcijan stanowiła w ówczesnym społeczeństwie awangardę etyczną. Potwierdza to dzieło z początku II w. – „Didache". Pierwsze pokolenia chrześcijan próbowały żyć wymagającą Ewangelią i, jak się okazywało, było to wyzwanie dla ówczesnej kultury atrakcyjne i przemieniające, tak że autor „Listu do Diogneta" z końca II w. mógł napisać: „Czym jest dusza w ciele, tym są w świecie chrześcijanie".

Jak się wydaje, z czasem ta awangardowa siła wspólnoty Kościoła gdzieś wyparowała. Kościelna ślepota na problem cierpienia zwierząt jest jednym z wielu przykładów. Jeszcze w drugiej połowie XIX w. Święte Oficjum broniło niewolnictwa. Zło kary śmierci, które włoski katolik Cesare Beccaria dostrzegł w XVIII w., Kościół ostatecznie zaakceptował dopiero w wieku XXI. Sprawiedliwe dowartościowanie kobiet i zaakceptowanie naturalnej inności osób LGBT+ to wciąż w Kościele pieśń przyszłości.

– Nie mam na to odpowiedzi – mówi „Tygodnikowi" ks. Alfred Wierzbicki. – Ale zgodzę się, że tak jest. Wolność religijną Kościół zaakceptował dopiero na Soborze Watykańskim II. Za nieżyjącym kardynałem Martinim można by powiedzieć, że Kościół w różnych sprawach spóźnia się o kilkadziesiąt, a nawet kilkaset lat. Jako instytucja robi wrażenie przestraszonego współczesnym światem, i to może rzutować, że włącza hamulce. Ale jazda tylko na hamulcach nie jest zdrowa.

Mimo niejasności sytuacji spróbujmy na koniec podać dwa intuicyjne powody. Począwszy od IV w., czyli sojuszu ołtarza z tronem, Kościół przestała zajmować sama Ewangelia, musiał liczyć się także z interesami władzy świeckiej, a dodatkowo przejął jej sposób funkcjonowania. I nieuchronnie utracił tym samym część wiarygodności i być może także swoich prorockich zdolności. Drugim historycznym zakrętem było fatalne zignorowanie w XVI i XVII w. narodzin nowoczesnej nauki. Wciąż niepokonany resentyment do niej nie pozwala Magisterium rozeznawać coraz szybciej zmieniającej się rzeczywistości.

Szkodzi to i zwierzętom, i – coraz bardziej – samemu Kościołowi.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Prawdziwie tu – prawdziwie wszędzie

PIOTR SIKORA

Eucharystia nie jest Świętym Przedmiotem. Jest wydarzeniem, które ujawnia, że Bóg jest realnie obecny w całym naszym życiu.

Gdy moje dzieci były jeszcze małe, byliśmy z całą rodziną na wycieczce w Starym Sączu. Przed wejściem do jednego z kościołów zobaczyliśmy napis, który rozbawił nas wszystkich. Duże litery wydrukowane na zafoliowanym kartonie, przytwierdzonym do starych, drewnianych drzwi, głosiły: „Uwaga! W kościele mieszka Bóg. Zachowaj ciszę! Nie fotografuj!". Ostrzeżenie trochę jak w zoo, śmialiśmy się: „Uwaga, w tej klatce mieszka tygrys. Nie hałasuj i nie podchodź do kraty!". Albo jak zakaz robienia w muzeum zdjęć najcenniejszym obrazom – tutaj śmieszny, bo czy da się sfotografować Boga?

Złapać wiatr do pudełka

Ktoś mógłby powiedzieć: niezręczne sformułowanie, ale kryje się za nim istotna prawda – w kościele, w tabernakulum przechowywany jest Najświętszy Sakrament, w którym pod postacią chleba „prawdziwie, rzeczywiście i substancjalnie" (jak sformułował to Sobór Trydencki) jest obecny Jezus Chrystus, Druga Osoba Trójcy Świętej. Nie ma się więc co śmiać, zwłaszcza z dziećmi – lepiej uczyć je pełnego szacunku zachowania w świątyni.

A jednak będę bronił naszego śmiechu, bo wyrażała się w nim intuicja (dzieci mają ją czasem bardziej rozwiniętą niż dorośli), że za owym niezręcznym sformułowaniem kryje się nie tyle prawda o Eucharystii, co jej specyficzne rozumienie – owszem, szeroko w katolicyzmie rozpowszechnione, ale w gruncie rzeczy umniejszające ów wielki dar Boga, który „jest źródłem i zarazem szczytem całego życia chrześcijańskiego" (jak to ujmuje Sobór Watykański II).

Umniejszenie polega zaś na tym, że owo rozumienie koncentruje naszą uwagę na obecności Chrystusa w postaciach chleba i wina (po dokonanym słowami biskupa lub księdza akcie transsubstancjacji/przeistoczenia) w taki sposób, iż zapominamy, p o c o jest ta eucharystyczna obecność. Co więcej, w tej perspektywie wiara w realną obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie zamkniętym w tabernakulum, a w Boże Ciało obnoszonym w monstrancji po naszych ulicach tak podkreśla różnicę pomiędzy konsekrowanym chlebem i winem a resztą świata, że przeszkadza w rozpoznaniu, iż boskiej obecności nie da się zamknąć ani w świątyni, ani w Najświętszych Postaciach – gdyż „On napełnia całkowicie wszystko" (Ef 1, 23), a więc że „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy" (Dz 17, 28).

Ta wiara gubi zatem mądrość Salomona, który w chwili, gdy nowo wybudowaną w Jerozolimie Świątynię napełniła obecność Boża ukryta w Obłoku, tak że kapłani nie mogli wejść do środka (por. 1 Krl 8, 10-11), najpierw, pewny siebie, zwrócił się do Boga słowami: „oto zbudowałem Ci dom na mieszkanie, miejsce przebywania Twego na wieki" (1 Krl 8, 13), ale zaraz potem rozpoznał w modlitewnym natchnieniu: „niebo i niebiosa najwyższe nie mogą Cię objąć, a tym mniej ta świątynia, którą zbudowałem" (1 Krl 8, 27).

Ostatecznie Salomon zrozumiał, że w Świątyni mieszka boskie Imię (1 Krl 8, 29). Dla Izraelity znaczyło to obecność realną i do jakiegoś stopnia uchwytną, do której można było się skierować. Z drugiej strony, powiedzenie, że Świątynia jest mieszkaniem nie po prostu Boga, ale boskiego Imienia, znaczyło, iż Bóg sam wymyka się świątynnym murom. A zatem – niezależnie od boskiej obecności w Świątyni – każda i każdy w każdym momencie może znaleźć się w sytuacji patriarchy Jakuba, który wędrując kilka dni z Beer-Szeby do Charanu, podczas jednego z noclegów zobaczył we śnie otwarte niebo i drabinę łączącą je z ziemią, a obudziwszy się stwierdził: „Prawdziwie JHWH jest na tym miejscu, a ja nie wiedziałem. (...) Prawdziwie jest to dom Boga i brama nieba!" (Rdz 28, 16-17).

Skoro w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy, dom Boga i brama nieba jest wszędzie. Skoro On napełnia całkiem wszystko, Jego prawdziwa, realna i substancjalna obecność nie zna granic. Jest na tym miejscu, w którym jestem ja, i na tym, w którym jesteś Ty, czytająca/y te słowa. Jest, tylko często o tym nie wiemy.

Jak czas i zegary

I właśnie dlatego, że o tym często nie wiemy, potrzebna jest obecność boskiego Imienia, tj. obecność ujawniana w dającym się uchwycić znaku – dlatego więc potrzebne są sakramenty, czyli – jak powiedzieliby filozofowie religii – dlatego potrzebne są symbole i rytuały. Dlatego również istnieje Eucharystia.

Tu konieczne jest wyjaśnienie. Teologia katolicka bardzo długo broniła się przed mówieniem o Eucharystii w kategoriach symbolu, a magisterium Kościoła nadal przed tym się broni. Obawa ta wynika jednak z innego rozumienia tego pojęcia, niż ma to miejsce w filozoficznym namyśle nad religijnością człowieka. Teo-

JOANNA MRÓWKA / FORUM

Przygotowania do obchodów święta Bożego Ciała. Broniszów, 16 czerwca 2022 r.

logowie przejęli raczej jego potoczny sposób użycia, jak np. w przypadku, gdy ktoś zaprasza nas na symboliczny poczęstunek, a my wiemy, że trzeba będzie zjeść coś wcześniej lub później, inaczej będziemy głodni. W filozoficznym natomiast znaczeniu przykładem symbolicznego posiłku jest polska Wigilia – na której zjeść wszystkie podane potrawy jest bardzo trudno, ale w której chodzi o coś znacznie większego niż zapełnienie żołądków ludzi zgromadzonych przy stole.

Symbol w znaczeniu, jak rozumieją go filozofowie i w jakim używam tego słowa w niniejszym tekście, jest bowiem znakiem wskazującym na ostateczną rzeczywistość, ale o dwóch specyficznych cechach. Po pierwsze: ujawnia to, co oznacza, nie na zasadzie czystej konwencji, lecz przez „naturalne" cechy swojej konkretnej treści. Woda, na przykład, jest symbolem życia wiecznego przez to, że pozbawieni jej – umieramy. Po drugie: symbol istnieje nie na zewnątrz tego, co ujawnia (jak ma to miejsce np. w przypadku znaku „uwaga ostre zakręty, pierwszy w lewo" – który stoi zazwyczaj wiele metrów przed miejscem, o którym ostrzega). Symbol uczestniczy w tym, co ujawnia, a to, co ujawniane, jest w symbolu naprawdę obecne. Woda może być więc symbolem życia wiecznego (*dzoe*) tylko dlatego, że ono jest już obecne w tym życiu (*bios*), które mamy, pijąc ciecz wypływającą ze źródła lub z kranu.

W religijnych tradycjach symbole rzadko występują w pojedynkę. Częściej są wplecione w szersze całości o charakterze narracji albo działania – czyli rytuału. Dopiero w tym szerszym kontekście w pełni ujawnia się ich sens i moc. Warto pamiętać, że Eucharystia – w pełnym sensie tego słowa – jest właśnie takim rytuałem, liturgiczną celebracją. Wszak Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy polecił uczniom i uczennicom: „to c z y ń c i e na moją pamiątkę" (Łk 22, 19). Pełny sens postaci chleba i wina i pełna moc „prawdziwej, realnej i substancjalnej" boskiej w nich obecności ujawnia się dzięki całości rytualnego działania. Eucharystia nie tyle „jest", ile „się dzieje", ma naturę nie przedmiotu, lecz wydarzenia.

Tam i z powrotem

Warto zatem uważnie przyjrzeć się, co dzieje się podczas eucharystycznej celebracji, zauważyć, jaki sens ujawnia się w tworzących ją działaniach i znakach. W rozmaitych czasach i miejscach szczegóły rytuału różniły się nieco, jednak jego podstawowa struktura – wiemy to na podstawie m.in. pism najwcześniejszych ojców Kościoła, np. Justyna Męczennika – była taka sama. Ta podstawowa struktura ujawnia istotę tego, o co w Eucharystii chodzi.

Na celebracji Eucharystii gromadzi się cała wspólnota. Najpierw słucha i rozważa słowa Pisma – by przygotować umysły zgromadzonych na świadome uczestnictwo w Tajemnicy wyrażonej w dalszej części rytuału. Następnie wspólnota przynosi chleb oraz wino i składa je na ołtarzu – stole ofiarnym. W akcie tym nie chodzi jednak tylko o samo jedzenie i napój. One symbolicznie uobecniają całe życie każdej i każdego z wierzących. Chleb, podstawowy składnik powszedniej diety, reprezentuje zwykłą codzienność uczestniczek i uczestników. Wino, napój, który „rozwesela serce człowieka" (Ps 104, 15) – wszystko to, co odświętne.

Sposób celebrowania większości mszy w polskich kościołach gubi ten ważny sens – nie ma procesji z darami, chleb i wino trafiają na ołtarz z zapasu z zakrystii. Ale w mszale znajdują się słowa wypowiadane przez przewodniczącego celebracji w trakcie przygotowania tych darów, które jakoś przechowują kluczowe tutaj znaczenie. Przyjmując przyniesiony chleb, celebrans mówi: „Błogosławiony jesteś, Panie Boże wszechświata, bo dzięki Twojej hojności otrzymaliśmy chleb, który jest owocem ziemi i pracy rąk ludzkich; Tobie go przynosimy, aby stał się dla nas chlebem życia". Odbierając przyniesione wino, dolewa do niego kroplę wody, modląc się: „Przez to misterium wody i wina daj nam, Boże, udział w bóstwie Chrystusa, który przyjął nasze człowieczeństwo". Potem zaś wypowiada formułę: „Błogosławiony jesteś, Panie Boże wszechświata, bo dzięki Twojej hojności otrzymaliśmy wino, które jest owocem winnego krzewu i pracy rąk ludzkich; Tobie je przynosimy, aby stało się dla nas napojem duchowym".

Zauważmy, że słowa te mówią nie tylko o ofierze. Mówią przede wszystkim o przemianie. Życie każdej uczestniczki i każdego uczestnika rytuału zostaje złożone na ołtarzu, oddane całkowicie i bezinteresownie w ręce Boga. A potem zostaje przemienione – nie ludzką, lecz boską mocą – i z powrotem oddane, zewnętrznie niezmienione, ale w istocie boskie. To właśnie wyraża akt przyjęcia Komunii, zjedzenia chleba-Ciała i wypicia wina-Krwi. Jak wyjaśnia autor Czwartej Ewangelii w słowach przypisanych Jezusowi: ↦

„Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze Mnie" (J 6, 53-57).

W ewangelicznym tekście bardzo mocno jest podkreślone, że zjedzenie Ciała i wypicie Krwi sprawia, że człowiek, który je spożył, życie wieczne już posiada „w sobie". Symbol – pamiętajmy – ujawnia rzeczywistość przez swoją konkretną treść. Dlatego niektórzy ojcowie Kościoła zwracali uwagę, że spożycie posiłku obejmuje także proces trawienia, w którym to, co spożyte, zostaje przemienione w składniki organizmu spożywającego. W Eucharystii – nauczali – jest bardzo podobnie, tylko proces zachodzi w odwrotnym kierunku. Ponieważ człowiek, byt stworzony, spożywa boskość, nie on ją trawi, a Ona jego – przemieniając go w Siebie.

To samo całkiem inne

Gdzie tu jednak, mógłby spytać teolog dbający o katolicką ortodoksję, prawda, że Eucharystia jest uobecnieniem śmierci i zmartwychwstania Jezusa? Dokładnie tutaj, w tym procesie przemiany. Jezus – jak mówi Ewangelia Jana – umierając, oddał swoje ludzkie życie. W zmartwychwstaniu otrzymał je boskie. Jak głosił Piotr w pierwszej mowie po zesłaniu Ducha: „Bóg wskrzesił Go (...) i uczynił Panem i Mesjaszem" (Dz 2, 24. 36) albo jak ujął to autor Listu do Efezjan: „wskrzesił Go z martwych i posadził po swojej prawicy na wyżynach nieba" (Ef 1, 20). Celebracja Eucharystii jest rytualnie tym samym procesem: oddaniem życia i otrzymaniem go na powrót, całkowicie wypełnionego Bogiem.

> Dokonującej się mocą Boga przemiany tego, **co zwykłe, w to, co boskie,** nie zamyka w swoich granicach żaden rytuał, żaden sakrament.

Nie można jednak przeoczyć, że widzialna postać tego życia się nie zmienia. Symbol mówi przez swoją konkretną treść. Oddajemy chleb i wino, chleb i wino dostajemy do spożycia. Boskie życie, które w sobie mamy, nie dzieje się gdzie indziej niż w całej naszej egzystencji – codziennej jak chleb i odświętnej jak wino. Nie przypadkiem o pierwszych chrześcijanach napisano: „Codziennie trwali jednomyślnie w świątyni, a łamiąc chleb po domach, spożywali posiłek w radości i prostocie serca" (Dz 2, 46). Bywali w sakralnej przestrzeni Świątyni, ale Eucharystię celebrowali „po domach" – tam, gdzie żyli.

Dokonującej się mocą Boga przemiany tego, co zwykłe, w to, co boskie, nie zamyka w swoich granicach żaden rytuał, żaden sakrament. Ona dzieje się wszędzie. Jedynym jej warunkiem jest bezinteresowne oddanie swojego życia. Każdy, kto to zrobi, dostaje je boskie z powrotem: „Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity. Kto lgnie do tej postaci życia (*psyche*), jaką ma na tym świecie, straci ją. Kto zaś uwolni się z postaci życia (*psyche*), jaką ma na tym świecie, zachowa ją w wiecznym Życiu" (J 12, 25).

Jeśli zatem zauważymy w sobie tendencję do takiego postrzegania Eucharystii, które wprowadza radykalną różnicę pomiędzy przestrzenią kościoła (jako właściwym mieszkaniem Boga) a całą resztą świata, albo Najświętszymi Postaciami zamkniętymi w tabernakulum a całością naszego życia, warto posłuchać słów średniowiecznego mistyka, Mistrza Eckharta. Odkrył on, że istotą życia (Życia) jest wyzbycie się przywiązania do swojego małego „ja" i całkowicie bezinteresowne i swobodne przylgnięcie do Boga, który jest wszędzie, który jest prawdziwym bytem (*arche* – por. Kol 1, 18) wszystkich rzeczy. Dzieląc się tym odkryciem radził: „Przylgnij do Boga, a On ci przyda wszelkiej dobroci. Szukaj Go, a znajdziesz Jego samego, a wraz z Nim wszelkie dobro. Gdy w takim usposobieniu staniesz na kamieniu, uczynek ten będzie się Bogu bardziej podobał niż przyjęcie Ciała Pańskiego z myślą o własnym pożytku i z mniejszą bezinteresownością".

Uwaga! W Tobie (i wszędzie wokół) mieszka Bóg. Zachowaj ciszę. Patrz uważnie.

©℗ PIOTR SIKORA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

GLIWICE, wtorek 13 czerwca, Gliwicka Kawiarenka, „Porozmawiajmy o Kimś Nieuchwytnym: Duch Święty – istota nieznana" / stacjonarne /

KATOWICE, środa 14 czerwca, spotkanie z ks. Kazimierzem Sową i Rafałem Cekierą, „Niewierni wierni" / stacjonarne /

BIELSKO-BIAŁA, środa 14 czerwca, spotkanie z Edwardem Augustynem, „Franciszek – papież, który wszystko zmienia" / stacjonarne /

WROCŁAW, czwartek 15 czerwca, spotkanie autorskie z Andrzejem Krajewskim wokół książki „Kraj w stanie" / stacjonarne /

WARSZAWA, czwartek 15 czerwca, „Wspomnień czar" – spotkanie inspirowane książką Joanny Rolińskiej: „Raz, dwa, trzy za siebie. Rozmowy o dzieciństwie" / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

Biskupi: „za, a nawet przeciw”

MACIEJ MÜLLER

Podziały wśród polskich hierarchów 20 lat temu mogły zagrozić sukcesowi referendum akcesyjnego do Unii. Sytuację uratował Jan Paweł II.

PAWEŁ KULA / PAP

Prymas Józef Glemp podczas referendum europejskiego. Warszawa, 8 czerwca 2003 r.

Każda nowa rzecz może wywoływać lęki” – powiedział prymas Józef Glemp, wsiadając w listopadzie 1997 r. na pokład samolotu, którym wspólnie z delegacją polskich biskupów leciał do Brukseli zobaczyć z bliska, jak działa Unia Europejska. Hierarchowie zwiedzili unijne instytucje, rozmawiali z komisarzami, a po powrocie prymas ocenił: „Kościół nie boi się zjednoczonej Europy”.

To było przełamanie pierwszych lodów, dotychczas biskupi zachowywali wobec Unii nieufny dystans: upatrywali w niej zagrożeń dla polskiej tożsamości i obawiali się wymuszania na krajach członkowskich prawodawstwa sprzecznego z nauczaniem Kościoła.

Wytupany referat

Euforia nie trwała długo. Kiedy w czerwcu 1998 r. abp Tadeusz Gocłowski pod nieobecność chorego bp. Tadeusza Pieronka wygłaszał referat jego autorstwa na temat Unii, został wytupany. Pieronek tak potem opisywał w wywiadzie rzece z Markiem Zającem narastający eurosceptycyzm hierarchów: „Posiłkowali się przewrotną argumentacją, że Ojciec Święty rozumuje identycznie jak przeciwnicy integracji. Mówi o duszy kontynentu, Europie chrześcijańskiej, Europie ducha, a przecież Bruksela i Strasburg są wrogie Bogu i Kościołowi. To oczywiście nieprawda. Papież stawia postulat, żeby Europa była kontynentem ducha, ale nigdy nie twierdził, że jeżeli Unia nie zwróci się ku chrześcijaństwu, wtedy Polska ma pozostać poza jej strukturami”.

Sprawa poparcia Kościoła stanęła na ostrzu noża, kiedy negocjacje dobiegły końca, a obywatele mieli wypowiedzieć się – 7 i 8 czerwca 2003 r. – w referendum. Sen z powiek spędzały rządzącym nie badania opinii – te jednoznacznie potwierdzały znaczącą przewagę zwolenników UE – ale kwestia prawomocności referendum: musiała w nim wziąć udział przynajmniej połowa uprawnionych. Kluczowe dla osiągnięcia tego wyniku mogło się okazać stanowisko Kościoła katolickiego.

Przezwyciężyć lęk

Wizyt w Brukseli było więcej i szczęśliwie rozwiewały one najważniejszym polskim hierarchom antyunijne mity. W lutym 2002 r. kilku biskupów spotkało się m.in. z komisarzem UE ds. rolnictwa. Biskup tarnowski Wiktor Skworc przyznał: „[On] powiedział nam trudną prawdę. Nie można żyć złudzeniami. To Polacy potrzebują pomocy”. „Dobrze, że przyjechaliśmy do Brukseli, bo poznaliśmy trudności, z jakimi borykają się inne kraje, dzięki wizycie dostrzegłem wiele dobra, a nie tylko niebezpieczeństwa ze strony Unii” – wtórował mu bp Edward Janiak z Wrocławia.

W marcu 2002 r. biskupi nieśmiało poparli dążenia zjednoczeniowe: przypomnieli, że „idea zjednoczonej Europy zrodziła się z inspiracji chrześcijańskiej polityków takich jak Alcide De Gasperi, Robert Schuman czy Konrad Adenauer”. Zaznaczyli jednak, że Polska chce funkcjonować w Unii „jako państwo, które ma swoje oblicze duchowe i kulturalne, swoją niezbywalną tradycję historyczną związaną od zarania dziejów z chrześcijaństwem”. Narracja typu „tak, ale” stała się znakiem rozpoznawczym biskupich wypowiedzi.

W marcu 2003 r., podczas międzynarodowego IV Zjazdu Gnieźnieńskiego, prymas Glemp zadeklarował, że „nie ma pęknięcia w polskim episkopacie w sprawie UE. Różnice zdań dotyczą tylko spraw drugorzędnych”. Było to myślenie życzeniowe.

Poglądy biskupów zbadał w obszernej ankiecie (21 odpowiedzi) „Tygodnik”. I tak bp Adam Dyczkowski przypomniał, że „już książę Mieszko I włączył Polskę ↦

↦ do Europy, oddając ją pod opiekę Stolicy Apostolskiej. Dlatego nie wyobrażam sobie Polski poza Europą". Abp Tadeusz Gocłowski stwierdził: „nie możemy skazywać się na samotność w Europie". Abp Stanisław Nowak napisał: „powinniśmy tam być i kształtować jej chrześcijańskie oblicze".

Ale już bp Antoni Dydycz nie ukrywał wątpliwości: „Struktura, z którą mamy do czynienia, popełnia nadużycie, nazywając siebie Unią Europejską. Powinna się raczej nazywać Unią Zachodnioeuropejską. Ponadto daleko jej jeszcze do pełnej jedności, na co wskazuje Jan Paweł II. Jest to wciąż swego rodzaju kartel, który broni własnych interesów gospodarczych". Zastrzegł jednak: „Patrzeć krytycznie nie oznacza automatycznie »być przeciwnikiem«". W podobnym tonie wypowiedział się abp Zygmunt Kamiński.

Abp Józef Życiński konkludował: „Wielkie dzieła Boże zaczynały się od przezwyciężenia ludzkich lęków".

Wobec zdecydowanie prounijnej postawy prymasa Glempa w oficjalnych wypowiedziach biskupów dominowało poparcie dla Unii, choć często obudowywane zastrzeżeniami. Do wyjątków należało głośne kazanie biskupa sandomierskiego Edwarda Frankowskiego do rolników na Jasnej Górze 9 marca 2003 r. „Nie dla bezbożności Unii Europejskiej! Nie oddamy ziemi w obce ręce! – grzmiał. – Skoro nie ma w Unii miejsca dla Boga, tym samym nie może tam być miejsca dla mnie". Za te słowa został skrytykowany przez kolegów na posiedzeniu plenarnym Konferencji Episkopatu Polski.

W swoich poglądach bp Frankowski nie był jednak osamotniony i w episkopacie frakcja antyunijna musiała być znacząca, skoro przez długi czas wcale nie było jasne, czy biskupi wypowiedzą się w kwestii udziału w referendum.

Niewolnicy u bauera

I pewnie by się nie wypowiedzieli, gdyby nie Jan Paweł II. Jego głos o UE od lat był jednoznaczny. Np. podczas przemówienia w polskim parlamencie 11 czerwca 1999 r. powiedział: „Polska ma pełne prawo, aby uczestniczyć w ogólnym procesie postępu i rozwoju świata, zwłaszcza Europy. Integracja Polski z Unią Europejską jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską. Doświadczenia dziejowe, jakie posiada naród polski, jego bogactwo duchowe i kulturowe mogą skutecznie przyczynić się do ogólnego dobra całej rodziny ludzkiej, zwłaszcza do umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie".

List biskupów był wynikiem kompromisu, głosowano nad każdym jego zdaniem. Eurosceptycy postarali się, by wykreślić wszystkie zdania wyraźnie przychylne Unii.

19 maja 2003 r., na trzy tygodnie przed referendum, wygłosił słynne przemówienie (z okazji 25. rocznicy pontyfikatu), w którym stwierdził, że Polska „jest zbyt ważną częścią Europy, by wyłączyć się z jej struktur". Na koniec wygłosił dwa hasła: „Europa potrzebuje Polski. Polska potrzebuje Europy" oraz „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej". W tym drugim nawiązał do jego ulubionej idei Polski Jagiellońskiej i związanych z nią wartości: pokojowego współistnienia wielu narodów, wyznań i kultur. Prawie 80 proc. Polaków uznało tę wypowiedź jako opowiedzenie się za głosowaniem na „tak".

Papieskie przemówienie zamknęło też usta najradykalniejszym przeciwnikom Unii, czyli mediom o. Tadeusza Rydzyka. Dotychczas ich autorzy chętnie powoływali się na wypowiedzi papieża, ale specyficznie je odczytywali, podkreślając, że skoro papież opisuje wady współczesnej kultury europejskiej, to chce, byśmy trzymali się od Unii z daleka. Publikujący w „Naszym Dzienniku" ks. Jerzy Bajda pisał o Unii w kategoriach „opętania" oraz „poddania się" i podkreślał, że „jedynie powierzchownie patrząc (...) można by odnieść wrażenie, że Papież »popiera Unię Europejską«".

W audycjach Radia Maryja z udziałem słuchaczy padały tezy, że Unia zagraża polskiej tożsamości, suwerenności, kulturze, religii i rodzinie, rządzą nią „Żydzi, masoni, Niemcy, faszyści i komuniści", a Polacy staną się „niewolnikami u bauera". O. Rydzyk w marcu 2002 r. ocenił, że ludzie popierający UE „co najwyżej posługują się Janem Pawłem II, manipulują słowami Ojca Świętego".

Kiedy po papieskim przemówieniu z 19 maja nie dało się już kontynuować tej narracji, o. Rydzyk stwierdził, że nie będzie na antenie polemiki z poglądami papieża oraz poprosił dzwoniących do radia, by „nie robili kampanii w tę czy w tamtą stronę". Unię porównał jednak do „czyśćca". Ostra retoryka antyunijna powróciła wkrótce po referendum.

Do urn!

Przemówienie Jana Pawła II skłoniło wreszcie episkopat do działań. Polscy biskupi w liście odczytanym we wszystkich kościołach na tydzień przed referendum zdecydowanie zachęcili, by pójść do urn. „Każdy Polak, tym bardziej człowiek wierzący, w poczuciu odpowiedzialności za przyszłość i należne naszej Ojczyźnie miejsce w rodzinie narodów europejskich, powinien wziąć udział w referendum" – napisali. Przypomnieli, że Jan Paweł II, „upominając się o prawa wiary, religii i moralności chrześcijańskiej w zjednoczonej Europie, wyraźnie dostrzega miejsce Polski w strukturach europejskich", a katolicy „powinni poważnie uwzględnić w swoich wyborach głos papieża".

Ten list „był wynikiem kompromisu między biskupami popierającymi wejście do struktur europejskich a eurosceptykami. Ci ostatni postarali się, by z dokumentu wykreślić wszystkie zdania wyraźnie przychylne Unii – opowiadał bp Pieronek. – Tak powstał tekst przywołujący na myśl powiedzenie: »Na dwoje babka wróżyła«". Na posiedzeniu KEP głosowano wręcz pojedyncze zdania listu.

Razem z listem – zdecydował episkopat – miało być odczytane przemówienie papieża jako „dopełnienie słowa biskupów polskich". Ale w wielu parafiach tekstu papieskiego nie przeczytano; byli też proboszczowie, którzy zignorowali list KEP. Także duchowieństwo było bowiem podzielone: według badań Instytutu Spraw Publicznych z początku 2003 r. akcesję popierało 59 proc. księży.

Ostatecznie zachęta episkopatu, by pójść do głosowania, była dla osiągnięcia prawomocności referendum bezcenna. Podobnie jak – paradoksalnie – tyrady bp. Frankowskiego czy lektorów Radia Maryja, mobilizujące elektorat negatywny do pójścia do urn.

©℗ MACIEJ MÜLLER

WOJCIECH

Bonowicz:
Piosenki i krzyki

Tego dnia – to był poniedziałek, jak pamiętam – nieoczekiwanie znalazłem się w nowym państwie. Nie, nie ruszałem się z domu. Nie wsiadłem do samochodu, nie kupiłem biletu, donikąd nie pojechałem. Żadna obca armia nie przeszła przez moje miasto. Dzień był pogodny, koty spały, w radiu puszczano wesołe piosenki. W nowym państwie znalazłem się za sprawą jednego podpisu jednego człowieka. Między wesołymi piosenkami nadawano fragmenty jego popołudniowego przemówienia. Mówił podniesionym głosem, który chwilami przechodził w krzyk.

Naprawdę tego dnia było ładnie. I piosenki też były ładne. W ogóle wszystko było bardzo ładne, wesołe, może poza tym krzykiem, w którym czuć było niepokój tego, który krzyczy. W zasadzie chciało się żyć. I się żyło. Wiadomo było, że będzie się żyć również jutro i pojutrze. Że pójdzie się do pracy, załatwi parę rzeczy na mieście, że będzie się jadło, piło i tankowało benzynę, ile tylko dusza zapragnie. Wiadomo było – a przynajmniej tak się wydawało – że nic się nie wywróci. Topniejące oszczędności będą bezpieczne, kolejna pensja wpłynie na konto, umówiona wizyta u lekarza nie zostanie odwołana. Ładny dzień. Jeden z tych ładnych dni, w których nic się nie zmieni. Poza tym, że państwo będzie już nowe.

Człowiek, który podnosi głos, jest pełen niepokoju. Lęk, który w nim mieszka, nie pozwala mu spokojnie myśleć ani mówić. Człowiek wie, że być może zmienia bieg historii, że wpływa na życie nie tylko kilkunastu ludzi, których nie lubi i którym chętnie by dopiekł, ale milionów innych. Gdzieś wewnątrz słyszy głosy swoich nauczycielek i nauczycieli, i są to głosy ostrzeżenia. Wie, że nie będą z niego zadowoleni, że uczyli go czegoś innego. Lęk jest więc uzasadniony. Niepokój jest zrozumiały. Ale w jego podniesionym głosie słychać coś jeszcze, jakieś szczególne podniecenie. Możliwe, że jest w tej chwili z siebie dumny. Oto wzniósł się ponad to, co go ukształtowało. Nie musi już nikogo słuchać, z nikim się liczyć. To on decyduje, co zrobi, co powie i jak. Oto chwila jego chwały. I nikt z otaczających go temu nie zaprzeczy, przeciwnie. Bez względu na to, co powie, rozlegną się oklaski. Nie ma w tłumie dziecka, które by zawołało, jak jest naprawdę. Takie dzieci istnieją tylko w bajkach. Będą oklaski, uściski dłoni, słowa podziwu.

Naprawdę ładny dzień. Ładny i wesoły jak melodia, która za chwilę popłynie z radia. Żadne chmury się nie zbierają, nic nie zapowiada, że przyjdzie burza. Bo nawet jak przyjdzie, to przecież za górami, za lasami, w innej bajce czy bańce. Znowu się okaże, że cały świat został przez kogoś wprowadzony w błąd, bo żadnego nowego państwa nie ma, wszystko jest po staremu, tylko lepiej. Jak bardzo po staremu, ile dziesięcioleci trzeba by się cofnąć, to inna sprawa, ale – po staremu. „Ja już właściwie nie wiem, czy żyję w demokracji czy znowu w demokracji ludowej", mówi pan w kolejce na poczcie, a jest to Poczta Polska, czyli miejsce, gdzie historia i teraźniejszość w jedynej słusznej wersji biją po oczach. Biedny pan, coś mu się pomyliło... Nie, nie będzie burzy. Będzie słońce, i to zawsze, nawet zimą. Owszem, pojawi się głupi, skandaliczny wpis znanego publicysty, owszem, ktoś z ludzi władzy wpadnie na pomysł, by wykorzystać ów wpis i zrobić skandaliczny, obrzydliwy spot... Człowiek, który podniósł głos, w tej akurat sprawie wypowie się godnie, i dobrze. Ale to, że za sprawą jego podpisu sytuacja jest już inna, że państwo jest nowe i wszystko, co się w tym państwie powie czy zrobi, w nowym kontekście nabiera nowego sensu, to go jakoś nie wzrusza, może nawet nie przychodzi mu do głowy. Bo w końcu co takiego się stało? Jeden podpis, nic więcej. A bo to pierwszy raz podpisał? O co tyle krzyku? Od jednego podpisu świat się nie zawali.

No tak, o co tyle krzyku...

Naprawdę ładny dzień. I ładne piosenki. Ale co teraz? Co dalej? ©

TYGODNIK POWSZECHNY

W następnym numerze wakacyjny

Włóczykij Kulturalny

z poleceniami najlepszych letnich imprez, wystaw i festiwali. Chcesz zaprosić nasze Czytelniczki i Czytelników na wydarzenie, które organizuje Twoja firma lub instytucja? Napisz do nas na **reklama@tygodnikpowszechny.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ŚWIAT

ODLOT DO MOSKWY

Spośród prowincji byłego Związku Sowieckiego żadna – nie licząc Bałtów – nie parła na Zachód tak odważnie jak Gruzja. Dziś rządzący w Tbilisi zmieniają kurs na wschodni. Dlaczego?

WOJCIECH JAGIELSKI

MIRIAN MELADZE / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Nazajutrz po obchodach zwycięstwa w II wojnie światowej, w Moskwie celebrowanych 9 maja, Władimir Putin ogłosił, że od połowy maja obywatele Gruzji będą mogli podróżować do Rosji i przebywać w niej bez wiz przez trzy miesiące (czyli tyle samo, ile mogą bez wiz przebywać w krajach Unii Europejskiej). Putin odwołał też zakaz połączeń lotniczych między Moskwą a Tbilisi.

Wprowadzenie wiz i zakaz lotów były karami, które Kreml wymierzył Gruzji za gorliwość, z jaką próbowała upodabniać się do Zachodu. Obowiązek wizowy ogłoszono jeszcze w 2001 r., gdy w Tbilisi rządził Eduard Szewardnadze (wcześniej ostatni minister dyplomacji Związku Sowieckiego). Natomiast lotów między Moskwą a Tbilisi Putin zakazał w 2019 r., gdy mieszkańcy gruzińskiej stolicy wszczęli uliczne rozruchy przeciw wizycie rosyjskich posłów.

W sierpniu 2008 r. – po tym, gdy Zachód obwieścił, że drzwi NATO i Unii Europejskiej będą dla Gruzji szeroko otwarte – Rosja stoczyła z nią pięciodniową wojnę, w której rozgromiła gruzińską armię, a następnie uznała samozwańczą niepodległość zbuntowanych gruzińskich prowincji, Abchazji i Południowej Osetii.

Minął teraz ledwie tydzień, odkąd Putin odwołał swoje antygruzińskie sankcje wizowo-lotnicze, a w piątek 19 maja pierwszy od czterech lat samolot rosyjskich linii lotniczych Azymut wylądował w Tbilisi. Następnego dnia samolot gruzińskich linii Georgian Airways wylądował na moskiewskim lotnisku Wnukowo, a kolejna rosyjska linia Red Wings dostała zgodę na otwarcie połączeń z Soczi nad Morzem Czarnym do nieodległych gruzińskich miast, Kutaisi i Batumi.

Ławrow chwali rząd w Tbilisi

Zniesienie sankcji wobec Gruzji władze na Kremlu zapowiadały od początku roku i nie ukrywały, iż w ten sposób będą chciały odwdzięczyć się im za to, że rząd w Tbilisi nie przyłączył się do zachodnich sankcji nałożonych na Rosję po jej inwazji na Ukrainę. Gruziński rząd poparł wprawdzie wszystkie rezolucje potępiające rosyjską napaść, ale od początku uprzedzał, że do gospodarczych sankcji się nie przyłączy, bo uśmierciłoby to rodzimą gospodarkę.

W lutym tego roku szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow nie mógł się nachwalić gruzińskiego rządu. „Mały kraj zdobył się na odwagę, by kierować się wyłącznie tym, co dla niego dobre – powiedział. – To zasługuje na szacunek". Z kolei rosyjski senator Konstantin Kosaczew ubolewał, że Gruzja z własnej woli stała się „niewolnicą geopolityki". „Darmowy ser można znaleźć tylko w pułapce na myszy – stwierdził. – I tam właśnie znalazła się Gruzja, a także Mołdawia i Ukraina przez te ich euroatlantyckie ciągotki".

Dekrety o zniesieniu wiz i wznowieniu lotów do Tbilisi Putin ogłosił po Dniu Pobiedy, obchodzonym w Rosji jako najważniejsze ze świąt – odkąd przestano tam czcić rocznice bolszewickiej rewolucji październikowej. Kiedyś na zaproszenie Kremla do Moskwy przyjeżdżali przywódcy z całego świata. W tym roku wraz z Putinem świętowali jedynie najwierniejsi sojusznicy Rosji: przywódcy Białorusi, Armenii, Kazachstanu, Kirgizji i Tadżykistanu. „Za rok na następny Dzień Zwycięstwa przyjadą i oni" – powiedziała w telewizji redaktor naczelna stacji Russia Today Margarita Simonian odczytawszy wiadomość, że Gruzini będą mogli jeździć do Rosji bez wiz i latać z Tbilisi prosto do Moskwy.

Prezydent walczy z rządem

Na najzagorzalszą przeciwniczkę jakiegokolwiek zbliżenia z Moskwą wyrosła dziś gruzińska prezydent Salome Zurabiszwili, urzędująca od 2018 r. i wyniesiona do władzy przez rządzącą od jedenastu lat partię Gruzińskie Marzenie – tę, która pokonała i odsunęła od władzy Micheila Saakaszwilego, bohatera ulicznej rewolucji róż z 2003 r.

Wówczas to pod rządami Saakaszwilego Gruzja niemal desperacko rzuciła się ku Zachodowi i stała się jego ulubienicą, stawianą za wzór. Saakaszwili unowocześnił i przebudował kraj na zachodnią modłę, ale zapłacił za to przegraną z Rosją wojną. Władzę i przychylność rodaków stracił już jednak przez własną pychę i żądzę władzy. O ile jesienią 2003 r. był bohaterem, o tyle dziewięć lat później Gruzini winszowali sobie, że „Misza" (tak długo nazywała go ulica) przegrał wybory.

Salome Zurabiszwili, urodzona we Francji w rodzinie gruzińskich emigrantów, była u Saakaszwilego szefową dyplomacji. Szybko się jednak z nim poróżniła. W 2018 r. Gruzińskie Marzenie, opozycyjne wobec Saakaszwilego, postanowiło poprzeć ją – bezpartyjną kandydatkę – w wyborach prezydenckich, aby dowieść Zachodowi szczerości swoich europejskich intencji. Sposób był dla Gruzińskiego Marzenia bezpieczny, bo w Gruzji prezydent panuje, ale rządzi premier.

Dziś Zurabiszwili kłóci się z marzycielami prawie o wszystko. Zarzuca im, że zamiast zmierzać na Zachód (cel ten jest wpisany nawet do konstytucji), zawracają kraj na Wschód ku Rosji, w której ich przywódca i założyciel partii, miliarder Bidzina Iwaniszwili, dorobił się majątku.

Już na początku tego roku, gdy Rosja kusiła Gruzję zniesieniem sankcji, Zurabiszwili przestrzegała rząd, by nie dał się zwieść. „Zmierzamy na zachód, a nie na wschód ani północ. Rosyjskich samolotów nie wpuszcza się do Europy, a my chcemy być przecież w Europie – mówiła. – Rosja chce nas, Gruzinów, skłócić ze sobą, a dodatkowo poróżnić nas z przyjaciółmi w Europie. Nie wolno nam do tego dopuścić".

Unia stawia warunki

Gruzja od lat puka do bram NATO, a w 2022 r., gdy Rosja najechała Ukrainę, wystąpiła wraz z nią i Mołdawią o status państwa stowarzyszonego z Unią. Ukraina i Mołdawia dostały to, o co prosiły, ale Tbilisi odmówiono. Gruzińskim dyplomatom wręczono listę dwunastu warunków, od spełnienia których zależeć ma zgoda Unii na uznanie Gruzji za kraj z nią stowarzyszony. Warunki dotyczą m.in. reformy ordynacji wyborczej, uwolnienia polityki od dyktatu oligarchów, uniezależnienia sądów od polityków, gwarancji wolności słowa. Jesienią Unia ma ocenić, jak Gruzja poradziła sobie z tymi zadaniami.

Gdy teraz Putin ogłosił, że znosi wizy dla Gruzinów i przywraca połączenia lotnicze, Salome Zurabiszwili powiedziała, że jest to kremlowska dywersja, mająca zniweczyć starania Gruzji o przyjęcie do Unii Europejskiej. „Otwarcie lotów do Moskwy wcale mnie nie cieszy! Gdy nasi partnerzy, przez solidarność z Ukrainą, starają się Rosję izolować, nasz rząd postępuje dokładnie na odwrót" – oznajmiła ↦

„Rosyjski samolocie, idi na chuj" – protest przeciwko wznowieniu połączeń lotniczych pomiędzy Rosją a Gruzją. Tbilisi, 19 maja 2023 r.

↦ Zurabiszwili, powołując się na sondaże, z których wynika, że prawie 90 proc. Gruzinów opowiada się za integracją z Europą i równie wielu uważa Rosję za zagrożenie oraz za wroga. „Sami zatrzaskujemy sobie drzwi do Europy!" – ostrzegała pani prezydent.

Zurabiszwili wezwała rząd, by zamiast cieszyć się ze zniesienia wiz do Rosji i przywrócenia lotów, wprowadził wizy dla Rosjan. Od 2012 r. mogą oni przyjeżdżać do Gruzji bez wiz aż na rok – i wielu z nich właśnie z tej możliwości korzysta: od najazdu na Ukrainę do Gruzji przybyło ponad półtora miliona Rosjan (na stałe w kraju została ponoć tylko jedna dziesiąta, reszta miała pojechać dalej).

Pani prezydent wezwała też rząd, by zabronił Rosjanom kupować gruzińskie nieruchomości. A kiedy rząd w obu sprawach nie posłuchał, wezwała rodaków do bojkotu linii Georgian Airways, których samolot poleciał do Moskwy.

W odpowiedzi szef tych linii Tamaz Gajaszwili ogłosił, że pani Zurabiszwili nie będzie wpuszczana do jego samolotów, dopóki nie złoży oficjalnych przeprosin.

Tbilisi staje na rozdrożu

Gruzińska opozycja jest dziś przekonana, że skoro obóz rządzący wie, jak wielu Gruzinów opowiada się za integracją z Europą, to marzyciele nie ośmielą się otwarcie zmieniać kierunku polityki zagranicznej z zachodniego na wschodni.

Nie muszą jednak tego aktywnie robić – wystarczy, że nie ruszą palcem, by spełnić choćby jeden z dwunastu unijnych warunków. Nie będą potem rozpaczać, jeśli Unia pokaże Gruzji drzwi. Przeciwnie – kamień spadnie im z serca, a winą ochoczo obarczą Brukselę.

Obejmując w 2012 r. władzę, marzyciele zapewniali, że przyszłość Gruzji widzą w Europie. Ale po 11 latach niepodzielnych rządów myślą już tylko o tym, by je utrzymać i dalej cieszyć się wynikającymi z nich przywilejami.

Z im surowszą krytyką spotykają się ze strony Brukseli, z tym większą niechęcią myślą i mówią o Unii i europejskości. Zachęca ich do tego i podburza przeciw Europie gruzińska Cerkiew prawosławna, która uważa Bidzinę Iwaniszwilego za dobrodzieja, a Zachód za współczesną Sodomę i Gomorę.

JOEL SAGET / AFP / EAST NEWS

SALOME ZURABISZWILI,
GRUZIŃSKA PREZYDENT:

Gdzie podziały się słowa o Europie i o tym, że to ona jest naszym cywilizacyjnym wyborem?

Narastająca wrogość, która wkradła się między Tbilisi a Brukselę, była długo przez obie strony skrzętnie skrywana. Maski opadły wraz z rosyjską inwazją na Ukrainę. Gruzja starała się zachować lojalnie wobec Zachodu, a jednocześnie nie drażnić Rosji, od której zależna jest gruzińska gospodarka („Sankcje przeciw Rosji byłyby sankcjami przeciw Gruzji" – tłumaczy obóz władzy z Tbilisi).

Po wznowieniu lotów i zniesieniu wiz dla Gruzinów marzyciele zapewniają, że przyniesie to same korzyści. Do Gruzji przyjedzie na wakacje jeszcze więcej letników z Rosji, a gruzińskim rolnikom i handlowcom łatwiej będzie sprzedawać towary do Rosji. Dobro Gruzinów jest naszym celem najważniejszym – przekonują. – Gruzja jest najważniejsza.

Gospodarka notuje wzrost

Wraz z tymi setkami tysięcy Rosjan, którzy uciekli do Gruzji przed wojną, mobilizacją i rządami Putina, do gruzińskich banków trafiło kilka miliardów rosyjskich dolarów. W ciągu roku trwania wojny rosyjsko-ukraińskiej gospodarka Gruzji zanotowała aż 10-procentowy wzrost. Skarbiec państwa zapełnił się i marzyciele mogą z niego czerpać hojnie, by kupować poparcie rodaków, udręczonych niekończącymi się politycznymi awanturami.

Spełnienie unijnych warunków utrudniłoby zaś marzycielom niepodzielne rządy. To właśnie raczej wygoda niż światopoglądowy wybór sprawia, że nad model zachodniej demokracji w wydaniu brukselskim wolą przekładać model tzw. suwerennej demokracji, który praktykuje np. Viktor Orbán. W ostatnich miesiącach węgierski premier stał się jakby politycznym mistrzem dla gruzińskiego premiera Iraklego Garibaszwilego i przewodniczącego Gruzińskiego Marzenia Iraklego Kobachidzego (formalnie jest on przywódcą, ale faktycznym liderem pozostaje Iwaniszwili). Garibaszwili i Kobachidze coraz częściej i chętniej uczestniczą w naradach europejskiej prawicy, wrogiej liberalnym wartościom i Unii Europejskiej w jej liberalnej postaci.

Dopiero uliczne rozruchy w Tbilisi zmusiły w marcu obóz władzy do wycofania projektu ustawy, która wprost wzorowana była na rosyjskich przepisach – tych, które finansowane przez Zachód organizacje pozarządowe piętnują jako „agentów zagranicy". Wkrótce marzyciele przystąpili jednak do kontrnatarcia, oskarżając „faszystowskich liberałów z Brukseli", jakoby do spółki z „gruzińskimi satanistami, anarchistami i chuliganami" chcieli dokonać w Tbilisi przewrotu i obalić prawowite władze.

Plany na przyszłość

Kreml będzie zachwycony, jeśli uda mu się skłócić Gruzję z Brukselą, a w samej Gruzji jeszcze bardziej poróżnić zwolenników jej marszu na Zachód z przeciwnikami, wsłuchanymi w cerkiewne kazania. Rosja zaś już dziś ma wobec Gruzji dalsze i dalekosiężne plany.

Szef linii Georgian Airways ogłosił, że Rosjanie – ci, którzy teraz są zmuszeni zmieniać samoloty w Stambule, Erywaniu, Dubaju czy Belgradzie, by dostać się do Europy Zachodniej – od czerwca będą mogli także w Tbilisi przesiadać się do samolotów lecących stąd do Paryża, Wiednia, Mediolanu, Salonik i cypryjskiej Larnaki.

Z kolei Rosjanie przebąkują o otwarciu linii kolejowej z Rosji do Armenii przez Abchazję i Gruzję (dziś jest unieruchomiona) i ruchu promowego z Noworosyjska do gruzińskiego Batumi (tutaj rosyjskie towary adresowane do Armenii i Turcji byłyby przeładowywane na ciężarówki). Pojawił się też plan pociągnięcia jednej z nitek chińskiego Jedwabnego Szlaku koleją z irańskiego portu w Ban-

dar Abbas przez Astarę do Gabali w Azerbejdżanie, a stąd przez gruzińskie Marneuli do Abchazji i dalej do Rosji. Wzdłuż kolei miałyby powstać rurociągi.

Zerwane wesele

Tego samego dnia, w którym w Tbilisi wylądował pierwszy od czterech lat rosyjski samolot, w Gruzji wybuchł – przypadkowo w tym momencie, ale symbolicznie – jeszcze jeden skandal.

Okazało się, że do Kachetii – uroklivego regionu we wschodniej Gruzji – na wesele swojego szwagra przyjechała Jekatierina Winokurowa, córka szefa rosyjskiej dyplomacji Siergieja Ławrowa. Rzecz w tym, że Jekatierina i jej mąż Aleksander zostali wpisani w USA, Kanadzie, Wielkiej Brytanii oraz w Unii Europejskiej na „czarną listę" osób niepożądanych. Tymczasem nie dość, że Winokurowym przyszło do głowy, by urządzać wesele w rodzinie akurat w Gruzji, i że zostali do niej wpuszczeni, to tutejsza policja, zamiast bronić im wstępu, dostała rozkaz, by pilnowała ich bezpieczeństwa.

Prezydent Zurabiszwili zwołała specjalną konferencję prasową, aby obwieścić rodakom, że wesele zostało zerwane, a niepożądani weselnicy wyjechali z kraju. „Tak się nie godzi! To nie po gruzińsku – oburzył się w odpowiedzi szef marzycieli Kobachidze. – Tak postępują tylko faszystowscy liberałowie!".

Bez unijnych gwiazdek

W tym roku 26 maja, który w Gruzji obchodzony jest jako Dzień Niepodległości, ulic Tbilisi nie przystrojono unijnymi błękitnymi sztandarami z dwunastoma złotymi gwiazdami. „Chcemy się sprzymierzyć z Unią Europejską, a zamiast wywieszać unijne flagi, ściągamy je?!" – oburzyła się opozycja. Marzyciele odparli: „Co roku Dzień Niepodległości obchodzony jest pod jakimś hasłem. W zeszłym roku było to »Naprzeciw Europie«, więc przystroiliśmy miasto unijnymi flagami. W tym roku świętujemy pod hasłem »Z miłości do wolności« i flagi unijne uznaliśmy za zbędne".

„Polityka zagraniczna naszego rządu stała się niepojęta. To wstyd przeliczać, ile da się zarobić na wyprzedaży godności! Dwieście milionów dolarów? Trzysta?" – mówiła prezydent Zurabiszwili w okolicznościowym przemówieniu w Dniu Niepodległości (jej wystąpienie na placu Wolności transmitowały gruzińskie telewizje). I dodała: „Gdzie podziały się słowa o Europie i o tym, że to ona jest naszym cywilizacyjnym wyborem?".

Potwierdzenia tej diagnozy dostarczył mimochodem sam gruziński premier: zapytany kilka dni temu przez dziennikarza, dlaczego jego zdaniem Rosja najechała na Ukrainę, Irakli Garibaszwili odparł: „Sądzę, że wszyscy świetnie wiedzą, dlaczego. Jednym z głównych powodów była ekspansja NATO, czyż nie?".

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

REKLAMA

NOWA POWIEŚĆ LAUREATA **NAGRODY BOOKERA**

IANA MCEWANA

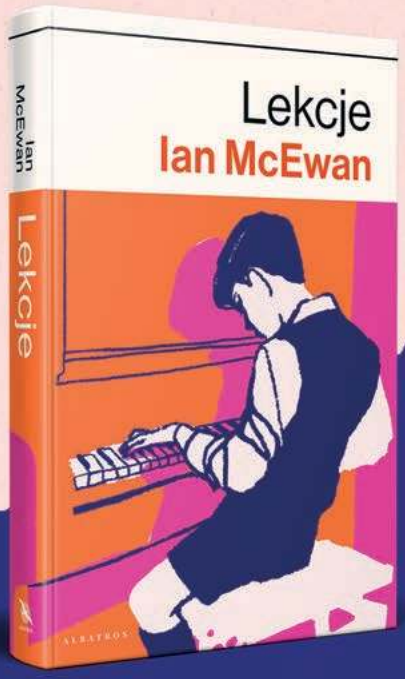

Wszystkie lekcje, jakie daje nam życie, a z których tak niechętnie korzystamy.

KSIĄŻKA ROKU
według magazynu
"NEW YORKER"

BESTSELLER
"NEW YORK TIMESA"

Burzliwa kronika naszych czasów opowiedziana przez pryzmat losów jednostki, przetykana wnikliwymi rozważaniami na temat natury historii i istoty człowieczeństwa.

Mistrzowsko skonstruowana, zapierająca dech w piersiach, uwodzicielska i głęboko ludzka powieść.

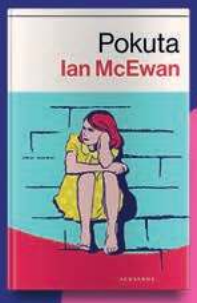

Już wkrótce wszystkie powieści **Iana McEwana** w nowej szacie graficznej – w energetycznych i stylowych wydaniach vintage!

WYDAWNICTWO ALBATROS

Nie dla wszystkich starczy miejsca

MARCIN ŻYŁA

Włochy pozbędą się niedźwiedzi, które wywołały najżarliwszy tutaj od lat spór o to, kto ma czuć się bezpieczniej w lesie – ludzie czy inne zwierzęta.

Odciągnąć uwagę Niemców od piłki nożnej – zwłaszcza wtedy, gdy w ich kraju trwa mundial – to trudna sztuka. Latem 2006 r. udała się jednak pewnemu niedźwiedziowi.

Mówiono na niego „Bruno". Właśnie przywędrował do Bawarii z austriackich Alp i, zdaniem ludzi, czuł się tu nazbyt pewnie: włamywał się do kurników i uli, atakował i zabijał owce, a któregoś dnia uciął sobie nawet drzemkę przed wiejskim komisariatem. Szybko uznano, że zagraża człowiekowi, i że należy go uśpić, pojmać i następnie odstawić gdzieś, gdzie nie będzie groźny, np. do ogrodu zoologicznego.

Przez dwa tygodnie bezskutecznie tropili go łowcy zwierząt z Finlandii. Z amerykańskiej Montany przysłano zmyślną pułapkę. W internecie pojawiła się gra „Złapać Bruna". Ale zwierzę wciąż umykało, więc w końcu władze nakazały je zabić. Bruno – pierwszy od 171 lat niedźwiedź widziany w Niemczech na wolności – zginął od kul myśliwych w poniedziałek 26 czerwca 2006 r. tuż przed piątą rano, w zagajniku koło miejscowości Zell.

Oficjalnie nazywał się „JJ1" – takie oznaczenie nadały mu służby leśne. Do dziś nie ustalono, czy rzeczywiście był powód, aby go zabijać.

Kilka tygodni temu, po włoskiej stronie Alp, podobne pytania i publiczną dyskusję wywołała młodsza siostra Bruna – niedźwiedzica znana jako „JJ4".

I atak, i obrona

Choć pochodził z gór, Andrea Papi raczej nie miał ich dość. Przyjaciele tego 26-latka ze wsi Calve, położonej w jednej z dolin niedaleko Trydentu w północnych Włoszech, mówili potem reporterom, że Andrea często chodził na wycieczki, i że lubił fotografować szczyty.

Musiał świetnie znać okoliczne lasy. W środę 5 kwietnia, jak to miał w zwyczaju, wybrał się po południu do lasu na krótką przebieżkę.

Jego ciało znaleziono po zmroku. Od razu było jasne, że zabił go niedźwiedź. Starcie musiało być bardzo gwałtowne i trwać długo, skoro pierwsze ślady krwi odkryto dopiero pięć metrów od ścieżki. Kilkanaście metrów dalej leżały: telefon, kijki do biegania i okaleczone zwłoki mężczyzny. Po zakrwawionej gałęzi śledczy poznali, że Andrea walczył. Prawdopodobnie gdy wybiegał z ciasnego zakrętu, nagle znalazł się w bliskiej odległości od zwierzęcia, które, uznając to za atak, zaczęło się bronić.

Andrea Papi stał się w ten sposób pierwszą w czasach nowożytnych ofiarą niedźwiedzia we Włoszech.

Próbki DNA potwierdziły, że za atak odpowiedzialna jest 17-letnia dziś niedźwiedzica „JJ4". W dniu pogrzebu Papiego prezydent prowincji Trydent-Górna Adyga, polityk Ligii Maurizio Fugatti, nakazał zabicie zwierzęcia. Sąd unieważnił tę decyzję, zezwalając wyłącznie na schwytanie niedźwiedzicy. W połowie kwietnia, nocą, gdy żerowała z trójką swoich młodych kilka kilometrów od miejsca tragedii, „JJ4" weszła do pułapki zastawionej przez człowieka.

Czy Gaja ma żyć

Bruno i Gaja – bo gdy sprawa stała się znana w całych Włoszech, takie właśnie imię nadali „JJ4" jej obrońcy – byli wychowywani przez Jurkę, niedźwiedzicę przewiezioną do Włoch w 1999 r. z sąsiedniej Słowenii, z tamtejszych Alp Julijskich.

W ramach finansowanego przez Unię Europejską programu LIFE, którego celem było przywrócenie tego gatunku w rejonach, gdzie występował kiedyś (również w Austrii i Pirenejach), dokonano tzw. szerokiej reintrodukcji – aby zwiększyć pulę genetyczną w populacji, przywieziono dużo zwierząt.

Program odniósł sukces – niedźwiedzie się przyjęły i zaczęły rozmnażać. Dwa lata temu szacowano, że w samym tylko regionie Trydent-Górna Adyga żyje już około setki tych zwierząt, i że co roku populacja zwiększa się o kolejne 10 procent. Z tego co najmniej 70 niedźwiedzi – to dane szacunkowe, ponieważ zwierzęta się przemieszczają – żyje w dolinach niedaleko Trydentu.

Maurizio Fugatti oraz wielu mieszkańców tego regionu uważa, że to co najmniej dwukrotnie za dużo jak na teren, w którym – mimo wysokich gór i rozległych lasów – intensywnie obecny jest także człowiek.

Tym bardziej że – argumentuje polityk, który od początku żądał śmierci niedźwiedzicy – do incydentów z udziałem tych zwierząt dochodzi coraz częściej. Samą „JJ4"/Gaję służby leśne uznały za „osobnika problematycznego", czyli takiego, który boi się człowieka mniej, niż powinien, już trzy lata temu. Na zboczach niedalekiej Monte Peller raniła wtedy ojca z synem.

30 kwietnia – w apogeum sporu o życie Gai – w lesie znaleziono ciało „M62", innego „osobnika problematycznego", który w 2021 r. przez 10 minut nie chciał odejść od odganiających go myśliwych. O zabicie drapieżnika podejrzewa się kłusowników.

Czyj to błąd

Kłopot w tym – powtarza zaangażowana w spór po stronie niedźwiedzi organizacja praw zwierząt LAV – że wciąż nie ma jasnych kryteriów, co to znaczy „osobnik problematyczny". A co do tego, czy sprawiedliwe jest zabijanie zwierzęcia, które być może po prostu się broniło, wątpliwości ma coraz więcej uczestników dyskusji.

Jeszcze przed tym, jak sąd ogłosił ostateczny wyrok w sprawie losu „JJ4", do redakcji lokalnego portalu w Trydencie przyszedł list. „Czuję gniew i smutek, myśląc o biednej niedźwiedzicy pozbawionej potomstwa i uwięzionej jak przestępczyni w miejscu, zdaniem wielu, zbyt

PROWINCJA AUTONOMA DI TRENTO / MATERIAŁY PRASOWE

Tuż po schwytaniu niedźwiedzicy „JJ4" i oddzieleniu jej od młodych. Val Meledrio, okolice Trydentu, 17 kwietnia 2023 r.

ciasnym; o trójce jej młodych, jeszcze niesamodzielnych, porzuconych w lesie, których prawdopodobnie czeka śmierć" – pisała 47-letnia Margherita Gabbrielli, mieszkanka Livorno.

I choć podobne głosy łatwo zbyć (w mediach społecznościowych wyśmiewa się z nich m.in. Fugatti) jako naiwne bądź formułowane przez ludzi, którzy nie mieszkają tam, gdzie można spotkać niedźwiedzie, spór o „JJ4" różni się od podobnych, stereotypowo postrzeganych jako kłótnie między ekologami a myśliwymi czy władzami lokalnymi.

Po pierwsze, nie dotyczy obszaru chronionego, lecz terytorium, na którym od stuleci działa i funkcjonuje człowiek – z licznymi miejscowościami i rozbudowaną infrastrukturą. Po drugie, niedźwiedzie zostały tu reintrodukowane, trudno więc argumentować okrągłymi zdaniami w rodzaju: „las należy do zwierząt, a człowiek jest w nim tylko gościem".

Trzeci, być może najciekawszy wymiar sporu dotyczy właśnie odczuć ludzi. „To niesprawiedliwe i nieetyczne, aby zwierzęta musiały płacić za ludzkie błędy, czy to z powodów dezinformacji, niewłaściwego zarządzania projektem, czy z uwagi na politykę" – pisała dalej Gabbrielli. I dodawała: „Nie ma czegoś takiego jak problematyczne zwierzę".

Rozprawa odroczona

Przeciwko zabijaniu „JJ4"/Gai wypowiedzieli się rodzice i partnerka Andrei Papiego oraz obecny przy schwytaniu niedźwiedzicy weterynarz. A także, jeśli wierzyć wynikom ankiety przeprowadzonej tuż przed ogłoszeniem wyroku, większość mieszkańców prowincji Trydent-Adyga.

Ostatecznie, po manifestacjach i dwukrotnym odkładaniu rozprawy, sąd administracyjny w Trydencie zdecydował 26 maja, że nie ma powodu, aby zabijać niedźwiedzicę – przynajmniej na razie.

Kolejną rozprawę wyznaczono na koniec czerwca, a ostateczna decyzja zapadnie dopiero w grudniu. Jednak już dziś widać, że jest mało prawdopodobne, aby Gai groziła śmierć. Przy okazji sąd podtrzymał też zakaz zabijania innego niedźwiedzia, oznaczonego jako „MJ5". Ten 18-letni samiec, który na początku marca zranił w Val di Rabbi mężczyznę spacerującego z psem, nadal żyje na wolności.

W minioną środę 31 maja, w ślad za wyrokiem i po spotkaniu z władzami prowincji, włoski rząd centralny obiecał władzom prowincji przeniesienie najbardziej „problematycznych" niedźwiedzi za granicę. Wciąż jednak nie wiadomo, w jaki sposób zaliczać je do tej kategorii.

Memoriał imienia Andrei

Bilans całej sprawy jest przygnębiający. Zginął człowiek, Andrea Papi, zapewne bez własnej winy. Niewykluczone, że umarły trzy oddzielone od matki młode niedźwiedzie. W górach pod Trydentem niedługo może się zacząć odławianie tych zwierząt. A pytanie o sens oraz o sposób przywracania niedźwiedzi w miejscach, gdzie pod ich nieobecność swój ślad zaznaczył już człowiek, pozostaje bez odpowiedzi.

W lasach nad Caldes, gdzie zginął Andrea Papi, za miesiąc odbędzie się memoriał jego imienia. Organizatorzy zapraszają na bieg poświęcony 26-latkowi, którego, jak piszą, „śmierć spotkała w lesie, w którym dorastał i traktował jak swój dom". ©℗

WICEK SOSNA x2

Londyńska wystawa Chelsea Flower Show, maj 2023 r.

Chwasty wchodzą na salony

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Tegoroczna wystawa Chelsea Flower Show była polem debaty między zwolennikami precyzyjnych projektów ogrodniczych a tymi, którzy zwracają się do natury.

Trzy kobiety w podkoszulkach z napisem „Just Stop Oil" zjawiły się rano, wkrótce po otwarciu wystawy. W jednym z ogrodów rozrzuciły pomarańczową farbę w proszku. „Po co ci ogród, jeśli nie możesz jeść? Po co tradycja, gdy rozpada się społeczeństwo?" – wołały, apelując o wstrzymanie wydawania nowych licencji na wydobycie paliw kopalnych.

Był to jeden z wielu ostatnio takich protestów w wykonaniu aktywistów klimatycznych z brytyjskiej organizacji „Just Stop Oil". Można się zastanawiać, czemu na ich celowniku znalazła się akurat Chelsea Flower Show – coroczna wystawa organizowana przez Królewskie Towarzystwo Ogrodnicze. Od lat propaguje ono przecież zrównoważone ogrodnictwo, zielone przestrzenie w miastach, oszczędzanie wody itd.

Jedna z protestujących kobiet wyjaśniała, że jeśli ktoś kocha ogrody, musi opowiedzieć się „po stronie dobra", a zatem przeciw przemysłowi wydobywczemu paliw kopalnych, i że powinien dołączyć do „obywatelskiego ruchu oporu przeciw ropie i gazowi". Opinie odwiedzających wystawę o proteście były podzielone, ktoś bił brawo, ktoś oblał aktywistki wodą. Wkrótce zatrzymała je policja.

Natomiast na pytanie wykrzyczane przez aktywistkę – po co nam dziś ogrody – Chelsea Flower Show dostarczyła wyjątkowo ciekawych odpowiedzi.

Podziel się z owadami

„Nasze ogrody nie istnieją w izolacji. One są częścią szerszego, zielonego, połączonego krajobrazu. Istnieje też przekonanie, że ogrody służą tylko ludzkiej przyjemności. Tymczasem ważne jest, byśmy czerpali radość z dzielenia się nimi z naturą" – mówił projektant ogrodów Tom Massey w niedawnym wywiadzie dla pisma „The Garden".

Massey, autor książki „Resilient Garden" (Odporny ogród), zaprezentował na Chelsea Flower Show swój projekt: ogród stworzony jako przestrzeń dla ludzi i owadów. Wprawdzie od dawna mówi się o sadzeniu kwiatów odpowiednich np. dla pszczół, ale ogrodu dzielonego z owadami nikt jeszcze na wystawie nie proponował.

– Owady zawsze mnie interesowały, jeszcze jako dziecko lubiłem je obserwować – mówi Massey „Tygodnikowi". – Chciałem teraz pokazać, jak ważne dla owadów są nasze wybory dotyczące roślin i materiałów wykorzystywanych w ogrodach.

Centralnym punktem jego ogrodu jest laboratorium w formie półotwartej kopuły, której kształt jest inspirowany okiem owadów. Przejrzyste panele w kształcie koła, zrobione z recyklowanego plastiku, zmieniają kolory zależnie od punktu, w którym stoimy.

– Tak widzą owady, zależnie od kąta padania światła – wyjaśnia mi Luke Tilley z Królewskiego Towarzystwa Entomologicznego. – W Wielkiej Brytanii mamy 24 tysiące gatunków owadów. Pewnie mniej niż w Polsce, bo jesteśmy wyspą. Musimy je wspierać, choćby przez rozwiązania zastosowane w tym ogrodzie. Chodzi o zapewnienie owadom pożywienia, materiałów na gniazda i schronienia, jak pnie starych drzew – dodaje Tilley.

– To miejsce dla owadów, a także rodzaj rzeźby – mówi Massey, wskazując w ogrodzie powalone drzewo pocięte na bloki.

Oczywiście także żywe rośliny mają tu rolę do odegrania, np. kwitnący właśnie głóg służy około trzystu gatunkom owadów. Jest tu też mały zbiornik wodny oraz ścieżki z piasku, kamieni i kawałków cegły. Kopczyki gruzu służące owadom za schronienie i gabionowe ogrodzenie, tj. rodzaj klatek z drutu wypełnionych gruzem, patykami, liśćmi. – Patrzmy na ogród jako na miejsce szeroko pojętego życia, także owadów – przekonuje Massey.

Odporny jak chwast

W ogrodzie Masseya widać też chyba najważniejszy – i najciekawszy – z trendów tegorocznej wystawy w Chelsea: chwasty.

O ile polne kwiaty zadomowiły się w brytyjskich ogrodach (można je kupić w sklepach ogrodniczych, a zamiana choć części trawnika w łąkę jest już niemal obowiązkowa), o tyle w tym roku nie chodzi o chabry i maki, lecz o rośliny uważane dotąd przez ogrodników za pospolite chwasty: pokrzywa, mniszek lekarski, koniczyna, wyka.

– Wierzę, że za kilka lat chwasty staną się w pełni akceptowanymi roślinami w naszych ogrodach – mówi Massey i zwraca uwagę na pewien aspekt: chwasty, które często mają dłuższy niż kwiaty ogrodowe czas kwitnienia, są ważnym źródłem pożywienia dla owadów.

Chwasty są też zwykle roślinami bardzo odpornymi – mogą przetrwać w warunkach coraz bardziej zmieniającego się klimatu. Ich obecność w wielu ogrodach w Chelsea, również tych autorstwa najbardziej znanych projektantów, jest dowodem wielkiej zmiany w podejściu do ogrodnictwa. Bo choć nigdy nie było tu oficjalnego zakazu użycia chwastów na wystawie (taki dotyczy np. ogrodowych krasnali), to jednak jeszcze kilka lat temu w pokazowych ogrodach raczej nie mogłaby zaplątać się np. zwykła pokrzywa.

Odrodzenie na gruzach

W ogrodzie Masseya stare cegły i inne odpady budowlane wykorzystano jako miejsce schronienia dla owadów. Natomiast w ogrodzie Cleve'a Westa, najbardziej nagradzanego projektanta w historii Chelsea, odgrywają inną rolę. On stworzył swój ogród, by zwrócić uwagę na narastający problem bezdomności wśród młodych ludzi. W 2022 r. w Wielkiej Brytanii ich liczba sięgnęła 129 tysięcy.

W centrum ogrodu Westa znajdują się: ściana zrujnowanego domu, palenisko kominka, wiktoriańska posadzka, góra cegieł. Wokół zaś – rośliny ozdobne i także te, które możemy znaleźć raczej poza ogrodami, jak polne kwiaty, paprocie, trawy. Oraz, jak u Masseya, chwasty, które – podkreśla West – nie muszą być wrogami ogrodnika.

Całość wygląda jak ogród zapomniany i już zdziczały, do którego od dawna nikt nie zaglądał. West podkreśla, że to eksperyment: świadome przełamanie konwencji estetycznego ogrodu i rozszerzenie definicji tego, czym jest ogrodnictwo. Przede wszystkim jednak chodziło o bezdomnych: jak przyznano w jego opisie, może i ogród nie jest „ładny", ale w bezdomności młodych ludzi nie ma nic ładnego.

Ruiny są tu zatem metaforą utraconego domu, a ogród wokół pokazuje, że życie może się odradzać i rany kiedyś się zagoją. I w tym ogrodzie mamy leżące drzewo – symbol utraty korzeni, które jednak z czasem stanie się siedliskiem owadów i mikroorganizmów (West podkreślał, że drzewa nie ścięto na użytek ekspozycji).

Po zamknięciu wystawy część ogrodu zostanie przeniesiona do hostelu w londyńskiej dzielnicy Ealing, który prowadzi organizacja Centrepoint. Pomaga ona w wychodzeniu z bezdomności.

W ogrodzie bez bólu

– Mogę opowiedzieć, czemu ten ogród jest wyjątkowy – proponuje Raquel Siganporia, która porusza się na wózku i jest ambasadorką pierwszego w pełni dostępnego dla osób z niepełnosprawnością ogrodu w historii Chelsea.

– Popatrz na ścieżki, szerokie i bez ostrych zakrętów. A zbiornik? Jest niski, można podjechać na wózku i sięgnąć ręką wody. Teraz dotknij powierzchni ↦

„Owadzi ogród" Toma Masseya.

↦ ścieżki. Czujesz, jaka gładka? – Raquel zwraca uwagę na szczegóły projektu dla fundacji Horatio's Garden, która pomaga ludziom z uszkodzonym rdzeniem kręgowym.

Jak wyjaśnia, każda nierówność chodnika czy ogrodowej ścieżki powodują ból u takich osób poruszających się na wózku. Dlatego ścieżki są idealnie gładkie. Jednak nie użyto w nich cementu i przepuszczają wodę, co zapobiega powstawaniu kałuż i ułatwia utrzymanie ogrodu. Kwiaty i krzewy posadzono zaś tak, by najlepiej było je widać z poziomu wózka.

– Spójrz na nią – Raquel wskazuje brzozę pośrodku ogrodu. – Rzuca cień, ale nie całkowity, między jej drobnymi liśćmi przebija się słońce. To ważne, bo osoby z uszkodzonym rdzeniem mają problem z regulacją temperatury ciała. Potrzebna jest więc odpowiednia ilość światła słonecznego.

W tym ogrodzie jest też miejsce, gdzie można wstawić szpitalne łóżko. Okna tego „pokoju" są obniżone tak, by osoba leżąca mogła patrzeć na kwiaty. Zadbano też o okno w suficie, by widać było niebo. – Ludzie po uszkodzeniu rdzenia spędzają w szpitalach długie miesiące. Taki ogród to wytchnienie, a także rodzaj niezależności – mówi „Tygodnikowi" Raquel. – Aż 96 proc. pacjentów twierdzi, że czas spędzony w ogrodzie łagodzi ich ból.

Po Chelsea ten ogród trafi do szpitala w Sheffield w północnej Anglii, gdzie znajduje się jeden z największych w kraju ośrodków leczenia urazów kręgosłupa. To będzie już ósmy z ogrodów zbudowanych przez tę fundację. I kolejna odpowiedź na pytanie, po co nam ogrody.

Rabarbar nad stawem

„Rośliny sprawiają, że czuję się spokojniejszy i bardziej sobą" – te słowa znalazły się na murze ogrodu zaprojektowanego przez Harry'ego Holdinga.

We współpracy z fundacją School Food Matters prowadził warsztaty ogrodnicze z dziećmi ze szkół w Londynie i Liverpoolu. Jedno z nich właśnie tak opowiedziało o swoim doświadczeniu. Inne stwierdzały: „Powinniśmy chronić drzewa, żeby mogły siadać w nich ptaki". Albo: „Nie wiedziałem, że można jeść liście!". Takie liście – jak sałata, wraz z jadalnymi kwiatami, rabarbarem i paprociami – otaczają oczko wodne w ogrodzie Holdinga.

Wystawa Chelsea Flower Show, która odbywa się od 110 lat, zawsze była także **forum dyskusji o rozwoju ogrodnictwa.**

Harry zaprasza, abym usiadła z nim na niewielkim murku, i z pasją opowiada o pracy nad projektem: – Pytaliśmy dzieci, jaki jest ich wymarzony ogród, co chciałyby w nim zobaczyć. Staraliśmy się też zainteresować je ogrodnictwem, pokazać mniej znane warzywa, zioła i te rośliny, które rosną dziko, ale które można zbierać i jeść.

Jego ogród nie przypomina typowego warzywniaka: warzywa rosną tu wśród traw i kwiatów, wzdłuż krętych ścieżek w kolorze piasku. Holding mówi, że chodzi o zachęcenie dzieci do ogrodnictwa, o ich edukację, a prawo do zdrowej żywności i kontaktu z naturą jest prawem fundamentalnym. – Nawet w małym miejskim ogródku powinniśmy być w stanie wyhodować dość warzyw na jeden posiłek w tygodniu – przekonuje.

Dzieci, po raz pierwszy zaproszone do Chelsea, były zachwycone realizacją ich pomysłów. Nie tylko one: odwiedzający uznali ogród Harry'ego za najlepszy w swojej kategorii.

Wszystkie nasze zmysły

Z ogrodu Holdinga przechodzimy do tego stworzonego przez projektantkę Camellię Taylor z myślą o osobach w spektrum autyzmu.

Kwiaty utrzymane są w pastelowej, łagodnej palecie kolorów, a rośliny dobrano tak, by symulowały poszczególne zmysły. Camellia zaś chętnie oprowadza mnie po ogrodzie: – Zapach, to akurat jest proste. Ale wybrałam też rośliny, których owoce po ściśnięciu głośno pękają. Drżączka, rodzaj trawy, także wydaje dźwięk, gdy porusza nią wiatr. Z kolei czyściec wełnisty ma specyficzną powierzchnię liści i miło się go dotyka. Zmysł smaku to np. truskawki i mięta.

Przygotowując projekt, Camellia, która wcześniej studiowała psychologię, współpracowała z fundacją Aspens, wspierającą osoby autystyczne i ich rodziny. – Znam tę fundację, znam tych ludzi. Wiedziałam, czego oczekują – Camellia tłumaczy, że wzięła też pod uwagę przyszłą lokalizację ogrodu, który, podobnie jak inne w Chelsea, zostanie potem przeniesiony na swoje stałe miejsce. Ten – do jednego z ośrodków fundacji w hrabstwie Kent, gdzie będzie pełnił funkcje terapeutyczne.

Na zmysły, choć w inny sposób, oddziałuje też ogród zaprojektowany przez Koreankę Jihae Hwang. Ze wszystkich ogrodów w Chelsea on jest najdokładniejszym odbiciem natury i zarazem hołdem dla koreańskiej góry Jiri, na której zboczach w szczelinach skał rośnie ponad półtora tysiąca gatunków roślin leczniczych. Wiele z nich jest dziś zagrożonych wyginięciem.

Trudno uwierzyć, że ten ogród jest tu od tygodnia – obrośnięte mchem głazy (jak się okazuje, przywiezione ze szkockiego Aberdeenshire), dzikie rośliny, paprocie i strumień wyglądają, jakby były w tym miejscu od wieków. Nawet liczni odwiedzający nie naruszają jego spokoju i harmonii.

Ogródek na balkonie

Niemal każdy z tegorocznych ogrodów mógłby dostarczyć własnej odpowiedzi na pytanie, po co istnieje. Po części dlatego, że powstają we współpracy z organizacjami charytatywnymi i mają zwrócić uwagę na ich działalność. Po części, bo projektanci, jak West czy Massey, widzą potrzebę bardziej odpowiedzialnego ogrodnictwa i dają temu wyraz.

Wystawa w Chelsea jest okazją, by pokazać nowe pomysły i inspirować zwiedzających do zmian, np. wyboru mniej wymagających macierzystych roślin. W tym roku pojawiła się też kategoria: ogród balkonowy, a wraz z nią ciekawe rozwiązania na oszczędność wody czy sadzenie roślin pochłaniających zanieczyszczenia.

Chelsea to też miejsce na innowacje techniczne. Szkocka firma Ocean Plastic Pots pokazuje piękne doniczki produkowane z recyklingowanych sieci i lin rybackich, wyrzucanych przez morze – w 2022 r. zebrali ich pięć ton tylko na wyspie Ulva. Założyciel firmy Ally Mitchell jest nurkiem i widzi, co dzieje się z morzami. Przełomem był dla niego, jak mówi, rok 2020, gdy zatrudniono

WICEK SOSNA x3

„Ogród bezdomności" Cleve'a Westa.

Koncert w ogrodzie koreańskim zaprojektowanym przez Jihae Hwang.

Neoklasycystyczny budynek w ogrodzie zaprojektowanym przez Chrisa Beardshawa.

go do oczyszczania statku, który utknął u brzegu Szkocji – przewoził dwa tysiące ton plastikowych odpadów.

Także Zena Holloway nurkowała, a zajmuje się podwodną fotografią. Skala zanieczyszczenia plastikiem, jaką zobaczyła pod wodą, wstrząsnęła nią, a splątane korzenie wierzby w rzece zainspirowały do działania. Pomyślała, że tak jak korzenie mogłyby rosnąć nasze ubrania – bo po przemyśle naftowym to produkcja ubrań odpowiada za najwięcej zanieczyszczeń. W Chelsea zaprezentowała biodegradowalne suknie ślubne, zrobione z hodowanych w specjalny sposób korzeni trawy.

Po co ten zgiełk

Chelsea Flower Show odbywa się od 110 lat, z przerwą tylko w czasie wojny i pandemii. Przygotowania trwają wiele miesięcy, a BBC relacjonuje kolejne dni imprezy.

Podczas pierwszego pojawiają się aktorzy, muzycy czy prezenterzy – w tym roku w ogrodach przechadzali się Jim Carter (Carson z serialu „Downton Abbey"), Matthew Macfadyen (Tom z „Sukcesji") czy Dominic West (książę Karol z „The Crown"). Co roku Chelsea odwiedzała królowa, teraz po raz pierwszy zrobił to król Karol III.

W tle za szampanem, eleganckimi kapeluszami i towarzyskim zgiełkiem dzieją się jednak rzeczy ważne. Fundacje zdobywają wsparcie, odwiedzający przenoszą do swych ogrodów nowe rozwiązania, naukowcy i ogrodnicy mogą prezentować swoje osiągnięcia. Niezmiennie wystawa jest też elementem dyskusji o rozwoju ogrodnictwa – dziś zwrot ku *rewilding*, oddawaniu przestrzeni naturze, jest wręcz radykalny.

Po zakończeniu tej tygodniowej ogrodniczej „ekstrawaganzy" ogrody nie są niszczone, lecz przenoszone w inne miejsca. Np. owadzi ogród Toma Masseya znajdzie się koło parku olimpijskiego we wschodnim Londynie i w dalszym ciągu będzie służyć jako punkt badawczy dla entomologów.

Nie wiadomo, co będzie z ogrodem, w którym protestowały aktywistki „Just Stop Oil". Jego projektant obawiał się, że pomarańczowej farby, nawet biodegradowalnej, może nie udać się usunąć z kamiennej powierzchni i z kwiatów.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

HISTORIA

NA TROPIE JOMSBORGA

Archeolodzy ustalili miejsce, gdzie na wyspie Wolin mogła znajdować się słynna siedziba bractwa Wikingów. Spotkaliśmy się z jednym z odkrywców.

PIOTR OLEKSY

Dla mnie to laboratorium, które może udzielić odpowiedzi na wiele pytań o ponad tysiąc lat historii – Wojciech Filipowiak, archeolog i kierownik Pracowni Archeologicznej PAN w Wolinie, zaciągnął się kolejnym papierosem.

– Trudno byłoby znaleźć w naszej części Europy drugi przykład tak dużego miasta sprzed tysiąca lat – dodał, a ja pomyślałem, że jeśli dodamy do tego kosmopolityzm miejsca, skalę wpływów innych kultur i różnorodność jego gospodarki, to faktycznie mamy przed sobą nie lada fenomen. Staliśmy na szczycie Wzgórza Wisielców i patrzyliśmy na Dziwnę, czyli jedno z ujść Odry do Bałtyku, na miasto Wolin i szerokie połacie wyspy o tej samej nazwie.

Wiele wskazuje, że Filipowiak znalazł odpowiedź na pytanie, które od 300 lat zadają sobie badacze z Niemiec, Skandynawii i Polski: że wpadł na trop Jomsborga, na wpół mitycznej siedziby bractwa Wikingów. Kronikarz Saxo Gramatyk pisał:

C. BALOSSINI / DEA / GETTY IMAGES

Rekonstrukcja bitwy podczas Festiwalu Słowian i Wikingów na wyspie Wolin, lipiec 2018 r.

„Pirackie działania uczyniły sławną ich odwagę, zachęcani zwycięstwami nad sąsiadami, w końcu stali się tak śmiali, że pokryli wody północy ciągłym zniszczeniem morskich podróżników".

Wzgórze Wisielców zawdzięcza nazwę faktowi, że od późnego średniowiecza było miejscem egzekucji. Przez wieki, a nawet milenia, było też cmentarzem: najstarsze z grobów sięgają kultury łużyckiej, tj. ponad 1300 lat przed naszą erą. Nieopodal znajduje się kompleks kurhanów.

Filipowiak uważa, że Jomsborg mógł znajdować się właśnie na tym wzgórzu.

Co mówią sagi i kroniki

Pamięć o wyczynach Jomswikingów – bo tak nazywano członków tej społeczności – przetrwała głównie dzięki islandzkim sagom i poematom skaldów, czyli bardów służących na dworach skandynawskich możnowładców.

Najważniejsza jest „Jomsvikinga saga", uważana za jedno z największych osiągnięć średniowiecznego pisarstwa w Islandii. Wywodząc się z tradycji ustnej, została spisana około roku 1200. Pozornie to dzieło literackie, które nie powinno być traktowane jako źródło historyczne. Co ciekawe, w różnych redakcjach sagi, pochodzących z różnych okresów, opisy Jomswikingów zmieniają się. Historyk Jakub Morawiec uważa, że różnice te wskazują na odmienne cele polityczne i kulturowe, które chcieli osiągnąć autorzy kolejnych edycji. Dziś powiedzielibyśmy, że Jomsborg był przedmiotem średniowiecznej polityki historycznej.

Jednak obecność Jomsborga w dziele tak ważnym dla kultury nordyckiej aż zachęca do poszukiwań źródeł tego mitu. Piszą o nim zresztą także skandynawscy kronikarze: wspomniany Saxo Gramatyk z Danii, Sven Aggesen (autor pierwszej historii Danii), norweski mnich Teodoryk i wielu innych. To zbliża nas do pojęcia źródła historycznego, przy czym musimy pamiętać, że oni także bazowali w dużej mierze na sagach i tradycji mówionej.

Echa tej historii brzmią zresztą w popkulturze także dziś: Jomswikingowie stali się motywem serialu „Wikingowie: Valhalla" czy serialu animowanego „Vinland Saga".

Sześćdziesiąt lat

Na podstawie różnych źródeł Jakub Morawiec ocenił, że największa aktywność Jomsborga przypadała na okres od roku 980 do 1043. Pierwsza data to moment, gdy władzę nad wyspą Wolin miał przejąć król duński Harald Sinozębny. Część kronik podaje, że to on był założycielem tej wojowniczej osady. Według innych – i według większości wersji „Jomsvikinga sagi" – założył ją jednak jego wróg: Palnatoki, jarl wyspy Fyn. Data końcowa jest zaś związana z najazdem na Wolin innego duńskiego króla, Magnusa Dobrego.

Około 60 lat to krótki okres jak na historię z tej epoki. Znacząca obecność w sagach i kronikach może więc świadczyć o dużym znaczeniu Jomsborga.

Gdzie Jomsborg, a gdzie Wolin?

Wiemy, że w tym samym czasie na wyspie Wolin położone było handlowe miasto o takiej samej nazwie.

Pierwsze wzmianki o nim pochodzą z relacji Geografa Bawarskiego z połowy IX w. Późniejsi kronikarze byli pod niezmiennym wrażeniem jego wielkości, zamożności i skali jego relacji handlowych ze światem nordyckim, zachodnim i arabskim. Adam z Bremy notował, że to „największe z miast, jakie są w Europie. Mieszkają w nim Słowianie i inne narodowości, Grecy i barbarzyńcy. Miasto to, bogate wszystkimi towarami północy, posiada wszelkie możliwe przyjemności i rzadkości". Ibrahim ibn Jakub pisał zaś, że wolinianie mieli „potężne miasto nad oceanem mające dwanaście bram. (...) Wojują oni z Mieszkiem, a ich siła bojowa jest wielka".

Opinia o Wolinie jako „największym mieście" Europy to raczej metafora oddająca wrażenie, które wywierał on na przybyszu. Według wyliczeń Filipowiaka w Wolinie żyło ok. 6,5 tys. ludzi. Jego rozkwit był efektem umiejętnego prowadzenia relacji handlowych i położenia na styku ważnych szlaków: ze wschodu na zachód, z północy na południe.

W tym momencie pojawia się kluczowe pytanie: jaki charakter miały relacje wojowniczych Jomswikingów z kupieckim Wolinem?

Do tej pory badacze krążyli wokół trzech wersji. Według pierwszej, podejmowanej często przez niemieckich historyków i archeologów, Jomsborg był osadą zupełnie niezależną, położoną w pewnej odległości od Wolina – umiejscawiali go często na wyspie Uznam, bliżej Piany lub Świny, dwóch kolejnych ujść Odry do Bałtyku.

Kolejna wersja zakładała, że Jomsborg to skandynawska nazwa Wolina, zaś źródłem legendy jest obecność Wikingów w tym mieście (warto nadmienić, że Wolin to prawdopodobnie słowiańska nazwa tego miasta; w innych językach, w tym w arabskim, stosowano odmienne nazewnictwo, najczęściej Jumne lub Jumneta).

Trzecia wersja potwierdza kwestię duńskiej kontroli nad Wolinem, jednak sama nazwa Jomsborg jest odnoszona do osady wojowników, znajdującej się w bezpośrednim sąsiedztwie miasta – miałby to być rodzaj garnizonu, który kontrolował kupiecki ośrodek i cały region. ↦

Piracka siła ukarze Norwegów

↦ Jomswikingowie odcisnęli piętno na kluczowych wydarzeniach w historii Skandynawii tego okresu.

Wiele wskazuje, że byli ważnym czynnikiem polityki Haralda Sinozębnego. Władca ten doprowadził do wzmocnienia i centralizacji duńskiego państwa, starając się rozszerzać swoje wpływy również na inne obszary Skandynawii. To mu się udało: podporządkował sobie Norwegię. Prowadził też ambitną politykę wobec Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, które dążyło do ekspansji nad Bałtykiem. W tej rozgrywce szczególne znaczenie miały dla niego słowiańskie plemiona żyjące u ujścia Odry i na zachód od niej, które traktował zwykle jako sprzymierzeńców. Jomsborg miał więc służyć umacnianiu wpływów króla tej części regionu.

I nie tylko temu. Gdy norweski jarl Hakon odmówił płacenia trybutu, Sinozębny miał zastosować szczególną karę. Duńczyk Saxo Gramatyk pisze, że król „powierzył ukaranie obrazy, której się dopuścili [Norwegowie], pirackiej sile z Wolina, którą wysłał pod wodzą Bo i Siwaldusa".

Sagi przedstawiają Jomswikingów jako społeczność łupieżczą. „Lato spędzali na wojennych wyprawach, a zimą kwaterowali tam" – głosi „Knytlinga saga". Ich aktywność nie była jednak skierowana tylko na północ. Saga „Fagrskinny" powiada, że Jomsborg przyciągał wielu możnych wojowników z Danii, „którzy podbili wiele z terytorium króla Búrizleifa, który wówczas rządził krajem Słowian".

Jomswikingowie na kartach historii

Wspomniany władca Słowian, występujący też pod imieniem Burysław, według niektórych źródeł odegrał znaczącą rolę przy powstaniu osady: miał zaprosić Wikingów do jej utworzenia. Było to raczej efektem ugody, wynikającej z konieczności ograniczenia ich najazdów. Nie jest to jednak chyba postać historyczna – pojawia się ona w skandynawskich źródłach dotyczących różnych okresów i może odnosić się zarówno do Mieszka I, jak też do Bolesława Chrobrego, Krzywoustego, a może do władców plemiennego Pomorza. Jest to więc raczej figura słowiańskiego władcy nad Bałtykiem.

Według sag rzeczony Burysław miał mieć wpływ na obsadę stanowiska przywódcy Jomsbroga. Jednym z bardziej znany jarlów był wspomniany Siwaldus (Sigvaldi), który miał zostać zięciem słowiańskiego władcy. Chcąc umocnić swą pozycję, ambitny jarl próbował wpłynąć na stan relacji między Danią a państwem nowego teścia. W tym celu – jak podają sagi – miał porwać króla Swena Widłobrodego (syna Sinozębnego) i zmusić go do rezygnacji z trybutu, który do tej pory płacił mu Burysław.

WOJCIECH FILIPOWIAK / MATERIAŁY PRASOWE

Wojciech Filipowiak i Karolina Kokora podczas wykopalisk na wyspie Wolin, październik 2021 r.

Zemsta Widłobrodego była, według „Jomswikinga sagi", przebiegła: duński król miał zaprosić wojowników z wyspy Wolin na ucztę. Upojonych alkoholem gości miał zaś zachęcać do składania kolejnych przysiąg, mających świadczyć o ich męstwie. W pijackim uniesieniu Jomswikingowie zobowiązali się podjąć wyprawę przeciw norweskiemu jarlowi Hakonowi, który zerwał stosunki z Danią, sprzeciwiając się chrystianizacji. Wyprawa ta zakończyła się sromotną klęską Jomswikingów.

Wikińska osada na wyspie Wolin miała, według sag i źródeł, odgrywać też istotną rolę w życiorysach innych władców Skandynawii: króla Norwegii Olafa I Tryggvasona i szwedzkiego królewicza Styrbjörna Olafssona. Według jednej z sag Tryggvason w młodości, którą spędzał na dworze księcia kijowskiego Włodzimierza (władcy najpewniej pochodzenia wikińskiego), miał zakochać się w córce Burysława Geirze i na jej życzenie zdobyć Jomsborg (do małżeństwa nie doszło ze względu na przedwczesną śmierć księżniczki). Natomiast Olafsson, gdy zapragnął pirackiej sławy, miał związać się właśnie z Jomswikingami.

Jomswikingowie mieli odegrać też znaczącą, choć może niezbyt chlubną rolę w bitwie pod Svold, która rozstrzygnęła o przyszłości Skandynawii. W roku 999 lub 1000 siły norweskie pod wodzą Tryggavsona poniosły tam porażkę w walce ze sprzymierzonymi siłami Danii i Szwecji. Jomswikingowie mieli wesprzeć króla Norwegii, jednak na początku bitwy zmienili sojusze – tak opisał te wydarzenia islandzki bard Snorri Sturluson, urodzony 170 lat później. Zdrada Jomswikingów przyczyniła się do klęski Norwegów, którzy odtąd przestali być liczącym się graczem w regionie Bałtyku.

Kto buduje twierdzę na cmentarzu?

Wróćmy do współczesności – i do poszukiwań Jomsborga.

Gdy władze dzisiejszego Wolina podjęły decyzję o rewitalizacji parku znajdującego się na Wzgórzu Wisielców oraz o zbudowaniu tam wieży widokowej, Wojciech Filipowiak od razu pomyślał o możliwościach, jakie to daje – o spodziewanych ciekawych znaleziskach.

Oczekiwał przede wszystkim, że znajdzie miejsca pochówku. Wszyscy wcześniejsi badacze traktowali to wzgórze jako miejsce sakralne. W dyskusjach, jakie toczyły się przed II wojną światową, Jomsborg lokowano raczej na terenie Srebrnego Wzgórza, znajdującego się po przeciwnej, północnej stronie miasta Wolin. – Zbyt wiele tamtejszych znalezisk wskazywało jednak na typowo rzemieślniczy charakter tego miejsca, to nie mogła być twierdza – mówi mi Filipowiak.

Pierwsze zaskoczenie przyszło, gdy rozkopując Wzgórze Wisielców odnalazł kurhan: miejsce pochówku, które przybiera zwykle formę niewielkiego pagórka. Oznaczało to, że ukształtowanie terenu znacznie się zmieniło. Góra piaskowa, do lat 30. XX w. niezalesiona, pod naporem zachodnich wiatrów zmieniała swój kształt. Popchnęło go to do dalszych badań, prowadzonych we współpracy z dr Karoliną Kokorą, dyrektorką Muzeum Regionalnego im. Andrzeja Kaubego w Wolinie. Pod kolejną warstwą gruntu odkrył pas, a w zasadzie fałdę ubitej ziemi. Karolina Kokora zwróciła uwagę na fakt, że może to być element umocnienia.

Kto buduje twierdzę na cmentarzu, będącym przecież sferą sacrum? Ten, kto chce pokazać, że twoje sacrum ma w głę-

WOJCIECH FILIPOWIAK / MATERIAŁY PRASOWE

Wykopaliska na wyspie Wolin, które archeolodzy interpretują jako fragment wikińskich umocnień. Wrzesień 2021 r.

bokim poważaniu i teraz to on sprawuje nad tym miejscem władzę absolutną. – Wyobraź sobie, że najeżdża nas Rosja i swe lokalne centrum dowodzenia stawia na Powązkach – tłumaczy obrazowo Filipowiak.

Nowa optyka

Przełomowa była konkluzja, że analogiczna sytuacja występuje w przypadku dwóch największych skandynawskich ośrodków rzemieślniczo-handlowych z tego okresy: Hedeby (na pograniczu duńsko-niemieckim) i Birce (na wysepce koło Sztokholmu). Tu również garnizon powstał na pobliskim wzgórzu, również na miejscu wcześniejszych pochówków.

Kolejną wskazówkę dała etymologia, czyli odpowiedź na pytanie o znaczenie określenia „jom" (w innych wersjach: jum, jóm, jume). Często wywodzi się je od słowiańskiej „jamy", z którą utożsamiano lagunę, jaką jest Zalew Szczeciński. Z perspektywy morskiej był to rodzaj schronienia (jamy), w którym rozwinęły się Wolin (Jume, Jumneta) i Jomsborg. Zmieniając optykę na skandynawską, przyjdzie nam za to sięgnąć po szwedzkie słowo Hjome – wzgórze.

– Dziwna u samego ujścia do morza była zbyt zapiaszczona, by mogły tamtędy pływać większe statki. Droga wodna do miasta wiodła więc od Zalewu, na który wpływało się przez Świnę lub Pianę. A co rzuca się jako pierwsze w oczy, gdy płyniesz do Wolina od tej strony? – pyta Filipowiak. To właśnie Wzgórze Wisielców.

Choć przez co najmniej kilka nocy archeolog z Wolina nie mógł spać, to podszedł do swego odkrycia na chłodno. Najpierw przedstawił swoją koncepcje gronu wybitnych badaczy tego zagadnienia, którzy w maju 2022 r. przybyli do Wolina ze Skandynawii, Niemiec oraz z polskich ośrodków.

– Nikt mnie nie wyśmiał – wspomina Filipowiak, by za chwilę wyjaśnić: – Cały czas czekałem, aż ktoś rzuci coś, o czym do tej pory nie pomyślałem, co zupełnie rozłoży moją teorię. Nic takiego nie padło do tej pory. A niektórzy koledzy, jak Sven Kalmring, który bada Hedeby, bardzo zapalili się do tego pomysłu.

Badacze wczesnośredniowiecznego Wolina przez długi czas patrzyli na Wzgórze Wisielców jak na cmentarzysko. Sfera sacrum przysłaniała inne możliwości, więc Jomsborga szukano wszędzie indziej. Odkrycia archeologiczne, analogie z miastami skandynawskimi i zmiana perspektywy etymologicznej pozwalają przyjąć zupełnie nową optykę. Wtedy panorama rozpościerająca się ze Wzgórza sprawia, że trudno sobie wyobrazić, by miejscowa twierdza mogła powstać gdzie indziej.

Co ma wisieć, nie utonie

Wiele wskazuje, że jesteśmy bliżej poznania odpowiedzi na szereg pytań o historię relacji bałtyckich Słowian ze Skandynawami. Kolejnym krokiem mogą być szerokie badania na Wzgórzu Wisielców i w centrum Wolina, planowane wspólnie przez Pracownię Archeologiczną PAN, Muzeum i władze miasta. Inicjatywą zainteresowała się ambasada Danii, co zwiększa szanse na realizację ambitnego projektu.

Mit Jomsborga przez wieki funkcjonował równolegle z legendą Winety – „bałtyckiej Atlantydy", bogatego i potężnego miasta u ujścia Odry do Bałtyku, które zniknęło z mapy. Jomsborg i Winetę można traktować jako dwa odpryski historii wczesnośredniowiecznej potęgi Wolina. Jeden, skupiony na pirackiej chwale, zapisał się w kulturach północnego Bałtyku. Drugi – przywołujący bogactwo i niezależność tutejszych kupców – na południu, w kulturach słowiańskich i niemieckiej.

Legenda o Winecie mówi, że miasto zostało zatopione przez gniew bogów. Jego mieszkańcy żyją jednak pod wodą, dlatego czasem z toni Zalewu Szczecińskiego i Dziwny słychać bicie dzwonów. A raz na jakiś czas miasto wyłania się na powierzchnię.

Jeśli odkrycia Filipowiaka potwierdzą się, te dwie powieści splotą się w zaskakujący sposób: Jomsborg, zbudowany przez najeźdźców na grobach, został na tysiąc lat zatopiony przez kolejne pochówki, a teraz wyłonił się z toni Wzgórza Wisielców.

Tyle legendy. W naukowej rzeczywistości widzimy, że w naszej historii jest jeszcze wiele do odkrycia. Czasem trzeba tylko zmienić perspektywę.

© PIOTR OLEKSY

Korzystałem z prac Jakuba Morawca „Wolin w średniowiecznej tradycji skandynawskiej", „Kontakty Olafa Tryggvasona z Jomsborgiem – pomiędzy legendą historyczną a rzeczywistością", „Jeszcze raz o Styrbjörnie Olafssonie i jego związkach z Jomsborgiem" oraz Błażeja Stanisławskiego „Jómswikingowie z Wolina-Jómsborga. Studium archeologiczne przenikania kultury skandynawskiej na ziemie polskie".

NAUKA

ŚWIAT MYSZY

EWELINA KNAPSKA, NEUROBIOLOŻKA:

Kiedy się nie znają i muszą ustalić, kto jest kim, może pojawiać się agresja. Ale gdy ustalą hierarchię, zachowują się pokojowo. Hierarchia to sposób na minimalizowanie przemocy w grupie.

KAROLINA GŁOWACKA: Pani mózg jest towarzyski?

EWELINA KNAPSKA: Oczywiście! Mózgi większości z nas są towarzyskie. Niektórzy są bardziej towarzyscy, inni mniej, ale póki nie mówimy o zaburzeniach, to potrzebujemy kontaktu z innymi ludźmi, żeby dobrze funkcjonować. Świadczą o tym np. negatywne efekty izolacji społecznej. Odrzucenie przez naszą grupę społeczną ma bardzo poważne konsekwencje.

Pamiętam takie sytuacje ze swojego dzieciństwa. Wystarczyło, że Pani o tym wspomniała, a się wzdrygnęłam.

Prawda? Budowanie relacji społecznych rozwija nasze umiejętności. Kiedy jesteśmy dziećmi, dążymy do wchodzenia w interakcje i jednocześnie uczymy się, jak to robić. Jeśli jesteśmy dobrze zsocjalizowani i mamy pozytywne interakcje, to one nam przynoszą wiele radości, doprowadzają nas do celu, czyli do poczucia akceptacji.

Natomiast jeżeli coś przebiega źle, np. z jakiegoś powodu mamy obniżoną motywację, żeby w ogóle rozpoczynać interakcje społeczne, albo nie dajemy sobie rady z odczytywaniem, czego druga osoba by chciała, jakie ma emocje, to nie reagujemy właściwie, a interakcje społeczne przestają być przyjemne. To jest w dużej mierze problem w autyzmie.

Zostańmy jeszcze chwilę w ramach „normy". Wydaje się ona szalenie szeroka. Chyba każdy zna osoby hipertowarzyskie i takie, którym wystarczy czasem pogadać z jedną osobą.

W dzisiejszym świecie jest bardzo duży nacisk na to, żeby być towarzyskim. Oczekuje się, że dzieci będą towarzyskie. Tymczasem zróżnicowanie jest naturalne. Jeśli dana osoba reguluje sobie poziom socjalności na skromnym poziomie, ale jest przy tym szczęśliwa, to jest jak najbardziej OK. Problem zaczyna się wtedy, kiedy dana osoba chciałaby mieć interakcje społeczne, ale z różnych powodów nie jest w stanie ich utrzymywać.

A druga skrajność? Można być przesadnie towarzyskim?

Można i może to wynikać z choroby genetycznej. Przykładem takiej choroby jest zespół Williamsa. Takie osoby są nadmiernie towarzyskie, również w stosunku do obcych. Narzucają się, nie respektują przyjętych norm społecznych, takich jak różnicowanie zachowania w zależności od stopnia znajomości danej osoby. To bywa źle odbierane przez partnerów interakcji.

W którym miejscu naszego mózgu mieszka towarzyskość?

Nie ma wydzielonego jednego obszaru. Mamy zestaw struktur, które są istotne w interakcjach. To będzie np. kora zakrętu obręczy, kora wyspowa, ciało migdałowate czy skrzyżowanie ciemieniowo-skroniowe. Wiemy, że te struktury są ważne, dlatego że badaliśmy ludzi, którzy leżeli w skanerze, i mogliśmy obrazować aktywność ich mózgu w reakcji na bodźce społeczne, np. filmiki, które przedstawiały sytuacje społeczne. Struktury się aktywowały, ale sama aktywacja wszystkiego nie wyjaśnia. W badaniach na ludziach nie mamy wystarczająco dobrej rozdzielczości, żeby zrozumieć, jak mózg kontroluje zachowanie. Dlatego próbujemy modelować takie zachowania u myszy. Staramy się chociażby dowiedzieć, co dzieje się w obrębie struktur tworzących tzw. układ nagrody. Aktywują się w czasie przyjemności, u myszy to zwykle zjedzenie czegoś słodkiego.

Nie wiedziałam, że myszy lubią słodycze.

Tak, bardzo! Woda z cukrem, dziesięcioprocentowy roztwór, to coś, czemu nie mogą się oprzeć.

Powiedziała Pani, że nie mamy wystarczającej rozdzielczości w przypadku ludzi. Co to znaczy?

Ludzki mózg badamy, korzystając np. z funkcjonalnego rezonansu

magnetycznego (fMRI). To nam pozwala na obserwacje aktywności całych struktur w mózgu. Nie widzimy natomiast, jak to działa poziom niżej: w obwodach czy grupach neuronalnych. Ta rozdzielność się oczywiście poprawia, również w przypadku badań na ludziach. Np. ciało migdałowate, moją ulubioną strukturę, jeszcze parę lat temu mogliśmy oglądać tylko jako całość. Obecnie dzielimy ją na dwie zasadnicze części, które się u zwierząt mocno różnią funkcjonalnie. Możemy to już zobaczyć również u ludzi, co pozwala nam przypuszczać, że u ludzi struktury te pełnią podobną funkcję jak u innych zwierząt. Natomiast u myszy jesteśmy w stanie nimi dość precyzyjnie manipulować. U ludzi nie zdecydujemy się na takie badania ze względów etycznych.

Ale co nam da zbadanie mysiego mózgu, skoro chodzi nam ostatecznie o mózg ludzki?

Bo podstawowe obwody związane z nagrodą są – jak to mówimy – konserwowane ewolucyjnie, tzn. są podobne u zwierząt i ludzi.

Czyli tak samo się cieszymy z lodów, jak mysz z tej wody z cukrem?

Tak, wygląda na to, że w przypadku podstawowych nagród to są te same struktury i te same mechanizmy.

Ale dlaczego u myszy może Pani uzyskać lepszą rozdzielczość? Przecież mysz jest mniejsza.

Tak, ale u myszy możemy wprowadzić konstrukty genetyczne do określonych komórek i precyzyjnie monitorować ich aktywność. Mysz sobie żyje, ma się dobrze, a my jesteśmy w stanie włożyć jej do głowy sondę albo mały mikroskop, który obrazuje nam komórki aktywne w danym momencie, pokazuje, jaką ten proces ma dynamikę. Szczególnie chcemy zobaczyć, jak wygląda dynamika wydzielania się dopaminy, kluczowego neuroprzekaźnika w układzie nagrody, w kontekście towarzyskości.

Tych maleńkich mikroskopów nie można użyć w ludzkim mózgu?

To dosyć inwazyjne. Trzeba zrobić dziurkę w czaszce, a potem w mózgu, żeby dojść do interesującej nas struktury. Taki zminiaturyzowany miniskop, bo tak nazywamy te urządzenia, jest co prawda mały i cienki, ale jednak trzeba go włożyć do głowy, niszcząc okoliczne komórki.

A już się miałam zgłaszać...

Wracając do myszy – wprowadzamy do komórek konstrukt genetyczny, który kodując białko światłoczułe pozwala nam kontrolować ich aktywność. Ta technologia nazywa się optogenetyką. Potem wprowadzamy tam światłowód. Światłem możemy neuron albo pobudzić, albo zahamować na wybrany przez nas okres. Do jakiegoś stopnia jesteśmy w stanie naśladować naturalne działanie komórek nerwowych, chociaż to nie jest jeszcze idealne.

Czyli możecie przy pomocy światła sterować zachowaniem? ↦

Badylarka pospolita (Micromys minutus), gatunek myszy występujący w Europie i Azji.

OUR WILD LIFE PHOTOGRAPHY / ALAMY / BE&W

↦ Właśnie tak. Kiedy pobudzimy albo zahamujemy jakąś grupę neuronów, to obserwujemy – albo nie – zmiany w zachowaniu. Jesteśmy w stanie powiedzieć, czy te neurony, które się aktywowały i które widzieliśmy w miniskopie, sprawiły, że mysz zachowała się mniej lub bardziej towarzysko.

Myszy potrzebują obecności innych myszy?

Tak, mają wyraźne potrzeby społeczne. Odizolowanie myszy od innych zwierząt i trzymanie jej samodzielnie w klatce powoduje u niej stany depresyjne i silny stres. Zalecenia dla osób prowadzących badania na zwierzętach są takie, że zasadniczo nie wolno ich izolować, chyba że ma to bardzo ważne uzasadnienie. Kiedy wnioskujemy do komisji etycznej o zgodę na badania, to jest jedna z rzeczy, którą musimy przedstawić: jak mysz będzie mieszkała.

Myszy się zwykle obwąchują, z przodu albo w okolicach ogona. My jesteśmy wzrokowcami, myszy to zapachowce, w okolicach głowy i ogona mają gruczoły wydzielające substancje zapachowe, które są dla nich interesujące. Przejawiają też szereg zachowań dominacyjnych, np. jedna przyciska drugą do podłoża.

Jak reaguje mysz prześladowana?

Mysz stojąca niżej w hierarchii zwykle się po prostu oddala. Większość interakcji społecznych nie wiąże się z agresją. Kiedy myszy się nie znają i muszą ustalić, kto jest kim w grupie, może pojawiać się agresja. Kiedy jednak ustalą już hierarchię, zachowują się pokojowo. Hierarchia to sposób na minimalizowanie zachowań agresywnych w grupie.

Jak Wasze badanie wygląda w praktyce?

Myszy przebywają w systemie Eco-HAB złożonym z czterech klatek połączonych korytarzami. To zautomatyzowany system, dzięki temu ich nie dotykamy, nie stresujemy, bo człowiek to dla nich drapieżnik. Dajemy im całkiem spore terytorium, więc mogą sobie wybierać, z kim spędzają czas: same czy z jakąś podgrupą innych myszy. Zwykle mamy od dziesięciu do piętnastu osobników w grupie. Myszy mogą się przemieszczać pomiędzy klatkami. Każde przemieszczenie jest rejestrowane. Analizując te dane, możemy sprawdzać, jak często wybierają klatki, w których są inne myszy. Patrzymy też, czy chodzą za sobą w tych korytarzach. To zachowanie, które pokazuje dominację. Myszy dominujące często ścigają inne. Liczba takich zachowań jest dobrą miarą dominacji, pozwala ustalić, które zwierzę jest wyżej, a które niżej w hierarchii.

Po jakimś czasie, kiedy już wiemy, kto jest kim, możemy się przyjrzeć, co dzieje się z dopaminą w układzie nagrody. Czy poziom aktywacji tego układu jest związany z poziomem towarzyskości. Na razie przeprowadziliśmy pierwsze badania, nie zebraliśmy jeszcze wystarczająco dużo wyników, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

Badania w klatce wystarczają?

Zaczęliśmy robić też doświadczenia półterenowe. Wpuszczamy myszy do zewnętrznej woliery i sprawdzamy, jak one się zachowują, czy mają terytoria, bo w laboratorium rzeczywiście trudno badać zachowania terytorialne. Trzymamy je w nieco bardziej wymagających warunkach, które sprawiają, że myszy mają motywację do budowania swojego terytorium. To się nie dzieje np. w spichlerzach, gdzie jedzenia jest pod dostatkiem.

I teraz: myszy dominujące kontrolują określone terytorium, a reszta submisywnych, czyli niżej w hierarchii, zwykle siedzi w podgrupach. Ale są też myszy zupełnie z dołu hierarchii, które siedzą w kącie, tacy outsiderzy. Wydaje się, że na podstawie tego, co widzimy w naszej automatycznej klatce, da się przewidzieć, kto jak się będzie zachowywał w terenie; można więc tu mówić o cechach konkretnych myszy. Nasze badania mają także na celu dowiedzenie się, czy myszy dominujące są też bardziej towarzyskie, częściej wchodzą w interakcje społeczne z innymi, tak jak to jest np. u naczelnych.

Interesujące są też myszy będące modelem autyzmu, tzn. unikające kontaktów z innymi osobnikami. To szczep BTBR, został wyhodowany na potrzeby badań fizjologicznych, a okazało się, że wykazują cechy autystyczne. Są duże, półtorej wielkości typowej myszy, i trochę przypominają jamniki, mają podobnie podpalane brzuszki. Duża, solidna mysz. To istotne, dlatego że zwykle większe myszy mogą być bardziej dominujące. Nie w przypadku BTBR. W ramach doświadczeń połączyliśmy taką autystyczną mysz z typową czarną laboratoryjną myszą. Okazało się, że te myszy, mimo że większe, w ogóle nie chciały wchodzić w interakcję. Siedziały w kącie klatki odwrócone głową do jej rogu, a zwykłe myszy je gryzły, chociaż zwykle nie przejawiają agresji. One, owszem, mogą walczyć, mogą próbować ustawić sobie jakąś hierarchię na początku. Ale nie jest tak, że jedna mysz usiłuje zagryźć drugą. A tutaj gryzły je tak, że musieliśmy przerwać eksperyment. Nie spodziewaliśmy się takich wyników. Prawdopodobnie coś w zachowaniu myszy autystycznej, może w jej zapachu, powodowało tę agresję.

Na ile mysie modele możemy przekładać na sytuację człowieka? Mówi Pani o autystycznych myszach czy o depresji, zaznaczając równocześnie cudzysłów i podkreślając, że nie da się tego jednoznacznie interpretować.

Staramy się być bardzo ostrożni. Mysz niewątpliwie potrzebuje kontaktów społecznych, podobnie jak my. Natomiast samo zachowanie społeczne jest inne niż nasze – my się nie obwąchujemy. Szeregu innych rzeczy, które myszy robią, też nie robimy w ten sam sposób.

Podobnie z zachowaniami autystycznymi. To podobieństwo jest takie, że autyzm polega na problemach we wchodzeniu, utrzymywaniu i rozumieniu interakcji społecznych. Ale sama interakcja wygląda zupełnie inaczej; na poziomie zachowania nie możemy tego odnieść jeden do jednego.

Nie wiemy też, co mysz myśli, więc nie możemy tego odnieść również subiektywnie. Natomiast to, co wydaje się wspólne, to fakt, że motywacja do tego, żeby coś zrobić, żeby wejść w interakcję społeczną, angażuje podobne struktury. Prawdopodobnie układ nagrody, który badamy i który jest bardzo stary ewolucyjnie, angażuje do podobnych działań i myszy, i ludzi. To sprawia, że mysi model jest użyteczny.

Potrafimy już oddziaływać na plastyczność neuronalną w określonych strukturach ludzkiego mózgu. Możemy je stymulować – nie tak precyzyjnie jak u zwierząt, ale możemy to robić. Natomiast nie można tego robić w ciemno, a badania na myszach dają nam wiele odpowiedzi: rozumiemy, gdzie i jak coś się dzieje.

Potem sprawdzamy, czy u człowieka w podobnych sytuacjach – np. rozpoczynania interakcji społecznej – aktywuje się konkretna struktura. W następnym kroku możemy się zastanowić, jak zaprojektować terapię, która by celowała w tę strukturę i pobudzała jej aktywność, np. podczas jakiegoś treningu. Dzięki badaniom, znów na myszach, wiemy, że da się tę plastyczność podnieść.

Jak się tego dowiedzieliście?

Sprawdzaliśmy to u myszy będących modelem łamliwego chromosomu X. Chodzi o specyficzne zaburzenie, powodowane mutacją w jednym konkretnym genie. Mutacja ta, zarówno u ludzi, jak i u myszy skutkuje m.in. problemami z uczeniem się. Stwierdziliśmy, że u takich myszy zaburzona jest plastyczność w określonym obwodzie neuronalnym w ciele migdałowatym. W efekcie myszy miały problem ze znajdowaniem nagrody w środowisku. Kiedy znormalizowaliśmy im plastyczność i dostarczyliśmy możliwość trenowania tej umiejętności, to zaczęły się uczyć tak jak zdrowe myszy. Jak widać, oddziaływanie na specyficzną część mózgu może być bardzo efektywne.

Jak wygląda takie naprawianie mózgu?

Wstrzyknęliśmy substancję stopniowo uwalniającą związek, który powodował, że plastyczność wracała do normy. Substancja nazywa się TIMP1 i powoduje zahamowanie aktywności białka MMP9, którego w tym zaburzeniu jest za dużo. Kiedy przywróciliśmy jego właściwy poziom, myszy zaczęły dobrze funkcjonować.

W przypadku ludzi też myśli się, na razie teoretycznie, o zastosowaniu takiej dość precyzyjnej metody. Szeroko na neuroplastyczność wpływamy już teraz np. lekami antydepresyjnymi.

Taką ingerencję w pracę mózgu wyobrażałam sobie raczej jako podpięcie kabelków.

Są i takie metody. Jest np. TMS, nieinwazyjna, przezczaszkowa stymulacja mózgu. Można powodować albo pobudzanie, albo hamowanie określonych obszarów mózgu. Tyle że TMS dociera niezbyt głęboko, możemy nią działać tylko w zewnętrznej warstwie mózgu – korze mózgowej. W badaniach naukowych używa się też ultradźwięków. One sięgają do struktur podkorowych i pozwalają na dość precyzyjne działanie. Jeszcze nie do końca wiemy, jak to działa, ale działa. W przyszłości mogą z tego wyłonić się metody terapeutyczne.

MATERIAŁY PRASOWE NCN

DR HAB. EWELINA KNAPSKA,
prof. Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego PAN, kierowniczka Pracowni Neurobiologii Emocji. Skończyła biologię, psychologię, doktoryzowała się z neurobiologii. W 2016 r. otrzymała prestiżowy grant ERC Starting na zbadanie roli ciała migdałowatego w kontroli pozytywnych i negatywnych emocji przekazywanych społecznie. Obecnie realizuje grant MAESTRO NCN „Mechanizmy towarzyskości: neuronalne podstawy różnic w zachowaniach społecznych". Wcześniej badała również mechanizmy kierujące strachem.

W jakich chorobach czy zaburzeniach widziałaby Pani zastosowanie terapii wykorzystujących neuroplastyczność mózgu, stymulujących jego konkretne obszary?

Na pewno interesującym kierunkiem byłaby depresja, gdzie występują zaburzenia motywacji, ale też różne przypadki zaburzeń interakcji społecznych. Przy czym samo pobudzenie plastyczności przez stymulację mózgu nie wystarczy, natomiast połączone np. z treningiem umiejętności społecznych prawdopodobnie poprawiłoby jego skuteczność. Każda psychoterapia jest oparta na pewnej plastyczności, na przebudowie mózgu, więc to się wydaje interesującym kierunkiem.

Myślę o autyzmie. Osoby w spektrum autyzmu często ostro krytykują próby naprawiania ich mózgów, próbę dostosowania ich na siłę do ogółu. Wyobrażam sobie, że gdyby pojawiła się metoda stymulowania mózgu tak, że zwiększa się potrzeby społeczne, ale nie pójdą za tym umiejętności, to zamiast pomóc, można zrobić mu większą krzywdę.

Jeszcze długa droga przed nami, żeby robić to bezpiecznie. Poruszyła pani ważny temat – gdzie jest granica między chorobą, zaburzeniem a cechą osobowości. Wolałabym, żeby ludzi, którzy się czują dobrze ze sobą i nie stanowią problemu społecznego, np. z powodu agresji czy nieprzystosowania, traktować jako mieszczących się w normie. Jesteśmy różnorodni, powinniśmy tacy być i nie ma tu czego naprawiać.

Ale spektrum autyzmu to złożony problem i są osoby, które wymagają pomocy, wykazują np. zachowania autoagresywne. Obecnie jesteśmy im w stanie zaoferować tylko terapię behawioralną, która nie wszystkim pomoże.

Zajmuje się Pani mózgiem już tyle lat. Gdzie w nim jest nasze „ja"?

To trudne, filozoficzne pytanie. Ja przyjmuję pogląd, że mózg to umysł, że jesteśmy w mózgu.

Ja się czuję tą szarą mazią, nie jakąś chmurą ponad tym.

Niestety ryzyko jest takie, że jeśli pogrzebiemy w tym szarym organie, to przestajemy być sobą. To z jednej strony piękne, z drugiej groźne. Warto zdać sobie sprawę, że wciąż mało wiemy. Mózg jest naprawdę niezwykle złożony. W badaniach schodzimy coraz głębiej i głębiej, próbując zrozumieć mechanizmy na poziomie neuronów, synaps, białek czy innych czynników molekularnych, genów. Ale pozostaje pytanie: jak to działa jako całość? Brakuje nam wiedzy integrującej dane.

Nie wiadomo, czy mózgiem można zrozumieć mózg.

To prawda.

Może by Pani zapytała sztuczną inteligencję? Czy już to Pani zrobiła?

Pytałam już ChatGPT o różne rzeczy, ale o to jeszcze nie. Zobaczymy, w którą stronę on pójdzie. Niestety nie sądzę, żeby poszedł w stronę rozumienia mózgu.

© Rozmawiała KAROLINA GŁOWACKA

W Sądzie Rejonowym w Bielsku-Białej Wydziale I Cywilnym (przy ul. Mickiewicza 22) toczy się sprawa o sygn. akt I Ns 157/23 z wniosku Józefa Lechowicza o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Szczyrku, jednostka ewidencyjna 240201_1 Szczyrk, stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 2649.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym wypadku postępowanie może toczyć się bez ich udziału, zaś Sąd może stwierdzić zasiedzenie prawa własności nieruchomości, o ile zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 342/22 toczy się postępowanie z wniosku Wacławy Strońskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Antoninie Piaseckiej z d. Wnuk, zm. 2 grudnia 2020 r. w Markach, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ulicy Pruszkowskiej 4B, c. Zdzisława i Kazimiery.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla. m.st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 86/23 toczy się postępowanie z wniosku Edwarda Kulińskiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Bełżyce Centrum obręb 0004 stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 712, o powierzchni 0,0730 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców po Stanisławie Kamińskim, s. Andrzeja i Małgorzaty, do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie sygn. akt I Ns 115/23 z wniosku Zbigniewa Dudy z udziałem Janiny Dudy o zasiedzenie niezabudowanych działek nr 1055 o powierzchni 0,7619 ha, nr 1080 o powierzchni 0,0991 ha i nr 1081 o powierzchni 0,6435 ha, położonych w Starym Dzikowie, gm. Stary Dzików, powiat lubaczowski, których prawo własności w księdze wieczystej PR1L/00000307/8 prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Lubaczowie IV Wydział Ksiąg Wieczystych wpisane jest na rzecz Franciszka Kwaterczaka, s. Franciszka i Katarzyny, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do tej nieruchomości, aby w terminie 3 miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział i udowodniły swoje prawa do przedmiotu zasiedzenia.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 97/23 toczy się postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Marku Janie Wojewódzkim ur. 11 czerwca 1954 r., s. Kazimierza i Anny, zm. 22 maja 2018 r. w Ząbkowicach Śląskich, ostatnio zamieszkałym w Złotym Stoku.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Marku Janie Wojewódzkim, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 224/23 toczy się postępowanie z wniosku Józefa Szeląga o stwierdzenie nabycia przez Franciszkę Szeląg w drodze uwłaszczenia własności nieruchomości położonej w Czarnochowicach (gm. Wieliczka), stanowiącej działkę ew. 218 odpowiadającą pr. gr. 370/2 objętej KW nr KR1I/00000202/4.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności następców prawnych osób ujawnionych w ww. KW, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swoje prawa do wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi uwłaszczenie, o ile zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 490/22 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Jakubowiczu, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Oławie (55-200) przy ul. Sportowej 58/20. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 423/22 toczy się postępowanie z wniosku Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej im. E. Kwiatkowskiego w Tarnowie o stwierdzenie nabycia spadku po Bronisławie Chara, s. Stanisława i Michaliny, zm. 13 listopada 2020 r. w Tarnobrzegu, jego ostatnim miejscu zamieszkania.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

JACEK

Podsiadło:

Bezbarwna wsypa, cegła, chłód

Czy jest możliwe napisanie śmiertelnie nudnej książki dotyczącej Holokaustu? Marta Cobel-Tokarska udowodniła, że dałoby się. Trzeba by tylko zrezygnować z cytowania relacji jego ofiar i świadków. Wydana przez instytut pamięci, przepraszam za wyrażenie, narodowej książka „Bezludna wyspa, nora, grób. Wojenne kryjówki Żydów w okupowanej Polsce" jest pracą najwyraźniej naukową. Pracę naukową rozpoznajemy po tym, że podobnie jak wypracowanie jest pracą na jakiś temat, składa się ze wstępu, rozwinięcia i zakończenia, ponadto posiada cechy, którymi nad wypracowaniem góruje: definicję tematu i określony cel; dodatkowo każdy jej rozdział może zawierać osobny wstęp, w którym autor zapowiada, co będzie dalej, i swoje własne zakończenie, w którym autor wyjaśnia, co napisał przed chwilą.

W pierwszym zdaniu Cobel-Tokarska informuje, o czym to będzie: „W mojej książce zajmuję się przestrzennym aspektem kryjówek istniejących w czasie II wojny światowej na terenie Polski". W drugim zapytuje: „Dlaczego zainteresowałam się tak odległym w czasie zjawiskiem społecznym, (...) czemu – by je opisać – wybrałam właśnie kategorię przestrzeni?". W trzecim, zamiast odpowiedzieć na pytania, skoro już je, całkowicie niepotrzebnie, postawiła, obiecuje: „Spróbuję pokrótce odpowiedzieć na te pytania".

Technikę tę, przypominającą Huberta Urbańskiego u szczytu swych możliwości zapytywawczych, wykorzystuje wielokrotnie. „Dlaczego z ogromu wątków i zagadnień, jakie można wyróżnić w historii Zagłady, wybrałam właśnie kryjówki? Odpowiedź na to pytanie jest złożona". Czy dowiadujemy się w końcu, dlaczego wybrała kategorię przestrzeni? Tak. Bo intrygowało ją takie „wyzwanie".

Czego jak czego, ale definicji autorka nam nie żałuje. Z jej książki dowiemy się nie tylko, co to jest kryjówka („definiuję »kryjówkę« jako miejsce, które z założenia miało być bezpieczniejsze niż zewnętrzny świat i w którym człowiek miał pozostać niewidoczny"), jak powstaje („Miejsce staje się kryjówką w chwili, gdy zajmie je w tym celu człowiek potrzebujący schronienia") i czym się różnią kryjówki tymczasowe od długoterminowych, samodzielne od wspomaganych a samotne od grupowych, ale też co to jest przestrzeń („Jak należy rozumieć przestrzeń? Dla naukowców różnych dziedzin jest ona wyjątkowo uniwersalnym pojęciem, stąd mnogość definicji"), samotność („postanowiłam skupić się na »fizycznym« rozumieniu samotności i jako »samotne« opisać kryjówki, w których ukrywała się po prostu jedna osoba"), dom oraz anachronizm („Analizując pojęcie domu, musimy unikać anachronizmu, czyli patrzenia ze współczesnej perspektywy").

Wielokrotnie przywołuje prace innych autorów, m.in. Barbary Engelking i Jacka Leociaka. Prawdopodobnie wydaje jej się, że staje z nimi w jednym szeregu, kiedy tak naprawdę pozostaje daleko w tyle. Raz nawet, kiedy podkreśla, że jej książka jest pierwszą monografią kryjówek żydowskich, wydaje się być bliska uświadomienia sobie tego. „Można postawić w tym miejscu pytanie, dlaczego tak jest – skoro o Zagładzie powstały do tej pory dziesiątki prac naukowych w Polsce, a tysiące na świecie". Niestety, zamiast zatelefonować do przyjaciela, wybiera odpowiedź nieprawidłową: jej zdaniem badacze unikają tematu ukrywania się Żydów, ponieważ zajęci są dyskusją, czy Żydzi powinni byli próbować ucieczek z gett, czy w nich pozostawać, w związku z czym „punkt ciężkości przesunął się w stronę sporu pomiędzy ekstremami".

Książek o ukrywaniu się Żydów napisano już wiele, tylko wszystko to było zarazem książkami o Żydach. Dla Cobel-Tokarskiej natomiast Żyd jest tylko dodatkiem do kryjówki, która ją nadzwyczajnie interesuje. Dlatego w całej tej monografii warte lektury są tylko cytaty – to w nich los ludzi wybija się na pierwszy plan. A przede wszystkim on nas interesuje w przypadku każdej opowieści o Holokauście.

O kryjówkach, na których tak się skupia, autorka też nie ma wiele ciekawego do powiedzenia. Próbuje to „niewiele" spotęgować słowotokiem, z którego nic nie wynika. Zilustruję to pierwszym z brzegu przykładem, ale mogłyby ich być dziesiątki.

Rozdział „Kryjówka jako przestrzeń społeczna" mógłby zaczynać się zdaniem: „Totalitarny charakter niemieckiej okupacji zmuszał Żydów do rozpaczliwych prób ukrycia się". Autorce ta skromna treść zabiera trzy akapity, bo najpierw musi wyjaśnić, że „Wojna i okupacja to czas chaosu i przemocy, władzy narzuconej i groźnej". Potem trzeba nie tylko wyjaśnić, że okupacja była totalitarna, ale i udowodnić to. W tym celu przywołuje definicję totalitaryzmu Kołakowskiego, owszem, ciekawą i trafną, ale znaną mi już z lektury Kołakowskiego. Potem wyjaśnia, że tak w ogóle, proszę państwa, to wszystko, o czym mówimy, działo się podczas wojny i gdyby nie wojna, to nie byłoby o czym gadać: kryjówka jest „wytworem struktury społecznej, która ukształtowała się w konkretnym momencie historycznym: w czasie panowania totalitarnego systemu narzuconego przez okupanta. Konieczność powstania kryjówki wiąże się z zaistnieniem sytuacji zagrożenia grupy społecznej, którą »wyznaczyli« Niemcy. Kryjówki powstają więc jako produkt rzeczywistości Zagłady i to jest ich szeroki kontekst społeczny i historyczny zarazem. Na drugim poziomie kryjówka jest wytworem konkretnych ludzi. Można zastosować tu następującą klasyfikację...". Tu następują definicje pięciu kolejnych rodzajów kryjówek odkrytych przez badaczkę. Jeśli jesteście ich ciekawi, koniecznie sięgnijcie po „Bezludną wyspę, norę, grób". ©

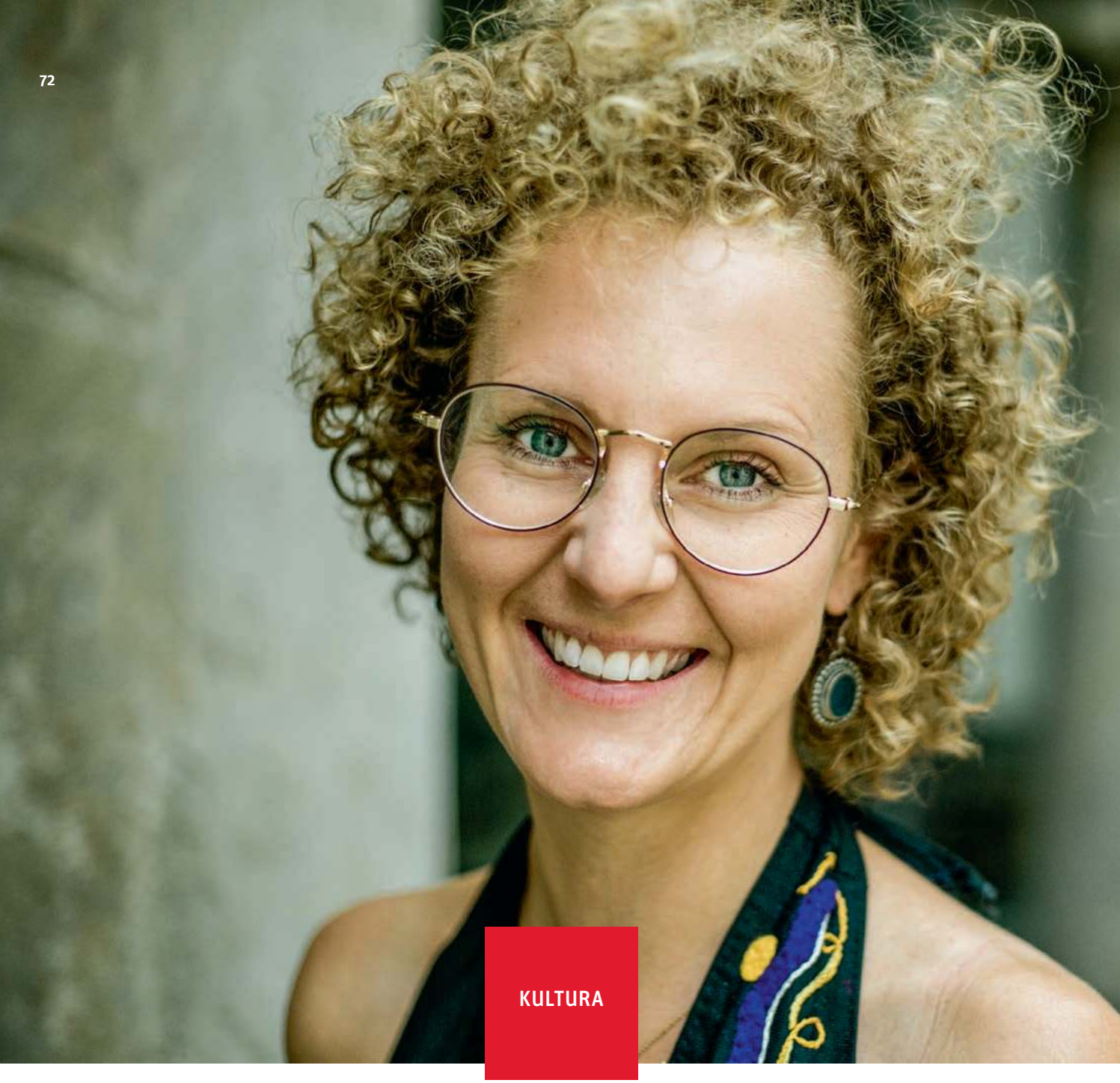

KULTURA

NOBEL I TATAR

JUSTYNA CZECHOWSKA, TŁUMACZKA:

Lata temu irytowało mnie, że mnóstwo rzeczy w świecie pisarskim dzieje się wokół stołu towarzyskiego. Dziś wiem, jak ważna w tłumaczeniu jest znajomość autorów, wypite wspólnie butelki wina, rozmowy do świtu.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jakie to uczucie dostać „Nobla dla tłumaczy”?

JUSTYNA CZECHOWSKA: Niedowierzanie. Tym bardziej że jestem jedną z najmłodszych laureatek. Akademia Szwedzka przyznaje tę nagrodę za całokształt dorobku translatorskiego oraz promowanie szwedzkiej literatury na wysokim poziomie w innych krajach.

Zostałaś wyróżniona przez Akademię Szwedzką, która jest niechlubną bohaterką przełożonej przez Ciebie książki „Klub. Seksskandal w komitecie noblowskim”.

Ta wielka afera wybuchła pod koniec 2017 r. Dziennikarka Matilda Gustavsson prześledziła, co się dzieje wokół Jeana-Claude'a Arnaulta, męża jednej z członkiń Akademii, poetki i dramaturżki Katariny Frostenson. Wiadomo było, że od lat 80. molestuje on kobiety, ale nikt o tym głośno nie mówił, kultura milczenia wciąż nieźle się trzyma. No bo szacowna Akademia, no bo wybitna Frostenson. Gustavsson udało się namówić do wyznań ofiary Arnaulta. W listopadzie 2017 r. na pierwszej stronie największego szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter” na zdjęciach widniało 18 kobiet albo dłońmi zasłaniających twarz, albo ją pokazujących, albo odwróconych, albo zakapturzonych. W samym reportażu można było przeczytać o przemocy, fizycznej, psychicznej i finansowej, o pogróżkach i o gwałtach, których kobiety doświadczyły ze strony Arnaulta. Jedna z ofiar wniosła oskarżenie do sądu.

Arnaulta skazano na dwa i pół roku więzienia.

Za krótko, gość jest znowu na wolności. Natomiast w Akademii następstwa tej demaskacji były znaczące. Chyba największą ofiarą stała się Sara Danius, którą odsunięto od funkcji stałej sekretarz, bo w sposób niewygodny dla wiernych przyjaciół Arnaulta i Frostenson zleciła prawnikom przesłuchania wśród akademików. Kilku członków odeszło, postanowiono nie przyznać literackiego Nobla. I za ten właśnie rok – 2018 – Nobla otrzymała Olga Tokarczuk. Zastanawia mnie, dlaczego uhonorowano kobietę o silnych feministycznych poglądach za rok, który jest symbolem obrzydliwej afery z molestowaniem, gwałtami i przekrętami finansowymi w tle.

Może dlatego, że zreformowana instytucja uderzyła się w piersi?

Rok przed tłumaczeniem „Klubu...” opublikowałam przekład „Miłosnej wojny stulecia” Ebby Witt-Brattström, w której autorka rozprawia się z byłym mężem-przemocowcem, Horacem Engdahlem, najwierniejszym przyjacielem Arnaulta i Frostenson. Te dwie pozycje w mojej bibliografii nie mogły umknąć uwadze Akademii. Mimo to dostałam nagrodę. Wcześniej uznaliby mnie za osobę niewygodną.

A jaka jest na rynku wydawniczym sytuacja tłumaczek?

Od XIX wieku pozostawały w cieniu mężczyzn. Z XX wieku pamiętamy głównie Boya, Iwaszkiewicza, Słomczyńskiego, Miłosza, później Barańczaka. Tak było zresztą w całej Europie. To oni, tłumaczący klasyków, wspinali się na parnas. Ale to powieść XIX wieku stała się początkiem podróżowania literatury między językami na masową skalę. Przede wszystkim powieści klasy B – niemieckie, brytyjskie, amerykańskie. A kto wtedy czytał powieści? Kobiety. I kto je tłumaczył? Głównie kobiety. Dlatego że panie ze sfer intelektualnych znały języki, ale ogromna większość zawodów nie była dla nich dostępna.

Jak jest dziś?

Raz na jakiś czas w Stowarzyszeniu Tłumaczy Literatury, którego jestem współzałożycielką, przeprowadzamy badanie rynku. Okazuje się, że tłumaczki zarabiają mniej niż tłumacze. Ostatni raport pokazał, że średnia stawka wśród mężczyzn tłumaczących z angielskiego wyniosła 700 złotych za arkusz tłumaczeniowy, a dla tłumaczek: 680. Różnica 20 złotych na jednym arkuszu w przeliczeniu na roczne zarobki daje całkiem sporą sumę. Dociekaliśmy, z czego to wynika. Jeśli przyjrzeć się tytułom tłumaczonym przez kobiety i tym, które przekładają mężczyźni, wychodzi na to, że one tłumaczą „młodzieżówkę”, romanse, poradniki, *de facto* literaturę z niższej półki, niewymagającą aż tak dogłębnego researchu, natomiast mężczyźni częściej dostają zlecenia na tytuły większej rangi, więc z automatu są lepiej opłacani.

Są przecież tłumaczki świetne i nagradzane, choćby Małgorzata Łukasiewicz i Maryna Ochab.

A także Sława Lisiecka, Anna Przedpełska-Trzeciakowska... Jest ich zbyt wiele, by wymienić wszystkie. No, ale w redakcji „Literatury na Świecie” od dekad panuje nierówny podział między płciami.

Naprawdę w Szwecji jest pod tym względem lepiej?

Na początku lat 90. wprowadzono parytet w szwedzkim parlamencie. Przełożyło się to na wszystkie poziomy społeczeństwa – katalog autorów drukowany przez szwedzki Instytut Książki na targi we Frankfurcie i Londynie musiał zawierać 40 proc. autorek. Na festiwale, prezentacje, debaty zaprasza się kobiety i mężczyzn. W studiu telewizyjnym komentującym mistrzostwa w piłce nożnej też są kobiety. W porównaniu ze Szwecją jesteśmy bardzo w tyle... Rok temu przez tamtejsze media przetoczyła się debata o tym, gdzie są mężczyźni-debiutanci. Większość istotnych debiutów, nagród literackich, tytułów sprzedanych za granicę to dzieła kobiet.

Ty jak znalazłaś się w Szwecji?

To historia losowa. Mój tata zmarł w 1989 r. Mama, nauczycielka w szkole podstawowej w Zamościu, została sama z dwiema córkami. Ja miałam dziesięć lat, siostra osiem. Zaczęły się lata 90., kto umiał, to się wzbogacił, a mama zobaczyła, że nowa rzeczywistość zupełnie nie przystaje do jej możliwości finansowych. Myślała perspektywicznie, zdając sobie sprawę, że nie będzie w stanie opłacić naszych studiów. A ponieważ w Szwecji od końca lat 70. mieszkała jej siostra, w 1995 r., po mojej pierwszej klasie liceum wyjechałyśmy do Helsingborga. Byłam zdruzgotana: poczułam się pozbawiona korzeni, nie mogłam spotykać się z koleżankami, które piszą wiersze, i z chłopakami, którzy grają na gitarach. Dla nastolatki to przecież najważniejszy kawałek świata.

Co z językiem?

W Szwecji znalazłam się w tym samym czasie, co ogromna grupa uchodźców z wojny w Jugosławii. Trafiłam do klasy integracyjnej, gdzie mieliśmy nauczyć się szwedzkiego. Wielu z nas nie znało angielskiego, a trzeba było się ↦

KUBAOCIEPA.PL

↦ dogadać. Po trzech miesiącach porozumiewałam się komunikatywnie. A w liceum poszłam do klasy humanistycznej. Lingwistyczna wyobraźnia mówiła do mnie po polsku, wzbogacając jednocześnie szwedzki. Miałam świetnego łacinnika, u którego zamiast zakuwać odmianę czasowników, uczyliśmy się podstaw humanistyki. Dalej: literaturoznawstwo na Uniwersytecie Sztokholmskim i seminarium na slawistyce prowadzone przez profesora Leonarda Neugera. Kameralnie: dwie, trzy osoby i dyskusje o literaturze, przy okazji Neuger opowiedział nam kawał historii swojego życia, a więc historii Polski, jak go w 1968 r. za protesty skazano na 10 miesięcy, jak w latach 80. internowano go w Uhercach Mineralnych. Polskie dziedzictwo i osobiste wyznania umacniały tylko więzi. Szwedzcy nauczyciele nie mieli do zaoferowania takich opowieści.

Językowy przełom?

Właśnie na studiach: czytając na głos wiersz Szymborskiej. Możliwe, że była to „Rozmowa z kamieniem" w tłumaczeniu Andersa Bodegårda. Załamał mi się głos – w gardle poczułam gulę. Zrozumiałam, że język szwedzki mam nie tylko w mózgu, ale i w sercu.

Co z polskim?

Nieprzerwanie tęskniłam za językiem, miejscami, ludźmi. W Sztokholmie bywałam w Instytucie Polskim, gdzie sporo się działo. Tam po raz pierwszy spotkałam Olgę Tokarczuk, Wisławę Szymborską, Antoniego Liberę... To jeszcze bardziej wzmogło we mnie tę tęsknotę, ciągnęło mnie do miejsca, z którego ci ludzie tu przyjeżdżali. I w pewnym momencie udało mi się pojechać do Warszawy na Erasmusa. To był początek 2003 r., Polska jeszcze nie weszła do Unii, znajomi pukali się w czoło, co ja robię, przecież na wymianę studencką przyjeżdżają wyłącznie Włosi i Hiszpanie, w celu porządnego napicia się. A mnie rozpierała euforia – wszystko było u progu, zaraz otworzą się granice. Dotarło też do mnie, że moja szwedzka walizka w Polsce będzie o wiele więcej warta niż walizka polska w Szwecji. Zostałam w Warszawie.

Od tego czasu przetłumaczyłaś książki m.in. Idy Linde, Linn Hansén, Agnety Pleijel...

Przełom nastąpił, kiedy czytałam na głos wiersz Szymborskiej w tłumaczeniu Bodegårda. Nagle zamilkłam, w gardle poczułam gulę. **Zrozumiałam, że język szwedzki mam już w sercu.**

Pleijel jest dla mnie ważna i jako autorka, i jako człowiek. Wcześniej mówiłam o moim zadomawianiu się w języku szwedzkim. A na to miała bez wątpienia wpływ lektura „Lorda Nevermore" Pleijel, którego przeczytałam w 2000 r., natychmiast po premierze i pięć lat po rozpoczęciu nauki języka szwedzkiego. Ta powieść zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Gdyby ktoś obudził mnie w środku nocy, przystawił pistolet do skroni z pytaniem o najważniejszą książkę mojego życia, to ja powiem: „Lord Nevermore".

Dlaczego właśnie historia przyjaźni Witkacego i Bronisława Malinowskiego?

To jest przede wszystkim powieść o miłości, przyjaźni i rozstaniu, a jeszcze bardziej o konstytuowaniu się nowoczesnego człowieka, wyłaniającego się z psychologii, filozofii i antropologii początku XX wieku. Owszem, polski czytelnik nie uniknie porównań do prawdziwej historii Malinowskiego i Witkacego, ale faktem jest, że autorka nigdzie nie użyła ich nazwisk. To jednocześnie opowieść o tym, jak kobiety próbują narysować mapę mężczyzny i mapę kobiety, nieustannie ponosząc porażki, bo nie da się rozpychać w patriarchalnym świecie, lepiej byłoby stworzyć świat na nowo. Książka Pleijel rok temu na nowo we mnie odżyła, wydawnictwo Karakter postanowiło wydać ją w moim tłumaczeniu. A ja nadal uważam, że to powieść totalna.

Pierwsze spotkanie z Pleijel?

W roku 2013, kiedy ustanowiono Nagrodę Herberta, Agneta była jej jurorką, a ja poszłam na konferencję prasową. Wtedy powiedziałam jej, że chyba znalazłam wydawnictwo, które zechce wydać jej „Wróżbę". Ona na to: „Wspaniale, bo jest jeden tłumacz, który bardzo by chciał to zrobić, nazywa się Mariusz Kalinowski". Zrzedła mi mina. Zdawałam sobie sprawę, że Mariusz to wybitny tłumacz. Ale zebrałam się na odwagę i powiedziałam, że bardzo chciałabym przetłumaczyć tę powieść. Ona: „OK, pogadam z Maciejem". Czyli Zarembą Bielawskim, jej mężem i jednocześnie opiekunem polskich przekładów Pleijel. Maciej kupił zbiór opowiadań Tove Jansson w moim tłumaczeniu i sprawdzili mnie w ten sposób, że Agneta czytała fragmenty po szwedzku, on po polsku i wydawał opinie na mój temat. Egzamin zdałam.

„Wróżba" jest dla Ciebie ważna, bo o kobiecości?

Bo się w niej spotykamy na poziomie emocji, a nie słów, co brzmi jak obelga, bo przecież słowami i Agneta, i ja się posługujemy. Ale jak inaczej wytłumaczyć to, że chociaż dzieli nas prawie wszystko – czas, miejsce urodzenia i dorastania, statusy społeczne rodzin, relacje między rodzicami – to czytając „Wróżbę" jestem tą dziewczynką... To mnie dopada pierwsza miesiączka, to ja czekam na pierwszy pocałunek, to ja się lękam i nie rozumiem własnego ciała, uciekam w świat literatury.

A samo tłumaczenie Pleijel?

Odpowiem na przykładzie „Lorda Nevermore". Zanim siadam do przekładu literatury erudycyjnej, bogatej w historyczne treści, pełnej kontekstów, to najpierw czytam; czytam pozycje wprowadzające w epokę, m.in. „Dziennik" Malinowskiego, sztuki i listy Witkacego, przyglądam się jego obrazom. W kółko też czytałam „Kruka" Poego, po angielsku, po szwedzku i w różnych polskich przekładach. A kiedy siedzę już nad tłumaczeniem, całkowicie wchodzę w ten świat, on mi się nawet śni. Wędruję z moimi bohaterami po miastach, zanurzam się z nimi pod wodę, wspinam na szczyt góry, siedzę przy jednym stole. Nieustannie pracuje moja wyobraźnia, przesuwają się kolejne obrazy. Dzięki scenie, w której Staś czeka na Krakowskim Przedmieściu na narzeczoną, zwróciłam uwagę na to, że przed Pałacem Staszica, gdzie mieści się Polska Akademia Nauk, stoi pomnik Kopernika, który wskazuje na północ, a kilkadziesiąt metrów dalej, idąc

w stronę Starówki, jest kościół św. Krzyża z rzeźbą Chrystusa dźwigającego krzyż i zmierzającego również na północ. Chrystus odwraca się do nauki plecami... Zobaczyłam to dopiero dzięki tej szwedzkiej powieści, mimo że w tym miejscu byłam setki razy.

Przekład to nieustanne szukanie słów?

Choćby mięsa do szwedzkich przekleństw – wybroniłam tylko dwie „kurwy". Albo po szwedzku zapisanej fantazji Witkacego przełożonej na polską, która *de facto* zawsze była polska. Pisząc do kobiet, Staś używa najróżniejszych pseudonimów: Wasz Zmarmoladowany Widz junior, Wasz Staś od Widelca, Wasz na śmierć skazany Szef Sztabu, Pierdonazy z Rasputinów, Wasz baron Gładź z Żądzy, Wasz Stanislaus Autokoprofagita, Wasz Gruszka z Piponii, albo moje ulubione: Wasz przepracowany Onanisław Spermacy.

Sprytne i zabawne.

Trudność w tłumaczeniu „Lorda..." polegała na tym, że musiałam znaleźć balans między rzeczywistością a fikcją. Chociaż wiemy, że narzeczona Stasia, która zastrzeliła się w Tatrach, miała na imię Jadwiga, należało uszanować, że autorka chce mieć Krystynę. Same metafory zajmują sporo czasu, by je gruntownie zrozumieć. Już w pierwszej scenie Bronio idzie uliczkami Zakopanego, a „niebo przypomina spód pokrywki do garnka". Za chwilę wchodzi do domu przyjaciela, gdzie pani Wicz gra na szpinecie, instrument zamienia się w pająka, który „unosi do melodii swoje wiotkie nogi i tańczy zagubiony po rustykalnym otoczeniu". Potem to napisać po polsku, dalej to wszystko przeczytać i spróbować zobaczyć, czy wrażenie po polskiej lekturze jest podobne do tego szwedzkiego.

Wrażenie?

Nie jest najważniejszy przekład słownikowy, aptekarski, słowo na słowo, jeden do jednego – tylko nastrój, duch opowieści, specyfika, substancjalność. Ale też muszę dodać, że akurat przekład „Lorda..." skolacjonował Maciej Zaremba Bielawski, który oczywiście ma najbliższą i najpiękniejszą relację z Agnetą i jej tekstami. Zwracał mi uwagę na słowa, np. „strasznie", którego Agneta nigdy by nie użyła, gdyby pisała po polsku. Szukaliśmy synonimów, wystarczyło użyć choćby: „przerażająco", dyskutowaliśmy o temperaturze słów i zwrotów, „wycieńczony" zamieniliśmy na „wyczerpany", „znużony" na „znudzony", a „umiera ze strachu" na „dygocze z niepokoju". Ponieważ ta książka ma już ponad 20 lat, Pleijel zażyczyła sobie, by coś pozmieniać – wyciąć, dodać. Drobnostki, ale istotne. Ponowny przekład zagwarantował jej ten luksus.

„Lorda..." skończyłam tłumaczyć 16 maja 2022 r. A Malinowski umarł 16 maja 1942 r., czyli skończyłam dokładnie w 80. rocznicę jego śmierci.

GRAŻYNA MAKARA

JUSTYNA CZECHOWSKA (ur. 1979) jest tłumaczką ze szwedzkiego i norweskiego. Współzałożycielka Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. Przełożona przez nią książka Kristin Berget „Der ganze Weg" była nominowana w drugiej edycji konkursu Europejski Poeta Wolności, a tłumaczenie Matildy Voss Gustavsson „Klub. Seksskandal w komitecie noblowskim" do Nagrody im. Kapuścińskiego. Jest laureatką Nagrody im. Wisławy Szymborskiej za przekład książki Linn Hansén „Przejdź do historii". Współtwórczyni programu festiwalu Odnalezione w Tłumaczeniu. W 2023 r. Akademia Szwedzka uhonorowała ją Nagrodą dla Tłumaczy.

Na zdjęciu z Idą Linde podczas Festiwalu Conrada, Kraków, 2016 r.

To ma jakieś znaczenie?

Daje sygnał, że to, co robię, jest potrzebne, rzeczywistość wysyła mi znaki, trochę naciągając, nazwijmy je metafizycznymi. W trakcie tłumaczenia „Lorda..." zdarzały się też inne połączenia między literaturą a światem rzeczywistym: kiedy Putin z armią rosyjską atakuje Ukrainę, ja w tym samym czasie jestem z Witkacym w Piotrogrodzie po wybuchu I wojny światowej: wyjeżdżam razem z nim i jego kompanami na pole bitwy w dzisiejszej Białorusi. I widzę rozszarpane ciała leżące na ziemi, trup obok trupa, krew i martwe oczy, a duchy z chmurami unoszą się i odpływają. Tłumacząc te akapity jednocześnie nasłuchuję wiadomości z Mariupola.

Literatura zwierciadłem rzeczywistości?

Lata temu, zanim jeszcze weszłam w środowisko pisarskie, ale też nie weszłam tak głęboko w samą literaturę, irytowało mnie, że mnóstwo rzeczy dzieje się wokół stołu towarzyskiego, że ważne, kto kogo zna, kto kogo lubi itd. A dziś już wiem, że to, że kogoś się tłumaczy, wynika ze znajomości autorów, wypitych wspólnie butelek wina i rozmów do świtu, takiego dogłębnego zrozumienia swojej autorki. Mogłam przetłumaczyć tom wierszy norweskiej poetki Kristin ↦

↦ Berget tylko dlatego, że znałam tembr jej głosu, zrozumiałam, w których momentach potrzebna jest cisza. W relacji z Agnetą Pleijel przełomowym moment było to, kiedy ona, już po ukazaniu się moich przekładów „Wróżby" i „Zapachu mężczyzny", zaprosiła mnie do siebie do domu. Maciej na kolację przygotował tatara. Jedzenie surowego mięsa uznaję za akt prawie erotyczny, a na pewno bardzo intymny, nie robię tego z kimkolwiek. Był to bardzo piękny wieczór, piliśmy do tatara zmrożoną wódkę. Potem Agneta, która całe życie dużo paliła, zaproponowała, byśmy razem to zrobiły, tyle że przy stole. W Szwecji nikt w domu nie wyciąga papierosów, co najwyżej na tarasie lub balkonie.

Parę tygodni później odbyło się duże przyjęcie z okazji 80. urodzin Agnety. Zaproszenie na nie było dla mnie wyróżnieniem. Wśród gości znalazły się kluczowe osoby ze świata sztuki, ale też rodzina, w tym jej siostry opisane we „Wróżbie" oraz w „Zapachu mężczyzny" i siostrzenica, Hanna Nordenhök, świetna pisarka. Usadzono mnie przy jednym stoliku z Agnetą, profesorem Neugerem i Janem Stolpem, wybitnym tłumaczem, który jako pierwszy pokazał Szwedom Gombrowicza, a poza tym przełożył Platona, Sofoklesa, Diderota, Camusa. Czułam, że zostałam zaproszona do najlepszego ze światów, na dwór królowej Agnety Pleijel. Ale uświadomiłam sobie, że nie stało się to dlatego, że moi rodzice zadzwonili do kogoś w sprawie pracy dla córki, że mój wujek miał plecy w jakiejś instytucji kulturalnej albo że ktoś komuś powiedział, że warto mnie zaprosić... Do miejsca, w którym jestem, dotarłam własną pracą. A przede wszystkim niestrudzoną wiarą w literaturę, którą dzieliłam z gośćmi Agnety i nią samą.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

Orki na ugorze

MICHAŁ SOWIŃSKI

Grupa Filmowa Darwin to projekt totalny – kilkanaście różnych serii, kilkadziesiąt wykreowanych postaci, mnóstwo filmów osobnych, ale powiązanych z resztą. Może konkurować z największymi – na przykład z Marvelem. Żartuję?

Pojawiły się na YouTubie siedem lat temu – od tego czasu wyświetlono je ponad 15 milionów razy. „Orki z Majorki" to najbardziej znana produkcja Grupy Filmowej Darwin.

– Nie, nie żałujemy, że je stworzyliśmy, choć fenomen ich popularności nas przytłacza – mówi Jan Jurkowski, a Marek Hucz (obaj są aktorami teatralnymi i filmowymi, scenarzystami i reżyserami, założycielami GF Darwin i do dziś stanowią jej trzon) dodaje: – Wiele osób kojarzy nas właśnie z tym. I często tylko z tym. Coś wspaniałego, w ogóle się tego nie spodziewaliśmy.

O co właściwie chodzi z tymi orkami, które są jak „pandy, tylko że w wodzie / I mają płetwy"? Kim jest Pan Bóg, pojawiający się w tej samej zwrotce (i parę razy na ekranie), który „też chciał mieć płetwę / Ale nie może, więc pojechał do Zabrza"? I czy stworzył walenie faktycznie tylko po to, aby bawić się z nimi przy goleniu?

– Do dziś znajomi wysyłają nam nagrania z obozów i wesel, gdzie masa ludzi śpiewa i tańczy do „Orek". Dalej nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje, ale bardzo mnie to cieszy. Tylko nie wszyscy zdają sobie sprawę, że to były jaja. I to jaja w bardzo konkretnym kontekście – przyznaje Jurkowski, który podobną rozmowę-tłumaczenie musiał już odbywać wiele razy.

C.H.A.O.S.

Gdy jeszcze nie było prawie nic, był tylko C.H.A.O.S., czyli Centrum Hierarchii Astralnej, Obecnie Samodzielne. Wtedy to Rafał (późniejszy Pan Bóg) wraz ze Sławkiem (późniejszy Szatan) nudzili się w swoim biurze tak bardzo, że postanowili stworzyć świat wraz z człowiekiem. I choć szybko się pokłócili (mniejsza o co), to ich uniwersum zaczęło już żyć własnym życiem.

Dalej niejasne? Nic dziwnego, trudno bowiem opowiedzieć o świecie GF Darwin w kilku akapitach. Zrodziło się przeszło 10 lat temu jako hobbystyczny projekt Hucza (Bóg-Rafał) i Jurkowskiego (Szatan-Sławek), dwóch świeżych absolwentów krakowskiej PWST. Od tego czasu stworzyli kilkaset godzin różnych produkcji, a sama Grupa rozrosła się do rozmiarów małego studia filmowego.

– Długo sami nic z tego nie mieliśmy, ale staraliśmy się płacić ekipie, choćby symbolicznie. Kwota 200 zł za dzień pracy realizatora dźwięku, a już wtedy była to śmieszna kasa, przerażała nas. Dlatego nagrywaliśmy wiele odcinków jednego dnia, zazwyczaj w plenerze, żeby nie było trzeba specjalnego oświetlenia – jedna blenda i czekaliśmy, aż wyjdzie słońce – opowiada o początkach Grupy Jurkowski.

– Występowaliśmy przede wszystkim sami. Co było z jednej strony rozwiązaniem budżetowym, z drugiej wyborem artystycznym. Darwin zrodził się z naszych improwizacji. Sami pisaliśmy, graliśmy i montowaliśmy – dodaje Hucz.

GF Darwin to projekt totalny – kilkanaście różnych serii, kilkadziesiąt wykreowanych postaci (większość przez założycielską dwójkę) oraz mnóstwo filmów osobnych (zwanych Shortami Darwina), luźno powiązanych z resztą. Wszystkie razem tworzą olbrzymie, przebogate uniwersum, które swoim skomplikowaniem (ale i spójnością) może konkurować z największymi – na przykład z Marvelem. Żartuję?

Najbardziej rozpoznawalna seria Darwina, czyli „Wielkie konflikty", doczekała się już 28 odcinków. Większość z nich w kilkunastominutowych odsło-

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Marek Hucz i Jan Jurkowski

nach opowiada o sporach postaci zaczerpniętych z Biblii (np. „Mojżesz vs Bóg"), literatury (np. „Balladyna vs Alina") albo historii (np. „Jagiełło vs Krzyżacy"). Choć nie są uporządkowane chronologicznie (zakładając, że dzieją się na tym samym poziomie rzeczywistości), każdy z nich dodaje coś nowego do istniejących już elementów, a wykreowane postaci (nie tylko Bóg i Diabeł) regularnie powracają w kolejnych produkcjach.

Pierwsze odcinki wyglądały niewinnie – ot, kabaretowe skecze ubarwione absurdalnym poczuciem humoru. Gdy jednak wciągniemy się już w ten świat (wraz z jego licznymi odnogami), dostrzeżemy, że to wszystko nie jest takie proste. Choć twórcy Darwina, jak przystało na artystów i komików, nie lubią rozmawiać o filozoficznym (a czasem wręcz teologicznym) zapleczu swoich produkcji, to jednak w tej kwestii dzieje się tu sporo.

Bóg, Jezus i inni

Sam fakt, że głównymi postaciami są tu Bóg, Jezus i inne biblijne postaci, może być odczytywany jako kontrowersyjny. Darwin jednak zręcznie balansuje na cienkiej linii akceptowalnego przez większość youtubowych odbiorców dobrego smaku, a żarty przeplatają się tu z wątkami znacznie poważniejszymi – na przykład refleksją nad Hiobem i sensem jego cierpienia albo autorską interpretacją tego, czym właściwie jest zło i jak powinno w związku z tym wyglądać zbawienie człowieka. Z tej mozaiki absurdalno-sytuacyjnego humoru Bóg-Rafał wyłania się jako stwórca mało rozgarnięty, za to z przerośniętym ego. Z kolei Diabeł-Sławek, niemalże po miltonowsku, staje się orędownikiem walki o godność człowieka, zakładając Piekło 2.0, czyli projekt, w którym każdy (w rozsądnych granicach) może żyć na własny rachunek, bez oglądania się na fanaberie jakiegoś odklejonego od świata bóstwa.

Gdy opowiadałem znajomym o tej interpretacji darwinowskiego uniwersum, wielu z nich pukało się w czoło, niektórych jednak udało mi się zaintrygować. Proszę na przykład zobaczyć odcinek 24., „Śmierć vs ateiści", który wygląda, jakby ktoś zmusił Alberta Camusa do opowiedzenia dowcipu.

„Każdy w zaświatach dostaje to, w co wierzył za życia" – mówi Śmierć, pokazując na ciągnące się w nieskończoność ruiny w lesie, gdzie prosto z miejsca wypadku samochodowego trafiła grupa ateistów. Dlaczego funkcję Śmierć pełni tu Hiob, nie będę już tłumaczył, warto dojść do tego samemu, oglądając wcześniejsze odcinki.

Humor w Darwinie na pierwszy rzut oka wydaje się łatwy i przyjemny, ale w rzeczywistości jest wielowarstwowy, głęboko ironiczny i nierzadko zabarwiony na czarno. Bez tego trudno byłoby zrobić wieloodcinkowy serial o historii zbawienia (no bo jak inaczej nazwać opowieść o odwiecznym sporze Boga i Szatana?), który z powodzeniem może być odbierany zarówno jako „śmieszny filmik z YouTuba" do puszczania na imprezach, jak też głębsza filozoficzno-egzystencjalna refleksja nad kondycją człowieka.

Jak być śmiesznym

Wróćmy do orek z Majorki. W otwierającym teledysk kadrze widnieje napis „N.I.E.B.O. Intergalactical Music Records 1993". Wiedząc już co nieco o tym uniwersum, możemy przypuszczać, że to produkcja powstała z inspiracji i na cześć apodyktycznego Boga-Rafała, pozbawionego poczucia humoru, za to lubującego się w kiczowato-patetycznej estetyce. I w takiej właśnie konwencji (będącej przy okazji parodią teledysków z lat 90.) powstały Orki.

– Najgorzej jest, kiedy oglądam „Orki" z kimś, kto o GF Darwin wie niewiele. Wtedy od razu zaczynam się gęsto tłumaczyć – że ten format jest kiczowaty celowo, że te ujęcia są kiepskie specjalnie, że te badziewne przenikania obrazów takie właśnie miały być, bo... Do tego pstrykam jak idiota palcami, a Marek udaje, że pływa na greenscreenie... No żenada – przyznaje Jurkowski.

– Mi tam się podoba – dodaje zaraz Hucz.

Poczucie humoru to w ogóle delikatna kwestia, trudna do opisania, szczególnie gdy mówimy o rzeczach wyrastających z tradycji Monty Pythona albo jeszcze wcześniejszych, zakorzenionych wręcz w teatrze absurdu. W przypadku Darwina ciekawa jest odwaga (bezczelność wręcz), aby trwać uparcie przy coraz mniej popularnej, klasycznej formie komedii, gdzie decydujący jest zarówno sam tekst (chwilami improwizowany), ↦

↦ jak i gra aktorska – w ich przypadku jedno i drugie na stałym, wysokim poziomie. Mimo że w zależności od produkcji zmienia się, i to mocno, poziom niewinności samych żartów.

– Coraz trudniej być dziś śmiesznym, jednocześnie nie śmiejąc się z kogoś, nie obrażając nikogo, przynajmniej nie w zamierzony sposób. Może pokończyły się konwencje? – mówi Jurkowski, a Hucz dodaje: – Inna sprawa, że bycie śmiesznymi nigdy nie było dla nas najważniejszym celem.

Filmy na Polsacie

GF Darwin to także udany romans amerykańskiej popkultury z polskimi tradycjami literackimi i mitologicznymi. Wielu tego próbowało (żeby wymienić tylko niedawną produkcję Netfliksa „Krakowskie potwory" czy słusznie już zapomniane „Legendy polskie" Allegro), większość poległa. A tu mamy Słowackiego, który, szukając zemsty na Mickiewiczu, przenosi się w czasie, Szewczyka Dratewkę walczącego ze smokami w stylu „Gry o tron" czy filmik superbohaterski „Zygmunt – Człowiek Dzwon", będący pastiszem Barei.

– Pytanie brzmi – czym właściwie dziś jest polska kultura? My z Jankiem jesteśmy dziećmi globalizacji, wychowaliśmy się na filmach puszczanych wieczorami na Polsacie, ale też reklamach, które leciały w ich przerwach. Granice, o ile jeszcze istnieją, są poprzesuwane i nieostre. Ta estetyka, ze wszystkimi swoimi blaskami i absurdami, ukształtowała nas – mówi Hucz.

Swoboda w żonglowaniu konwencjami i estetykami jest być może cechą pokoleniową w ogóle. Jako rówieśnik moich rozmówców również wychowałem się na śmieciowej telewizji lat 90., gdzie Teatr Telewizji mieszał się swobodnie z reklamą proszku do prania Pollena 2000 („Ociec, prać?!"), a pierwsze polskie telenowele z amerykańskimi serialami dla młodzieży, przez co dość dobrze odnajduję się w chaotycznym zapleczu ich wyobraźni.

– Najlepsze kino rozrywkowe, na którym się wychowaliśmy, pochodziło z USA, dlatego odruchowo próbujemy je odtwarzać. W naszych umysłach polska rzeczywistość jest już całkowicie przemielona z globalną popkulturą. Z tej mieszkanki właśnie zrodził się Darwin – mówi Hucz.

Coraz trudniej być dziś śmiesznym, jednocześnie nie śmiejąc się z kogoś, nie obrażając nikogo, przynajmniej nie w zamierzony sposób. Może pokończyły się konwencje?

W USA lepienie z telewizyjnych śmieci to już klasyka. Od dekad robi to „South Park", „Family Guy" czy ostatnio „Rick and Morty". Tylko że tam odniesieniem są przede wszystkim lata 80. – złota era dla wszystkich fanów dziwacznego badziewia.

– W tym sensie możliwe, że jesteśmy ostatnim pokoleniem, które może sobie pozwolić na taką postmodernistyczną ucztę. Bo już młodsi od nas o dekadę i więcej nie mają takiego wspólnego kontenera z wdzięcznymi odpadkami – przyznaje Hucz.

Tylko, jak to zazwyczaj bywa z postmodernistycznymi orgiami wyobraźni, nie chodzi wyłącznie o dobrą zabawę. Przy okazji bowiem wymyślane są nowe wehikuły budowania opowieści – nie tylko oryginalne, ale również niezwykle wydajne, pozwalające udźwignąć więcej niż dotychczasowe formaty. Dlatego też poza popularnymi seriami typu „Wielkie konflikty" Darwin tworzy także wiele pojedynczych produkcji, eksplorujących nowe pomysły, zarówno formalne, jak i fabularne.

– Granie konwencjami filmowymi zawsze było naszym celem, stąd wzięły się „Shorty Darwina". „Pogromcy przysłów" to parodia *reality show*, „Detektyw Zelcer" to kino noir, „Gwiezdny szeryf" to nasza fantazja o amerykańskim kinie SF z lat 80., „C.H.A.O.S." to mockument... – mówi Jurkiewicz. Każdy z tych tytułów zawiera przynajmniej jedną albo dwie nitki, którymi splata się z resztą darwinowskiego świata. Czasem są to tylko fanowskie smaczki, niekiedy jednak istotne punkty zwrotne dla innych opowieści. Dlatego też sporo z tych filmów oglądać można wielokrotnie, za każdym razem odkrywając coś nowego. Nie mówiłem? Marvel?

Wiedźmaki

Moją ulubioną serią GF Darwin jest „Groovie Movie", której gospodarzem jest Mateusz Trembaczowski, aktor współpracujący z grupą niemalże od początku (bywa między innymi Hiobem). Jest to wariacja na temat dawnych (niestety) programów telewizyjnych, gdzie nobliwy krytyk prezentuje wybrane fragmenty filmowe, okraszając je licznymi, najczęściej złośliwymi komentarzami. Sam tytuł serii pochodzi od nazwiska prowadzącego, Stanisława Grówi (specyfika imion w świecie Darwina to osobny temat).

To właśnie Grówi pastwi się nad takimi (oczywiście również stworzonymi przez Darwina) produkcjami, jak „Dwa miecze i amulet", „Zygmunt – Człowiek Dzwon" czy „SMOKDŻILLA – ZEMSTA GRUŁĘBIA!".

„Dwa miecze i amulet", jak informuje nas Grówi, to pierwsza w dziejach udana próba pirackiego wykorzystania prozy Andrzeja Sapkowskiego. W kolejnych fragmentach śledzimy pocieszne przygody dwóch „wiedźmaków", Benedylberta i Wojtka. Producenci tego rzekomego arcydzieła polskiej kinematografii lat 90., aby podratować budżet, mieli zdecydować się na pierwsze w dziejach polskiej telewizji lokowanie produktu – stąd Benedylbert zachwalający pieczywo sponsora, pana Zbigniewa Habadzibadło.

Takich wielopiętrowych pastiszów znajdziemy tu więcej. I jak na prawdziwy pastisz przystało, nie chodzi tu o wyśmiewanie, a raczej twórcze zagęszczanie stylu, przechwytywanie i odzyskiwanie języków filmowych i literackich, nawet jeżeli w oryginale nie wydają się dziś szczególnie atrakcyjne. Dzięki takiemu recyklingowi obrazów i idei polska kultura zyskuje dodatkowy krwiobieg, dostarczający nowej energii, ale też pozwalający spojrzeć na siebie z dystansu (obie te właściwości są u nas mocno deficytowe). Niektórzy może się nawet przy okazji pośmieją.

A do tego ten nieskrępowany apetyt w eksplorowaniu coraz to nowych obszarów, ciągłe eksperymenty fabularne i filmowe, wyrazisty i rozpoznawalny styl – to wszystko sprawia, że GF Darwin to jedna z najlepszych rzeczy, jakie przydarzyły się polskiemu YouTubowi.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

HBO / MATERIAŁY PRASOWE

Roman, Shiv i Kendall przeżywają oczyszczające pojednanie, tworząc niejadalny mix z zawartości lodówki: ostatni odcinek „Sukcesji”.

Szekspir współczesny

JAKUB MAJMUREK

Twórcy „Sukcesji” czują, że klucz do obecnego świata to dramedia, pomieszanie błazeńskiej tragedii i melancholijnej komedii, połączenie dramatu z sitcomem, „Hamleta” z „Dynastią”.

Starszy mężczyzna budzi się w środku nocy, jest zdezorientowany, nie wie, gdzie się znajduje. Po ciemku, trzymając się ściany, robi kilka kroków i ciężko oddychając oddaje mocz w kącie pokoju – od tej sceny w czerwcu 2018 r. zaczął się serial „Sukcesja”.

Starszy mężczyzna to Logan Roy – twórca działającego na kilku kontynentach koncernu Waystar Royco, złożonego z dziesiątek tytułów prasowych, kilku telewizji, studia filmowego, parków rozrywki i linii organizującej rejsy wycieczkowe. W pierwszym odcinku Logan świętuje urodziny, odmawia przekazania sterów nad swoim imperium synowi Kendallowi – który od dawna przygotowywał się do przejęcia interesu – wreszcie zostaje złożony wylewem, na długi czas przykuwającym go do łóżka.

Choroba Logana uruchamia walkę między patriarchą a czwórką jego dzieci o kontrolę nad Waystar. Choć Logan wydaje się w niej skazany na klęskę jako nierozumiejący współczesnego świata dinozaur, którego zdrowie coraz bardziej zawodzi, to ciągle ogrywa swoje dzieci, skutecznie nimi manipuluje, napuszcza na siebie, na przemian zastrasza i łudzi obietnicami. Nawet gdy – uwaga, tu pierwszy poważny spoiler! – Logan umiera na początku ostatniego, czwartego sezonu, to im bardziej jest martwy, tym większy wpływ jego widmo wywiera na dzieci. Od nagle zmarłego ojca jeszcze trudniej jest się wyemancypować niż od żywego.

Młode pokolenie Royów szybko przekonuje się też, że śmierć ojca wcale nie oznacza łatwego przejęcia kontroli nad imperium. Gdy serial się kończy, rodzina – po serii walk, zdrad, wielokrotnych zmian frontu – traci kontrolę nad zbudowanym przez Logana holdingiem.

Tragedia w czasach ironii

Finał „Sukcesji” godnie wieńczy dzieło i potwierdza rangę serialu jako wielkiego telewizyjnego fenomenu przełomu drugiej i trzeciej dekady XXI w. Pierwsza amerykańska produkcja brytyjskiego showrunnera Jesse’ego Armstronga to nie tylko jeden z najlepszych seriali tego okresu, ale także jeden z najlepiej oddających ducha czasów. Zarówno jeśli chodzi o temat, jak i artystyczną formę.

W „Sukcesji” odbicie znajdują takie problemy ostatnich lat, jak kryzys tradycyjnych mediów spowodowany przez ekspansję nowych technologii, rosnące nierówności i towarzysząca im oligarchizacja zachodnich społeczeństw, wpływ koncentracji własności w mediach na demokrację, wzrost znaczenia radykalnej, ↦

populistycznej, coraz bardziej autorytarnej prawicy.

Wszystko to podane jest w formie skrojonej pod współczesnego widza, łączącej to, co wysokie i niskie, wzniosłe i śmieszne, poważne i banalne. Temat „Sukcesji" nasuwa skojarzenia z wielką literacką tradycją, od Szekspira do „Buddenbrooków". Logan – władca, który nie potrafi przekazać imperium następnemu pokoleniu – przypomina króla Leara, a jego ciągle miotający się, uwikłany w destrukcyjny rodzinny dramat syn Kendall – Hamleta. Są to jednak Lear i Hamlet zrodzeni w kulturze posttragicznej, która nie potrafi już na poważnie doświadczyć tragiczności, bo jest zbyt spętana cyniczną ironią. Armstrong i zebrana przez niego ekipa scenarzystów i reżyserów czują, że kluczem do współczesnego świata jest dramedia, pomieszanie błazeńskiej tragedii i melancholijnej komedii, zdolnej połączyć wielki dramat z sitcomem, „Hamleta" z „Dynastią".

Wiele odcinków „Sukcesji" utrzymuje klasyczną jedność miejsca, czasu i akcji. Najlepiej sprawdzają się te, w których cała rodzina i jej otoczenie zostają zebrani w jednym miejscu – na przyjęciu weselnym, na sesji rodzinnej terapii, w trakcie wyjazdowego zebrania zarządu Waystar Royco na polowaniu w węgierskim pałacyku – którego atmosfera gęstnieje z każdą minutą od zdrad, intryg, wzajemnych oskarżeń, traum z przeszłości, okrutnych żartów używanych jako tarcza chroniąca przed bliskością i narzędzie mające zadawać rany. Dynamiczna reżyseria sprawia, że nigdy nie mamy wrażenia obcowania z teatrem telewizji. „Sukcesja" ma epicki oddech, jakiego nie powstydziłaby się niejedna filmowa produkcja.

Przymus powtarzania

Armstrong po raz pierwszy zdobył rozgłos jako twórca brytyjskiego sitcomu „Peep Show", portretu dwójki przyjaciół, którzy nigdy niczego się nie uczą, nie wyciągają wniosków ze swoich klęsk i błędów, nie są w stanie dojrzeć ani życiowo, ani intelektualnie, ani moralnie.

Podobnie nie dojrzewają Royowie. Na przestrzeni czterech sezonów czwórka rodzeństwa ciągle powtarza te same błędy; gdybyśmy chcieli narysować ich drogę w serialu, przypominałaby ona okrąg. Najstarszy z rodzeństwa Connor, jedyny syn pierwszej żony Logana, zaczyna i kończy swoją drogę jako „idiota w rodzinie", traktowany protekcjonalnie zarówno przez ojca, jak i młodsze rodzeństwo. Nigdy w życiu nie wykonywał żadnej pracy, żyje z pieniędzy przekazanych mu przez ojca, uważa się jednak za wielkiego politycznego myśliciela, erudytę i społecznika. Decyduje się kandydować na prezydenta USA z radykalnie libertariańskim programem, spala ponad 100 milionów dolarów, by do końca kampanii utrzymać poparcie na poziomie... 1 procenta, co – jak twierdzi – „pomaga mu pozostać częścią debaty".

Oglądając „Sukcesję" wielokrotnie zadajemy sobie pytanie o wpływ wielkich pieniędzy na media, a przez media na politykę.

Główny pretendent do tytułowej sukcesji, Kendall, kilkukrotnie próbuje przejąć władzę nad rodzinnym biznesem i za każdym razem przegrywa. Wszystko dlatego, że nieustannie bierze swoje wyobrażenia za rzeczywistość, lekceważy sygnały ostrzegawcze, przecenia własne siły i lojalność sojuszników. Miota się ciągle między okresami manii – gdy uważa się za biznesowego geniusza i lidera intelektualnego – i depresji, gdy zamyka się w sobie i wraca do narkotykowego nałogu.

Jego młodszy brat Roman jest po prostu nieudolny, nie radzi sobie z większością zadań, jakie powierza mu ojciec – nieważne, czy chodzi o kierowanie studiem filmowym, nadzorowanie startu satelity w Japonii czy o przygotowanie porozumienia z Lukasem Matssonem – szwedzkim miliarderem z branży IT, twórcą walczącego o globalną hegemonię serwisu streamingowego GoJo. Gdy po śmierci ojca Roman wspólnie z bratem przejmuje na chwilę kontrolę nad rodzinnym koncernem, przekonujemy się, jak bardzo nie nadaje się do tej pracy i jak nie jest w stanie się w niej niczego nauczyć.

Najbardziej poukładana i inteligentna z rodzeństwa wydaje się jedyna córka Logana, Shiv. Nie zdecydowała się pracować w rodzinnym biznesie, postanowiła sama zbudować swoją pozycję jako konsultantka polityczna. Choć media jej ojca mają konserwatywną linię, to Shiv pracuje z kandydatami Demokratów. Gdy jednak ojciec wciąga córkę w rodzinny biznes, zaczynamy widzieć także jej ograniczenia. Shiv przecenia swoją inteligencję i lekceważy swój brak doświadczenia w biznesie, który działa nieco inaczej niż świat polityki. Jest zbyt przeźroczysta w tym, jak egoistycznie walczy wyłącznie o swój interes. Nie potrafi współpracować z sojusznikami, na czele z jej pracującym dla Waystar Royco mężem, pochodzącym z klasy średniej Tomem Wambsgansem. Wreszcie kilkakrotnie robi strategiczny błąd, pokładając zaufanie w rozgrywających ją mężczyznach.

Patrząc na dzieci Logana rozumiemy, czemu nie chce im przekazać sterów imperium. Dlaczego mówi: „Kocham was, ale nie jesteście poważnymi ludźmi". Jednocześnie twórcy „Sukcesji" nigdy nie ulegają pokusie, by przedstawić Royów wyłącznie jako karykatury. Każde z dzieci Logana nosi swoje emocjonalne rany. Connor mówi w chwili napędzanej szczerością rozpaczy, że zaletą wychowania się w rodzinie, która cię nie kocha, jest to, że człowiek uczy się, jak przetrwać bez miłości. Logan potrafi sterroryzować nawet dorosłe dzieci. Możemy sobie tylko wyobrażać, jak wyglądało ich dzieciństwo.

Royowie walczą ze sobą na śmierć i życie, a przy tym autentycznie się kochają. W skondensowanej formie wspaniale pokazuje to ostatni odcinek, gdzie przed finałową zdradą, ostatecznym konfliktem, który będzie kosztował rodzinę kontrolę nad Waystar Royco, Shiv, Roman i Kendall przeżywają oczyszczające pojednanie. W karaibskiej posiadłości matki cofają się do dzieciństwa i jego niewinności – ale ta rodzinna idylla nie jest w stanie przetrwać nawet doby.

Pieniądz zawsze zwycięża

Sam dramat rodzinny Royów byłby fascynujący, jednak dodatkowego wymiaru dodaje mu fakt, że jego postaci są nie tylko miliarderami, ale kontrolują też kluczowe dla demokratycznego procesu aktywa: media. W tym – wzorowaną na Fox News – telewizję informacyjną ATN. Widzimy, jak walcząc o zamiecenie pod dywan skandali związanych z oddziałem rodzinnego biznesu zajmującego się rejsami, Logan przy pomocy ATN dopro-

wadza urzędującego prezydenta do rezygnacji z ubiegania się o drugą kadencję, a następnie, na ukrytym przed oczami opinii publicznej zjeździe bogatych prawicowych darczyńców wybiera nowego kandydata Republikanów – „narodowego konserwatystę" Jeryda Menckena. Reprezentuje on skrajnie prawicowe skrzydło partii, w swoim przekazie ukrywa rasistowskie treści, które łączy z autorytarną agendą społeczną. Jest przy tym urodzonym zwierzęciem medialnym, potrafi być zabawny i inteligentnie prowokacyjny, przedstawia się jako joker wywracający *status quo* – Royowie wybierają go, gdyż wiedzą, że ktoś taki gwarantuje maksymalną polaryzację, a polaryzacja oznacza oglądalność.

W najbardziej przytłaczającym odcinku, pod koniec czwartego sezonu, obserwujemy wybory z punktu widzenia redakcji ATN. Zwolennicy Menckena atakują punkt wyborczy w liberalnym Milwaukee, spalone zostają głosy, które mogłyby przesądzić o tym, że punkty elektorskie ze stanu Wisconsin otrzyma Demokrata. Kendall i Roman wydają ATN polecenie, by jako pierwsze wielkie medium ogłosiło zwycięstwo Menckena w Wisconsin, a przez to w całych Stanach – gdyż wierzą, że skrajnie prawicowy kandydat jako prezydent będzie lepszy dla ich interesów. Zawodzą się w tych kalkulacjach, przy okazji uruchamiając siły, nad którymi nie są w stanie zapanować – konflikt społeczny, który może jeśli nie pogrzebać, to radykalnie osłabić amerykańską demokrację.

Oglądając „Sukcesję" wielokrotnie zadajemy sobie pytanie o wpływ wielkich pieniędzy na media, a przez media na politykę. Inspiracją dla Waystar Royco było imperium Ruperta Murdocha, właściciela telewizji Fox News i brytyjskiego tabloidu „The Sun", mediów, których poparcie nieraz decydowało o wyniku wyborów w dwóch najstarszych demokracjach na świecie.

Jednocześnie serial nie pozostawia wątpliwości, że Logan jest być może ostatnim z wielkich magnatów medialnych. Choć Waystar Royco rośnie, próbując skupować kolejne media, cały sektor przeżywa kryzys zagrażający jego przetrwaniu. Internet zmienił reguły gry, pogrzebał stary biznesowy model i nie stworzył do końca nowego. Logan wie, że wystarczą jeden, dwa złe ruchy, by jego firma znalazła się w podobnej sytuacji co największy sprzedawca koni w Detroit w momencie, gdy z taśmy produkcyjnej zaczynają zjeżdżać pierwsze modele Forda T.

„Sukcesja" to serial celnie punktujący ekscesy współczesnego kapitalizmu, ale nie jest produkcją naiwnie antykapitalistyczną.

Tytułowa sukcesja odnosi się nie tylko do pokoleniowej sztafety Royów, ale także do zastąpienia mediów starej generacji przez nowe, oparte na internecie i streamingu. Jak powtarza wielokrotnie Logan, „ostatecznie pieniądz zwycięża" – a że Matsson ma więcej pieniędzy niż Royowie, to on przejmuje Waystar Royco. Choć Logan przez trzy sezony walczy, by utrzymać się na powierzchni, by Waystar Royco ostało się jako ostatnia stara korporacja medialna w cyfrowej rzeczywistości, zanim walka tak na dobre się zaczęła, decyduje się na sprzedaż Matssonowi.

Patrząc na pęknięty świat

„Sukcesja" to serial celnie punktujący ekscesy współczesnego kapitalizmu, zwłaszcza w trójkącie wielki kapitał-media-polityka, ale nie jest produkcją naiwnie antykapitalistyczną. Równie bezlitośnie, co z zarządem Waystar Royco, obchodzi się z postaciami, które mogłyby prezentować alternatywę. Brat Logana, Ewan, z jednej strony wygłasza filipiki przeciw mediom Waystar Royco, z drugiej cieszy się życiem milionera dzięki udziałom w stworzonym przez Logana imperium. Rodzina Pierce'ów, od pokoleń wydająca najbardziej prestiżowe, liberalne media, jest gotowa sprzedać je traktowanym przez siebie z góry Royom, gdy tylko usłyszy odpowiednią cenę.

Przypominający Berniego Sandersa senator Gil Eavis nie tylko wchodzi w taktyczny sojusz z Loganem, ale też szybko przyzwyczaja się do korzystania z udostępnianych przez miliardera prywatnych odrzutowców. Ostatecznie walkę o prezydencką nominację Demokratów przegrywa z mdłym centrystą, bezradnym wobec próby ukradzenia wyborów przez Menckena i ATN.

„Sukcesja" odwołuje się tyleż do naszego oburzenia na świat bogactwa i przywileju, co do fascynacji nim. Tyleż potępia zdemoralizowany cynizm władzy, co daje się nim rozkoszować. Pyta: „czy wy potrafilibyście się oprzeć pokusom tego świata?" – i niezależnie od tego, co odpowiemy, wie, jak byłoby naprawdę.

Przewodnikami widzów po tym świecie są dwie postaci z zewnątrz: mąż Shiv, Tom, i wnuk brata Logana, kuzyn Greg Hirsch. To postaci komiczne, mierne, konformistyczne, oślizgłe, a przy tym nie sposób nie odczuwać sympatii do ich poczciwego arywizmu. Pną się wspólnie w górę nawiązując dziwną przyjaźń – pełną walki o dominację, szantaży, wielokrotnych zdrad. Na końcu to oni wygrywają – Matsson wyznacza Toma na stanowisko dyrektora Waystar Royco, Tom ciągnie za sobą w górę Grega. Shiv, po kolejnym małżeńskim kryzysie, wraca do męża, wkrótce urodzi mu dziecko. Trudno jednak cieszyć się tym zwycięstwem, mamy poczucie, że Tom wygrał w świecie, w którym nie wiadomo, czy warto wygrywać.

Jeśli Matsson jest w tym telewizyjnym „Hamlecie" Fortynbrasem, to Tom i Greg są jak Rosenkrantz i Guildenstern, którym na końcu sztuki powierzono namiestnicze rządy nad podbitą Danią. Nie wiemy, czy Tom pozostanie błaznem, czy Matsson wyrzuci go, gdy tylko dokona niepopularnych cięć i zwolnień, czy też arywista ze Środkowego Zachodu ogra uważającego się za geniusza Szweda, tak jak ograł traktujących go z góry Royów.

Finał serialu zostawia wiele pytań bez odpowiedzi. Nie wiemy, co stanie się z amerykańską demokracją, czy Mencken przejmie władzę, czy jego faktyczny zamach stanu zablokują sądy. Serial zostawia nas tylko z poczuciem, że z naszym światem jest coś głęboko nie tak, a nigdzie na horyzoncie nie widać możliwości jego zmiany. Pozostaje patrzeć na to wszystko z melancholijną bezradnością. Przy tym widzów „Sukcesji", w przeciwieństwie do jej bohaterów, przed zawirowaniami świata stworzonego przez takich ludzi jak Logan Roy nie chronią rodzinne miliardy.

© JAKUB MAJMUREK

Niewinni czarownicy

ANITA PIOTROWSKA

Najnowszy film braci Dardenne nie wstydzi się uproszczonego przepisu na kameralne kino społeczne. Dlatego kibicuje się w nim najsłabszym.

Złośliwi mówią o nich, że kręcą w kółko ten sam film. Albo że prowadzą interwencyjny skup ludzkich nieszczęść, społecznych niesprawiedliwości i związanych z tym moralnych zagwozdek. Jednak to, co może wygląda na odcinanie kuponów od własnych sukcesów, dla braci Dardenne pozostaje od lat życiową misją i najwyraźniej nie zamierzają z niej rezygnować.

Unikając (na ogół) fałszywych nut udaje im się łączyć prostotę filmowej opowieści z solidarnością dla nieuprzywilejowanych. Wyłuskują ich raczej z ulic swojego miasta niż z gazetowych nagłówków. Dlatego ich bohaterowie mają żywe, pełnowymiarowe twarze. Gdyby zgromadzić ich wszystkich w jednym miejscu, stanowiliby oskarżenie współczesnej Europy i zarazem mechanizmów niszczących od środka zmarginalizowane środowiska.

Szczególne miejsce w takim gronie zajęliby przyjezdni: nielegalni imigranci wykorzystywani przez pracodawcę w „Obietnicy", młoda Albanka z „Milczenia Lorny" wplątana w gangsterskie porachunki, Afrykanka w „Nieznajomej dziewczynie", która straciła życie, bo odmówiono jej pomocy, tytułowy „młody Ahmed", czyli radykalizujący się w islamie belgijski nastolatek... Najnowszy film, „Tori i Lokita", nie wstydzi się realizować jeszcze bardziej uproszczonego przepisu na kameralne kino społeczne. Dlatego kibicuje się w nim najsłabszym – zwłaszcza wtedy, kiedy pod wpływem desperacji sami pakują się w kłopoty.

Tori (Pablo Schils) musiał uciekać z Kamerunu, gdzie jako dziecko oskarżone o czary został wykluczony ze swojej społeczności, a jego życie było zagrożone. Dużo starszą od siebie Lokitę (Joely Mbundu), pochodzącą z Beninu, poznał na łodzi płynącej do Europy. Ponieważ w przeciwieństwie do niego dziewczyna ma nikłe szanse na otrzymanie azylu, podaje się za siostrę chłopca, czemu belgijscy urzędnicy imigracyjni nie bardzo chcą dać wiarę. Ale bracia Dardenne nie mogli poprzestać na stereotypowym obrazku przybyłych z Afryki przebiegłych kombinatorów.

Już na początku zderzają nas z nagą twarzą Lokity, która co prawda plącze się w zeznaniach, zajmuje się pokątnie dilerką i na dodatek wciąga w to dzieciaka, lecz łączy ich siostrzano-braterska więź, zadzierzgnięta jeszcze na morzu. W dżungli, jaką jest dla nich zachodnioeuropejskie miasto, mogą liczyć tylko na siebie nawzajem.

Trudno również dopatrywać się w tym obrazie zdecydowanej krytyki systemowej. Ośrodek dla uchodźców, w którym przez chwilę bohaterowie wspólnie mieszkają, zdaje się całkiem godnym miejscem, dającym mieszkańcom sporo swobody (zważywszy nocną „profesję" dwunastoletniego chłopca – może nawet zbyt wiele). Na zewnątrz zdarzają się rasistowskie odzywki i powraca znany skądinąd motyw zaniechanej pomocy, ale główne zagrożenie przychodzi z kryminalnego półświatka, gdzie Lokita zarabia na spłatę długu zaciągniętego u afrykańskich przemytników. To oni – handlarze żywym towarem i wysługujący się „nielegalnymi" dilerzy – zdają się główną przyczyną całego utrapienia.

Krytyka belgijskiego państwa odbywa się raczej podskórnie, wymierzona w jego niewydolność i biurokrację, która prześlepia to, co dzieje się między Torim a Lokitą. I co zmusza ich do wejścia na przestępczą drogę. Twórcy „Syna" tam właśnie, w niewidoczne dla systemu „miękkie" rejony (przyjaźni, lojalności, lęku, tęsknoty) kierują swój punktowy reflektor.

Niewinność tej relacji zderzona zostaje z realiami życia w szarej strefie. Dardenne'owie raz jeszcze odtwarzają bezlitosny łańcuch zależności, z których nie sposób się wyplątać, chcąc ocalić człowieka w sobie. Żeby przetrwać w Europie i pomóc swojej rodzinie w Afryce, bohaterka musi pracować. Żeby legalnie pracować, musi sformalizować swój pobyt. Skoro nie dostaje takiej możliwości, próbuje kupić papiery na czarnym rynku, za słoną cenę.

Chwyta się więc najbardziej ryzykownych prac, np. przy pokątnej uprawie konopi indyjskich w odizolowanym od świata hangarze. W tym momencie zaczyna się trochę inny film, czyli klaustrofobiczne studium eksploatacji. Lo-

MATERIAŁY PRASOWE

TORI I LOKITA
(Tori et Lokita) – reż. Luc i Jean-Pierre Dardenne. Prod. Belgia/Francja 2022. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 9 czerwca.

Bracia Luc i Jean-Pierre Dardenne, belgijski duet reżysersko-scenopisarsko-producencki, współpracują od ponad czterdziestu lat. Zaczynali w dokumencie, a rozgłos przyniosła im fabularna „Obietnica" (1996). Najchętniej kręcą filmy w rodzinnym Liège i z udziałem naturszczyków. „Rosetta", „Syn", „Milczenie Lorny" czy „Młody Ahmed" przyniosły im najważniejsze nagrody.

kita zresztą doświadcza jej nagminnie, także jako bezbronna czarnoskóra kobieta. Gdyby Tori był naprawdę czarownikiem, uruchomiłby dla niej swoje supermoce. Teraz może jedynie wysyłać jej pokrzepiające rysunki i podjąć szaleńczą próbę jej uwolnienia.

Wiadomo, że taka historia nie może skończyć się klasycznym happy endem. Jednak belgijskie kino bezwarunkowej empatii uczy nas od lat, że musimy pozostać blisko bohaterów aż do końca. On, dzieciak z sierocińca, być może dostrzega w Lokicie utraconą kiedyś mamę albo siostrę. Ona widzi w Torim młodsze rodzeństwo, które chciałaby uchronić przed stoczeniem się w najgorszy z wariantów imigranckiego losu. Tyle że bracia Dardenne, niczym całkowicie świeccy święci od spraw beznadziejnych, nie mają naiwnych wyobrażeń o świecie. Pielęgnują za to wiarę w liczbę pojedynczą. I dyskretnie podkręcają napięcie, by dać szansę widzowi na pełniejsze utożsamienie z postaciami, a jednocześnie nie złożyć ich na ołtarzu gatunkowej sensacji. Mimo licznych opresji dają im bowiem podmiotowość.

Pod tym względem film „Tori i Lokita", uhonorowany Nagrodą Specjalną w Cannes, działa jak szczepionka przeciwko uprzedzeniom i uogólnieniom związanym z rasą, religią czy przynależnością etniczną. Jeśliby Dardenne'owie mieszkali dzisiaj w Polsce, zapewne zrobiliby film o ofiarach białoruskiej granicy (*nota bene* w 2009 r. wyprodukowali dokument Joanny Grudzińskiej o naszym KOR-ze). Na szczęście robi to już dla nas Agnieszka Holland.

Pojawia się jednak zarzut, że Lokita i Tori nie przeżywają, w przeciwieństwie do wielu innych bohaterów z tego uniwersum, skomplikowanych dylematów etycznych; zamiast nich dostajemy prosty zapis ich walki o przeżycie i bycie razem. Doświadczeni w niefikcjonalnym kinie reżyserzy po raz kolejny stawiają na zwyczajne ludzkie gesty i takież rozwiązania fabularne. A w finale ktoś raz jeszcze zaśpiewa dla kogoś stary włoski przebój „Alla fiera dell'est", towarzyszący bohaterom, odkąd zakończyła się ich morska odyseja i dobili do wybrzeży Sycylii. Podobnie jest z tym filmem. Znacie już? – nie szkodzi. Warto posłuchać tej niefałszowanej melodii raz jeszcze. ©

Lektor:
Kraków mniej znany

KATALOG ZABYTKÓW SZTUKI W POLSCE. TOM IV: MIASTO KRAKÓW. CZĘŚĆ XIV: KOŚCIOŁY I KLASZTORY – GARBARY, ŁOBZÓW, NOWA WIEŚ. *Opracowanie autorskie: Paweł Dettloff, Dagny Nestorow, Rafał Nestorow, Andrzej Włodarek. Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2023, ss. 144 + 485 ilustracji barwnych.*

Blisko sześć dekad temu ukazał się pierwszy tom krakowskiego katalogu zabytków, obejmujący Wawel. Końca nie widać, architekturę świecką dopiero napoczęto (ukazały się monografie Rynku Głównego oraz ulic Sławkowskiej i Świętego Jana), a coraz szczegółowsze opisy obejmują zabytki coraz nowsze.

W tym tomie spodziewałem się znaleźć najważniejsze zespoły zabytkowe historycznej jurydyki Garbary, czyli klasztory i kościoły karmelitów na Piasku (z kaplicą Matki Boskiej Piaskowej) i kapucynów (z Domkiem Loretańskim) – ale zostawiono je na później. Pandemia nie pozwoliła z kolei dokonać inwentaryzacji klasztoru karmelitanek bosych przy Łobzowskiej.

Co więc mamy? Zacznijmy od modernistycznego kościoła św. Szczepana, wzniesionego w latach 30. minionego wieku pod kierunkiem Franciszka Mączyńskiego. Kościół jest nowy, ale parafia średniowieczna, a śladem po jej pierwotnej siedzibie wewnątrz murów miejskich pozostała nazwa placu Szczepańskiego. We wnętrzu zaś, obok polichromii i witraży współczesnych architekturze, znajdziemy XV-wieczną chrzcielnicę, XVII-wieczny ołtarz boczny, a w ołtarzu głównym – „Męczeństwo św. Szczepana", przypisywane manieryście Hansowi van Aachen. Są też relikwiarze i tkaniny liturgiczne związane z dawnym kościołem parafialnym, zburzonym w XIX wieku.

Wzniesiony przez Wandalina Beringera kościół zmartwychwstańców przy Łobzowskiej (1886-87) nie przedstawia się z zewnątrz okazale – polichromowane wnętrze z odsłoniętą więźbą dachową, nawiązujące do architektury wczesnochrześcijańskiej, jest znacznie ciekawsze. No i tu właśnie chodziła na niedzielne msze mieszkająca niedaleko, przy Sobieskiego, rodzina Turowiczów, co wiem od Olawii Turowiczówny, najmłodszej siostry Redaktora.

Skoro zaś jesteśmy przy „Tygodniku" – trzeci z zabytków opisanych w tym tomie, czyli zbudowany w końcu XIX wieku kościół misjonarzy, był kościołem sąsiedzkim Józefy Hennelowej. A wśród obrazów przechowywanych w domu zakonnym znalazło się m.in. bardzo interesujące płótno przedstawiające Świętą Rodzinę, powstałe zapewne w Rzymie na przełomie XVII i XVIII wieku. Czekamy na następne tomy i kolejne niespodzianki! ©℗

OLGA

Drenda: *Rozmówki polsko-marsjańskie*

Nie oglądałam „Sukcesji", wiem tylko, że się skończyła. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to brzmi jak pretensjonalny manifest snoba – „nie będę interesować się czymś, co jest popularne". Nic takiego, lubię wiele popularnych filmów czy seriali; jest mi raczej szkoda, ponieważ jestem pewna, że to bardzo dobra produkcja i coś straciłam, nie obejrzawszy. Po prostu popandemiczna klęska urodzaju w kulturze, mam wrażenie, zmierza do punktu krytycznego; lista książek, filmów, gier, z którymi warto się zapoznać, wydłuża się i wciąż dochodzą nowe, o których warto też z miejsca wyrobić sobie zdanie, bo dyskusja to czasem równie ciekawy ciąg dalszy dzieła. Pojawia się jednak wszystkiego tak wiele, że pracując jako – najszerzej mówiąc – również producentka treści, czuję się czasem jak ktoś, kto za dnia pracuje młotem pneumatycznym, a po godzinach stara się bezskutecznie relaksować przy starej muzyce industrialnej (np. pierwszych płytach Einstürzende Neubauten). Przerób informacji jest tak szybki, że czasem jedyne wyjście to zamknąć na chwilę oczy i uszy. Zwłaszcza dla kogoś, kto – tak jak ja – pasuje do starego powiedzonka „piszę powoli, bo wiem, że czytasz powoli".

Zdałam sobie jednak sprawę, że przytrafił się nam coraz rzadszy przypadek serialu, który wciągnął umownych „wszystkich" (a przynajmniej trafiał na nagłówki, do analiz prasowych i budził emocje wśród znajomych). To znaczy, że wielu ludzi kojarzy powiedzonka, postacie, sceny, wspólne punkty odniesienia i że zostaną one zrozumiane w luźnej rozmowie, trafią na memy, a nawet koszulki. Ta chwila w kulturze kończy się dość niespodziewanie, bo jeszcze niedawno wydawało się pewne, że wiele może dzielić ludzi, ale łączy ich wspólne popkulturowe czy raczej serialowe dziedzictwo – umowne kojarzenie, o co chodzi w „Breaking Bad", co to znaczy, że jakaś złowroga wiadomość „jest jak z Black Mirror", a polityk zachowuje się „jak w House of Cards", nawet jeśli znało się te produkcje piąte przez dziesiąte. Dzisiaj – być może ze względu na to, że produkcji powstaje coraz więcej – coraz szybciej przewijają się one przed oczami, a zarazem łatwiej o nich zapomnieć. Tym bardziej że platformy serialowe bez sentymentów wyrzucają kolejne tytuły ze swoich archiwów (co sprzyja dyskusjom o pożytkach z piratowania i o tym, że nieoczekiwanie użytkownik pewnego serwisu z gryzoniem może stać się kimś, kto ocalił jedyną zachowaną kopię zaginionego filmu).

Kultura popularna bywa dyskredytowana jako zjawisko tymczasowe i błahe, ale być może teraz łatwiej zauważyć jej znaczenie dla komunikacji i budowy więzi. Zdarza się, że w warunkach pogłębiającej się wzajemnej obcości fakt, iż rozumiemy ten sam żart albo pamiętamy tę samą filmową scenę, może okazać się zbawienny – jak wśród ludzi, którzy mówią radykalnie innymi językami, np. polskim i marsjańskim, ale trafiają na jeden podobny gest, znak, który daje odrobinę ulgi i nadziei.

„Ich wiedza obejmuje co najwyżej ostatnie 10 lat" – wspomniała kiedyś pewna nauczycielka o nowych uczniach w szkole średniej. To oznacza, że coraz bardziej niezrozumiałe mogą stać się nie tylko lektury szkolne, ale też powiedzenia „jak z Barei", „historii tego swetra i tak byś nie zrozumiał" albo „weź się, tato". To coś więcej niż zwyczajna różnica pokoleniowa – bardzo szybko, być może w pandemicznej pauzie, zaistniała przerwa w ciągłości kulturowej, w obiegu rzeczy potocznych i zasłyszanych. Wiele dyskutuje się o tym, czy warto czytać w wieku szkolnym książki sprzed stu lat (sama uważam, że nie zaszkodzi), ale co zrobić, gdy niezrozumiały staje się ulubiony serial trochę starszego brata?

Dlatego, choć nie oglądałam „Sukcesji", ucieszyło mnie pojawienie się serialu, o którym znów mówią może nie wszyscy, ale wielu. Znaczenie takich fenomenów należy doceniać. Być może nie zbiorę się do tego, by rzeczywiście obejrzeć całość (nie tylko czytam i piszę, ale również oglądam powoli), ale tak, jak kiedyś przydawały się bryki z lektur szkolnych, tak teraz chętnie skorzystam przynajmniej z bryków z bieżącej kultury popularnej. Z „Sukcesji" i „Białego Lotosu", z „Heartstoppera" i „Among Us" – „wielkie" czy „błahe", to nie ma znaczenia, bo liczy się to, żeby były wspólne, jak podstawowe rozmówki polsko-marsjańskie. ©

OLGA DRENDA

Kiosk UFO jest piękny, ale nie wiem, czy można kupić w nim podręcznik do marsjańskiego.

PAWEŁ

Bravo:
Na diecie Lipskiej

Liczbę początkową sobie dziś darujemy. Granica między porządkującym życie rytuałem a czczą grą formą jest niewyraźna i nie będziemy ryzykować jej przekraczania w tygodniu, kiedy tylko jeden rachunek się w naszym kraju liczył. Ciągi zer wypełnionych ludzką ciżbą znalazły się w ogniu sporu, jakby w tej politycznej kabale każdy znak decydował o przyszłości. Skądinąd tak bardzo bliskiej, październikowej przecież, że wystarczy zaczekać, aż pewnej niespokojnej nocy będzie się liczyć nie nogi, tylko krzyżyki.

Biedna moja głowa kucharza bez dyplomu nie nawykła do obracania abstrakcjami. Poza tym nie mogłem obserwować naocznie warszawskiego marszu, poczuć jego pulsu i owego franciszkowego zapachu owczarni. Owszem, nozdrza moje podrażniła w niedzielę woń innych kopytnych: dorożkarskich koni z krakowskiego Rynku (a ściślej, końskich śladów na bruku, bliższego opisu nie wypada tutaj proponować), podczas gdy z trudem przeciskałem się przez tłum, wciąż niepewny, czy jestem na lokalnym marszu demokratów, czy na paradzie smoków.

Oba zazębiające się zgromadzenia różniły się choćby rodzajem falujących nad głowami symulakrów. Przy czym karykatury prezesów, prezydentów i premierów oraz kaczek wychodzą nam znacznie lepiej niż smoki – te były przeważnie okropne. Niestety, ponura geopolityka nie pozwoli, by nasza młodzież mogła latać na kursy dragonograficzne do Chin. Widziane z daleka, tworzyły jednak tłumne *continuum* stawiające podobne pytanie: o wąziutkie przejście między domeną znaków, wyobrażeń i pojęć a konkretem świata przeżywanego. Kto kręci kluczykiem w jego furtce i decyduje, że te akurat, a nie inne niematerialne byty stają się aż zbyt życiowo obecne, a ludzie ocknięci z codzienności zwalają pomniki i rwą bruk, kołyszą się tysiącami jak jedno ciało? W gniewie albo zabawie.

„Geldberg marzy, aby kołysał się cały naród, a nie tylko dwoje na huśtawce" – kończy pani Ewa Lipska jeden z medalionów prozy poetyckiej, ten, który opowiada o kraju, w którym chciałby się kołysać bohater jej najnowszego zbioru. Jest jedną z tych kilku, coraz rzadszych osób, które sekrety zamka w tamtej furtce znają na wylot, ale dzieli się tą wiedzą rzadko i oszczędnie. Dlatego wziąłem do rąk „Wariacje Geldbergowskie" z wesołą nadzieją, ale nie mogłem przeczuć, że dotkną mnie aż tak do żywego, do środka mózgu, jakby te ciche w tonie zdania rozwierciły mi ośrodek mowy, rozcięły i wypłukały ze słownych złogów nabrzmiałe płaty odpowiedzialne za kompetencje językowe i komunikację.

Z trudem zbieram z powrotem jakieś przypadkowe, poobijane swoje słowa. Przez jakiś czas po połknięciu tego cieniutkiego tomu należałoby zapaść na afazję, albo, jeśli już zwracać się do bliźnich, to mówić Lipską. Może szczególnie w czasie przyboru słownego szlamu, ten krótki opis, zmapowanie całości ludzkiego widnokręgu, jest nam potrzebny, jak ucieczka do cichych źródeł wiedzy o sobie. Karmiłem się Geldbergiem przez kilka dni, w sensie fizjologicznym także, bez przyjemności wchłaniając szczątkowe substancje tylko kiedy żołądek raz dziennie awanturował się, żeby rzucić mu do środka byle co.

Akurat czas jest taki, że „byle co" mamy w najlepszym gatunku. Twaróg – chciałoby się wierzyć, że z mleka krów skubiących już nową łąkę. Ale nawet jeśli to nieprawda, to przez sugestię smakuje lepiej. Ze świeżym miodem rzepakowym, jeszcze uchwyconym w stanie płynnym, od znajomego pszczelarza. Nie macie znajomego pszczelarza? Zadbajcie o to, rzecz równie istotna jak mieć w notesie telefon do dobrego lekarza i prawnika. Młode ziemniaki, które ledwo zdążę osolić, nawet koperku nie chce mi się siekać. Zsiadłego mleka warto by popić, takiego domowego, nie z pojemnika – ale nie miałem głowy, żeby jeździć na targ w poszukiwaniu niepasteryzowanego od krowy w nie bardzo czystej butelce po wodzie mineralnej. Czytałem, czytałem. Geldberg „zrezygnował z apokalipsy deseru, a z kulinarnej Księgi Rodzaju wybrał grzeszną nieśmiertelność i potop wody mineralnej". Pierwszy raz w życiu świadomie znalazłem się na diecie, diecie Lipskiej. Słowa, twaróg, ziemniaki i cisza. ©℗

Zwieńczeniem czerwcowego byle-czego są oczywiście truskawki, nareszcie po dziesięć za kilogram. Rabarbar idzie zatem w kuchenny kąt. Pożegnajmy go ciastem, którego przepis zaadaptowałem z godnego polecenia serwisu smittenkitchen.com.

PAWEŁ BRAVO

600 g rabarbaru tniemy na małe kawałki, macerujemy w misce z łyżką soku cytrynowego i 100-120 g cukru. 120 g miękkiego masła ucieramy ze 100 g cukru, aż zrobi się puszyste, dodajemy po kolei, mieszając, 2 jajka. W osobnej misce łączymy 170 g mąki z łyżeczką proszku do pieczenia, szczyptą soli i mielonego imbiru lub kardamonu. Dodajemy połowę tej mikstury do utartego masła, mieszamy, dolewamy 40 ml maślanki, dalej mieszamy, potem reszta mikstury i kolejne 40 ml maślanki. Przelewamy do formy ok. 20x30 cm wyłożonej papierem, wyrównujemy, wykładamy rabarbar. Posypujemy kruszonką otrzymaną z szybkiego zmieszania 120 g mąki krupczatki z 50 g cukru, kardamonu i 50 g stopionego masła. Pieczemy w 180 stopniach około godziny, aż będzie w środku całkiem suche.

ZMYSŁY

ZEN NIEDŹWIEDZIA

Był sobie alchemik. Spędził lata na próbach transmutacji ołowiu w złoto, aż tu nagle bryła kruszcu sama wpadła mu w ręce. Tak Pep Guardiola dostał Erlinga Haalanda. Skąd właściwie bierze się czyste złoto?

MICHAŁ OKOŃSKI

PHIL NOBLE / REUTERS / FORUM

22-letni napastnik z Norwegii zgarnął wszystkie nagrody indywidualne w zakończonym właśnie sezonie Premier League. Erlinga Haalanda wybrano najlepszym graczem i najlepszym młodym graczem rozgrywek; w swoim werdykcie zgodni byli zarówno członkowie związku zawodowego piłkarzy, jak dziennikarze piszący o futbolu. W 35 występach ligowych zdobył 36 bramek i został królem strzelców, a przy okazji – już w pierwszym roku pobytu w Anglii – pobił niemal 30-letni rekord największej liczby trafień w sezonie. Jeśli doliczyć mecze pucharowe – w 51 występach strzelił 52 gole. Z Manchesterem City sięgnął po mistrzostwo i puchar Anglii, a w sobotę ma szansę dołożyć jeszcze triumf w najbardziej prestiżowych rozgrywkach kontynentu – Lidze Mistrzów, gdzie drużyna z Anglii zmierzy się z Interem Mediolan.

Wasze strzały nie mają nośności – zauważył Mistrz – bo brak im duchowego zasięgu.

Ale wzrok przyciągają nie tylko rekordy Haalanda. Na Wyspach twarz piłkarza zdobi okładki luksusowych magazynów, a rubryki modowe poważnych dzienników zachwycają się jego zmysłowymi ustami (sprawiającymi, jak pisze Morwenna Ferrier w „Guardianie", wrażenie pogryzionych przez pszczoły), fryzurami (kiedy w końcówce meczu z Arsenalem [patrz zdjęcie – red.] rozpuścił włosy i pędził po kolejnego gola z rozwianą grzywą, trudno było nie pomyśleć o biblijnym Samsonie, który wciąż nie spotkał swojej Dalili), ale i zakładanymi również w dzień jedwabnymi piżamami, wśród których uwagę przyciąga zwłaszcza ta o prostym geometrycznym nadruku inspirowanym włoską majoliką. W sklepie Dolce & Gabbana zapłacić trzeba za nią nieco ponad dwa tysiące funtów, co w przypadku Haalanda przekłada się na kilkadziesiąt minut pracy.

Gdzieś trzeba wydawać pieniądze, można by zauważyć. I gdzieś jeszcze szukać azylu od zawodowego sportu – innym superbohaterom tego świata, np. Lewandowskiemu czy Ronaldo, zdającego się pochłaniać całą przestrzeń dostępnej im aktywności. Norwega, jak tamtych, nie napędza jednak pragnienie samodoskonalenia, on po prostu cieszy się tym, co robi, czytaj: strzelaniem bramek.

Wiemy oczywiście – mówił o tym lekko skrępowany, bo z perspektywy poważnych graczy to zabawa dla dzieciaków – że w czasie wolnych popołudni relaksuje się w którejś z komnat twierdzy „Minecrafta". Ale prawdziwym kluczem do rekordów Haalanda jest medytacja. To dzięki niej młody Norweg potrafi zbudować wokół siebie tarczę ochronną. I zachować równowagę w konfrontacji nie tylko z falą popularności, ale także z presją oczekiwań, o koncentrowaniu się przed ważnymi meczami nie wspominając. „Stres nie jest dobry dla nikogo – tłumaczy – Nie lubię być zestresowany i staram się nie być zestresowany. A medytacja w tym pomaga".

W napinanie cięciwy nie należy wkładać siły całego ciała. Trzeba nauczyć się robić to wysiłkiem samych dłoni. Mięśnie rąk i barków powinny być rozluźnione, jak obojętni świadkowie wydarzeń.

Świat futbolu daremnie próbuje zrozumieć fenomen jego skuteczności. „On nie może być człowiekiem" – mówił bramkarz FC Kopenhaga po tym, jak Norweg strzelił mu dwie bramki. Haaland grał przeciwko niemu 45 minut. Miał jedenaście kontaktów z piłką: cztery z nich były strzałami. Czy mam dodawać, że celnymi?

W tekstach dziennikarzy sportowych regularnie pojawiają się, wzmacniane także przez grafiki rozpowszechniane w mediach społecznościowych, porównania norweskiego napastnika do elektronicznego zabójcy, Terminatora czy Robocopa. Wyznawcy teorii spiskowych zbierają podpisy pod petycją mającą na celu usunięcie go – jako domniemanego robota – z Premier League. Co bardziej oczytani starają się widzieć w nim wcielenie jednego z nordyckich bóstw, najlepiej długowłosego Thora, albo przybysza z uniwersum „Avatara" – zwłaszcza że jest potężnie zbudowany: ma 195 centymetrów wzrostu i 94 kilo wagi.

Ale każde z tych porównań chybia celu. W tym, jak gra Norweg, nie ma nic nadludzkiego czy nieludzkiego, przeciwnie: trenujący go od roku Pep Guardiola mówi o kompletnej naturalności Haalanda. Czasami w swoim rozluźnieniu wydaje się wręcz nonszalancki. Kiedy pędzi przez boisko, jego susy przypominają sprint niedźwiedzia polarnego; w życiu nie powiedziałbyś, że z taką posturą można być tak szybkim.

Niekiedy, owszem, strzela gole niebywałej urody – Southamptonowi z powietrza, uderzeniem zwanym w futbolu „nożycami", dawnemu klubowi z Dortmundu trafieniem raczej z arsenału wojowników kung-fu, stopą zawieszoną na wysokości 210 centymetrów. Ale głównie trafia z najbliższej odległości, lewą nogą w prawy róg bramki, wyrastając gdzieś pomiędzy rywalami, o ułamek sekundy szybszy albo o ułamek niutona silniejszy. A przy tym nigdy nie domaga się od kolegów, by oddali mu piłkę – i nie ma pretensji, gdy tego nie zrobią. W profilu psychologicznym napastnika mającego na koncie tyle bramek ten brak pazerności to niespotykana cecha.

Prawdziwa sztuka, słuszna sztuka – wykrzyknął Mistrz – niczego za cel sobie nie stawia, donikąd nie zmierza! Z im większym uporem będziesz próbował nauczyć się strzelać po to, żeby strzała trafiła do celu, tym gorzej będziesz strzelał.

↦

↦ I chyba właśnie to, że medytuje, a oni nie, jest jednym z powodów, dla których próbujący go upilnować obrońcy tracą czasem koncentrację, on zaś przez cały czas pozostaje w stanie uważności. To jeden z paradoksów przyglądania się grze najskuteczniejszego strzelca dzisiejszego futbolu: przez większość meczu zdaje się przebywać poza zgiełkiem boiskowych wydarzeń, w ciągu 90 minut dotykając piłki zaledwie kilkanaście razy (co w drużynach Guardioli brzmi jak herezja), ale kiedy trzeba – spada na nią jak sokół. Nawet jeśli przed sekundą odbiła się od kogoś przypadkowo – on jakby wiedział, że to nastąpi. Jest przy niej we właściwym miejscu i czasie. Wyczucie decydującego momentu ma jak naciskający migawkę swojej leiki Henri Cartier-Bresson. Albo jak mistrz sztuki łucznictwa, opisywany w klasycznym dziele Eugena Herrigela.

Kiedy grał w Niemczech, celebrował czasem strzelenie bramki siadając na boisku w padmasanie – pozycji zwanej w jodze kwiatem lotosu. Nie wszyscy rozumieli przekaz: piłkarze Paris Saint Germain postanowili go nawet sparodiować. Nie poczuł się urażony: „Myślę, że pomogli podnieść świadomość medytacji na całym świecie. Dziękuję im za to".

„Lotos unosi się na wodzie i rośnie w stronę słońca, ku niebu, ale jego korzenie umiejscowione są stabilnie pod wodą – tłumaczą jogini znaczenie tej asany. – Kiedy tafla wody się porusza, kwiat lotosu rusza się razem z nią, ale jego korzenie są trwałe i mocne".

> *Strzał tylko wtedy można oddać w sposób płynny, jeśli dla samego łucznika jest on zaskoczeniem – tak, jakby cięciwa nagle przecięła przytrzymujący ją kciuk.*

Rzecz w tym, że korzenie Haaland faktycznie ma mocne. Alf Ingve Berntsen, który nadzorował jego rozwój w szkółce norweskiego Bryne, mówi portalowi The Athletic, że szybkość i siła zawodnika nie są efektem treningu, tylko genów. Matka uprawiała siedmiobój. Ojciec – obrońca Alf-Inge Haaland – również grał w MC. Ci, którzy śledzili angielską piłkę przed dwudziestu laty, pamiętają brutalny faul, jakim szukający rewanżu Roy Keane z Manchesteru United (Haaland-ojciec był wcześniej sprawcą kontuzji Irlandczyka, choć nie działał z premedytacją) faktycznie skończył jego karierę piłkarską.

Zanim wrócili do Norwegii, maleńki Erling bawił się na zapleczu ośrodka treningowego City – a kiedy wrócili, sam rozpoczął treningi, nie tylko zresztą piłkarskie, bo grał też w piłkę ręczną i świetnie skakał w dal. Ojciec wspierał go, ale – jak podkreślają ówcześni futbolowi opiekunowie chłopca – wiedząc, w którym momencie jego rola się kończy; mimo wielkiej futbolowej wiedzy pozwalając działać innym.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Debiut w pierwszej drużynie Bryne w wieku 15 lat, rok później transfer do Molde. Erling nie był jeszcze tak wysoki i silny, pracował więc nad koordynacją ruchową. I uczył się myślenia na boisku.

> *Musisz trzymać naciągniętą cięciwę – odparł Mistrz – tak jak dziecko trzyma palec, który mu podsunięto.*

Jako 18-latek był już w Salzburgu, gdzie pod skrzydłami Red Bulla hoduje się młodzieńców stworzonych do intensywnej gry, zgodnie z wizerunkiem kreowanym przez napój tej firmy. Odpowiedzialny tam za jego rozwój szkoleniowiec opowiadał potem, że przed transferem obserwowali go przez trzy lata, i że oprócz skuteczności imponował im zwłaszcza pozytywną energią.

Ten wątek będzie się powtarzał w opowieściach o Norwegu, który niedawno zrezygnował – wbrew woli trenera – ze strzelania karnego na rzecz mającego szansę na hat trick kolegi. Po golach, nie tylko swoich, ale także pozostałych członków drużyny, cieszy się jak dziecko. W dzisiejszych czasach, gdy futbol stał się maszyną do zarabiania pieniędzy i ubijania politycznych interesów (właścicielami Manchesteru City są szejkowie ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, to m.in. dzięki ich inwestycji w brytyjski klub taką karierę zrobiło pojęcie sportswashingu), podobnie czysta radość grania jest już rzadkością.

Może zresztą dlatego tylu obserwatorów dzisiejszego futbolu uważa Haalanda za przybysza z innej planety: normalność i spontaniczność niemal odruchowo uważa się tu za starannie wykreowany produkt marketingowy.

> *Nie potrafisz – powiedział Mistrz – bo źle oddychasz.*

Wiecznie uśmiechnięty, bawi się także w rozmowach z dziennikarzami, a jego wypowiedzi przybierają czasem formę jednozdaniowych koanów. Pogodą ducha zaraża także innych członków drużyny. Mówią, że jak na gwiazdę tego formatu jest niewiarygodnie wręcz naturalny. Że wyzbył się ego. I że sprawia, iż także oni grają lepiej. Uwielbiają jego towarzystwo na boisku, nawet jeśli poza nim zamiast dołączyć do wspólnej gry w karty, czyta artykuły o pożytkach z dobrego snu i diety.

Ta ostatnia nie przypomina skądinąd diety zawodowego sportowca: rosnący w błyskawicznym tempie Haaland zachwalał niegdyś smak wątróbki i pełnotłustego mleka. W filmie „Big Decision" tłumaczy, że kluczem jest jakość pożywienia: jeśli mięso, to nie z McDonald's, tylko z krowy, która pasie się na łące obok jego domu. Choć w Manchesterze widuje się go również we włoskich restauracjach, a historia lazanii, którą przyrządza mu ojciec (kiedy podał mu ją pierwszy raz – Erling strzelił hat tricka), stała się obowiązkowym punktem każdego portretu piłkarza.

Gdy w trakcie mistrzostw świata do lat dwudziestu zdobył dla Norwegii dziewięć bramek w meczu z Hondurasem, było jasne, że długo w Austrii nie pogra. W 2020 r. przeszedł do Borussii Dortmund, gdzie również śrubował rekordy; jeśli podsumować statystyki z trzech pierwszych dorosłych klubów Norwega, zdobył 135 goli i miał 36 asyst przy golach kolegów w zaledwie 166 występach.

> *W boju tym łucznik mierzy w siebie samego – a jednak nie w siebie samego; trafia w siebie samego – a jednak nie w siebie samego. W ten sposób staje się on jednocześnie celem i tym, kto celuje, strzelcem i strzałem.*

Kiedy pojawiał się w Manchesterze, wielu miało jednak wątpliwości – wzmocnione jeszcze po tym, jak rozczarował w debiutanckim meczu z Liverpoolem. I nie chodziło tylko o to, czy jego organizm wytrzyma trudy gry w Premier League – zwłaszcza że przez rok w Dortmundzie opuścił z powodu kontuzji aż 16 spotkań.

Tu sprawa była prosta: przestał wreszcie rosnąć, a w City wiedzą, jak dbać o jego ciało. Z przydzielonym mu fizjoterapeutą jeździ nawet na mecze reprezentacji Norwegii, a z tego, jak wiele czasu spędza na stole do masażu, koledzy z drużyny długo się naśmiewali. Nawet jeśli pozbywa się meczowej adrenaliny w świecie „Minecrafta", na kilka godzin przed snem odkłada wszystkie urządzenia elektroniczne – o jakość snu dba równie mocno, jak o jakość pożywienia.

Wątpliwości dotyczyły raczej kwestii, czy będzie pasował do koncepcji Pepa Guardioli. Trenera przekonanego, że nawet jeśli kibice najbardziej kochają napastników, to futbol byłby ciekawszy, gdyby można było się bez nich obejść.

Mistrz szermierki posiada nieświadomą siebie naturalność początkującego.

Szkoleniowiec ten podczas pracy w Bayernie umiał, owszem, wydobyć to, co najlepsze, z Roberta Lewandowskiego, ale Polak oprócz tego, że był superstrzelcem, umiał rozgrywać piłkę z dala od bramki rywala. Generalnie bowiem u Guardioli napastnicy mają schodzić do drugiej linii – drużyny Katalończyka tworzą tam przewagę jednego zawodnika i uzyskują dominację w meczu. O ile jednak trener MC uwielbia kontrolę, o tyle żywiołem Haalanda jest gra błyskawiczna i bezpośrednia. Trudno było się nie obawiać, gdy mający obsesję na temat posiadania piłki i płynnej gry podaniami szkoleniowiec sprowadzał piłkarza, u którego posiadanie piłki i gra podaniami należały do niewielu faktycznie słabych punktów. „Nieżyczliwi Guardioli często zarzucają mu nadmierne przywiązanie do własnych metod – komentował Barney Ronay. – Trzeba przyznać, że tym razem naprawdę wychodzi ze swojej strefy komfortu".

Być może jednak coś takiego jak strefa komfortu Guardioli nie istnieje. W poprzednich latach wydawało się, że jego drużyny grają w sposób najdoskonalszy z możliwych, ale on nieustannie coś poprawiał. W meczach rozstrzygających o triumfie w Lidze Mistrzów obracało się to przeciw niemu: jedna roszada w składzie za dużo, jedna innowacja taktyczna za daleko i w półfinale czy finale tych rozgrywek bardziej pragmatyczni rywale byli górą. Mówiono wtedy, że „przekombinował".

Trzymasz samego siebie na uwięzi, i dlatego prawidłowy strzał nie następuje we właściwym momencie. Nie oczekujesz spełnienia, lecz natężasz się, żeby stawić czoła niepowodzeniu.

Otóż mając w składzie Haalanda trudno „przekombinować". Owszem, zdarzały się mecze, w których Norweg odpoczywał, a MC – z Juliánem Álvarezem grającym w ataku, „jak Guardiola przykazał", zwyciężał oszałamiająco pięknie. Na ogół jednak wystarczyło ograniczyć się do prostych metod. Podanie do wybiegającego za plecy obrońców i wygrywającego z nimi pojedynek sprinterski Norwega. Dośrodkowanie w pole karne i patrzenie, jak wybija się w powietrze, otrząsa się z próbujących mu przeszkodzić rywali, a potem główkuje. Zagranie, o zgrozo, długiej piłki i przyglądanie się, jak po jego strzale piłka niemal rozrywa siatkę. Uderzenie z dystansu i liczenie na dobitkę Norwega. Nigdy jeszcze u Guardioli nie wyglądało to tak trywialnie.

MICHAEL REGAN / GETTY IMAGES

Pilnujący go obrońcy tracą czasem koncentrację, on zaś pozostaje wciąż w stanie uważności. Błogosławiony skutek medytacji?

Może więc Haaland nie jest bryłą złota, a Guardiola alchemikiem? Może lepszym porównaniem byłoby przedstawienie go jako maczugi trafiającej w ręce wyrafinowanego fechmistrza posługującego się dotąd szpadą? Jeśli uda im się wygrać Ligę Mistrzów – dla klubu będzie to pierwszy raz w historii, dla Guardioli pierwszy od 12 lat, poprzednio zrobił to jako młody szkoleniowiec Barcelony – z pewnością żaden nie będzie narzekał. Większość ekspertów uważa zresztą, że sprowadzenie Haalanda miało być ostatnim krokiem umożliwiającym Manchesterowi City zwycięstwo w najważniejszych europejskich rozgrywkach.

Łucznik, chcąc nie chcąc, stać się musi niewzruszonym centrum. I wtedy zdarza się cud ostateczny, cud najwyższego rzędu: sztuka staje się „sztuką, w której niczego sztuką nie dokażesz", strzelanie przeradza się w nie-strzelanie, w strzelanie bez łuku i strzały.

Nawet jeśli i tym razem piłkarzom MC się nie uda (choć w finałowym starciu z Interem są faworytami), trudno nie być pod wrażeniem sposobu, w jaki ich trener utrzymuje postawę twórczego napięcia. Niby powtarza co jakiś czas, że doskonałość w futbolu nie istnieje, ale od chwili, gdy zaczął pracę w Barcelonie, nie przestaje jej szukać. A przesuwając granice możliwości rozwoju piłki (a także wracając do jej korzeni: czasami ustawienie drużyny Pepa przypomina znany sprzed stu lat system W-M), inspiruje kolejne pokolenia trenerów i piłkarzy. Największym rywalem Guardioli do tytułu mistrza Anglii był w tym roku jego niedawny asystent, prowadzący Arsenal Mikel Arteta, do angielskiej ekstraklasy awansowało właśnie Burnley trenowane przez niedawnego kapitana MC Vincenta Kompany'ego, mistrzostwo Hiszpanii wygrała Barcelona Xaviego, który jako piłkarz wygrywał Ligę Mistrzów właśnie pod Guardiolą.

Pragnienie nieustannego udoskonalania czegoś, co już wydaje się doskonałe, Pep zaczął zresztą ostatnio realizować odpuszczając Erlingowi. Pogodzony chyba z faktem, że z Norwegiem w składzie będzie po prostu wygrywał mecze strzelając mnóstwo goli, postanowił z grającego przez całe życie na środku obrony Johna Stonesa ulepić środkowego pomocnika.

I tak upłynął wieczór i poranek – w międzyczasie zaś Haaland w swojej jedwabnej piżamie spał jak niemowlę.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Cytaty użyte w tekście jako śródtytuły pochodzą z książki „Zen w sztuce łucznictwa" Eugena Herrigela (przeł. Michał Kłobukowski).

STANISŁAW

Mancewicz:
Na komisji

Podchodząc do zagadnienia czysto psychologicznie, polskie komisje śledcze dają zawsze wiele powodów do radości, przede wszystkim ludziom z kompleksami. Ludziom niesłusznie uważającym się za słabszych intelektualnie, niedouczonym, nieoczytanym bądź pozbawionym elementarnych manier.

Oto każda komisja złożona z polityków bezwstydnie i bez oporów prezentowała, czy może raczej odsłaniała, jakość polskiej edukacji od przedszkola po procesy habilitacyjne. Były to takoż zawsze spektakle demoralizujące naszą znakomitą młodzież, jakość bowiem wypowiedzi bądź procesów myślowych reprezentantów narodu, z tytułami czy bez, musiała skłaniać do tzw. refleksji i zadumy. Do zadawania sobie pytań – pardon – i egzystencjalnych, i metafizycznych, i całkiem praktycznych, czy oto – dajmy na to – warto się uczyć czytać i pisać po polsku i niepolsku bądź trwonić czas na kłopotliwe ćwiczenia z rachunków, czy ten mozół ma sens, skoro można ledwie dukając mieć i dobrą posadę, i być w telewizji? O immunitecie umożliwiającym bezkarne prowadzenie samochodu po pijaku nie wspominamy, jest bowiem oczywiste, że ten akurat przywilej jakże często przesądza o wybraniu kariery politycznej w Polsce. Wiadomo to, odkąd upowszechniło się posiadanie aut, że przepisy, dzięki którym można uniknąć ścigania za jazdę po ćwiartce, są uważane za kluczowy bodziec w podejmowaniu decyzji o startowaniu w wyborach do parlamentu. To chyba jasne. Choć tu i ówdzie słyszymy właśnie głosy oburzonych, że to generalizowanie i bezmyślne wrzucanie wszystkich do jednego wora. Owszem, trochę tak, ale proszę zważyć, że nie bezmyślne.

Cały ten uniwersalny wstęp był po to, by wprowadzić czytelnika w krótkie omówienie zespołu czynności bardzo w Polsce lubianych, tzn. pisania donosów i prowadzenia przesłuchań. Od dziesiątek lat dość powszechnie wiadomo, że znakomita większość urzędów zajmujących się kontrolowaniem obywateli nie prowadzi żadnych własnych poszukiwań występku, a po prostu, by wypełnić wszystkie do cna swe statutowe roboczogodziny, jedni urzędnicy donosy pierw sortują, inni je czytają, inni je interpretują, a jeszcze inni archiwizują. Tak jest wszędzie. Dla wielu obywateli napisanie donosu jest jedyną okazją do wyrażenia siebie, rozwinięcia ekspresji pisarskiej i do użycia języka ojczystego w piśmie. Warto dorzucić, że jest to najpowszechniejsza kompetencja w Polsce zdobywana na drodze samouctwa, choć oczywiście doświadczenia przeszłych pokoleń spadające z dziadów pradziadów na wnuki prawnuki na pewno nie idą na marne.

Marzenie o przesłuchiwaniu bliźniego też jest powszechne. Ciągle słyszymy, jak bardzo, można to marzenie postawić w jednym szeregu z erotycznymi fantazjami Polaków, publikowanymi rok do roku przez globalnego producenta prezerwatyw. Rzesze rodaków fantazjują publicznie lub anonimowo na temat przesłuchiwania bliźnich. Istnieje przynajmniej teoretycznie bariera formalna, którą trzeba pokonać, by móc kogoś oficjalnie przesłuchać w świetle prawa bądź – jak kto woli – uprawianego tu na całego bezprawia. Ale, jak mówią słowa piosenki, „każdemu wolno marzyć", więc marzymy.

Rzecz jasna, przesłuchujących jest wciąż mniej niż twórców donosów, ale to się niebawem zmieni w związku ze sławną już zapowiedzianą komisją sprawdzającą wpływy rosyjskie. Wpływy oczywiście są, zwłaszcza te deformujące polszczyznę. We wszystkich komentarzach na temat wpływów rosyjskich na polskie życie, bądź polityczne, bądź gospodarcze, roi się od rusycyzmów. Od zapożyczeń z rosyjskiego poprzez kalki leksykalne frazeologiczne po rusycyzmy składniowe. Jest to, trzeba przyznać, bardzo śmieszne i zupełnie niepoważne, jak wszystko inne. Tu i teraz. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

najprościej

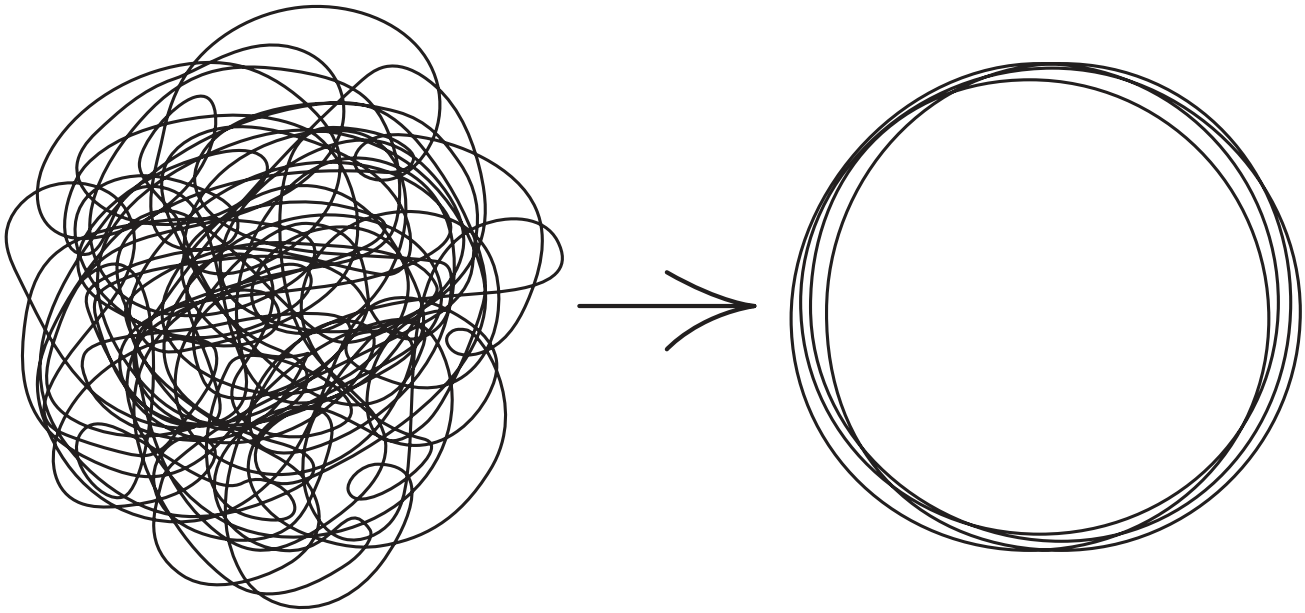

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

PRENUMERATĘ WYDANIA DRUKOWANEGO MOŻNA ZAMÓWIĆ PRZEZ:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Chmielowski w godz. 10–14
pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

Albatros travel

Italia

„Dolce vita" w Toskanii

Fantastyczna podróż kulturowa, podczas której odkryjemy tajniki włoskiego stylu życia i poznamy włoską kulturę, kuchnię, język oraz doskonałe wina.

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Rzymu. Przyjazd do Chianciano Terme. **Dz. 2** Umbria i magiczne Orvieto. **Dz. 3** Warsztaty kulinarne. Przygotowanie włoskiej pasty. Podstawy jęz. włoskiego i czas wolny. **Dz. 4** Całodzienna wycieczka do Sieny wpisanej na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO i spacer szlakiem Via Francigena. **Dz. 5** Piękne renesansowe miasto Pienza, spacer do Capella di Vitaleta i wizyta w Montalcino. **Dz. 6** Włoski targ i etruskie muzeum. **Dz. 7** Degustacja win i urocze popołudnie w San Gimignano. **Dz. 8** Asyż – miasto Świętego Franciszka. Wizyta w kościele św. Franciszka. **Dz. 9** Dzień wolny w Chianciano Terme. **Dz.10** Wylot z Rzymu do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy
01/10 2023

5.698,-

Opery w Weronie

Spełnij marzenie o wieczorze operowym w słynnej werońskiej Arenie. Wybierz się na światowej klasy opery w starożytnym rzymskim amfiteatrze. Opera pod gołym niebem, w ciepły letni wieczór, to nie lada uczta dla melomana.

Tosca i koncert Placido Domingo
4 dni | wylot z Warszawy | 04/08 2023

Aida i Carmen
4 dni | wylot z Warszawy | 22/08 2023

Madame Butterfly i Aida
4 dni | wylot z Warszawy | 01/09 2023

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Wizyta w Bergamo i czas wolny. Nocleg w okolicy Werony. **Dz. 2** Średniowieczne miasto Borghetto, Jezioro Garda i wieczór z operą w słynnym amfiteatrze Arena. **Dz. 3** Wizyta w winiarni (dodatkowo płatna). Werona – zwiedzanie i czas wolny. Wieczór z operą w amfiteatrze Arena. **Dz. 4** Jezioro Como i powrót do Warszawy.

od **4.598,-**

Nowy Rok w Rzymie

Powitaj Nowy Rok w wiecznym mieście – Rzymie. Poznaj jego największe atrakcje i daj się uwieść niepowtarzalnemu urokowi tego wspaniałego miasta.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Rzymu. Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Kolacja w hotelu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, następnie czas wolny. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem w postaci włoskich przekąsek i wina (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Wylot z Rzymu do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy
29/12 2023

5.298,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP12

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.